

STAN ARMII NA FRONCIE

**Mobilizacja czy branka?
Ukrainie brakuje żołnierzy**



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 41/548 9-15 PAŹDZIERNIKA 2023
CENA 9,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

**Czy należy wyjść
z Unii Europejskiej
– polemika Warzechy**

**USA, CHINY, ROSJA,
INDIE, JAPONIA
– WOJNA
O PANOWANIE
W KOSMOSIE**



**Słowacja dołączy do Węgier?
Co na to Polska?**



Trzecia kadencja PiS?

SEMKA I ZIEMKIEWICZ O PLANACH PO ZWYCIĘSTWIE



*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2023

XI EDYCJA

WYJĄTKOWYCH NAGRÓD

W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

11 PAŹDZIERNIKA 2023 r.

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej
Polskiej Andrzeja Dudy

RP

Prezydent
Rzeczypospolitej
Polskiej

Dofinansowano ze środków
Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej
im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego
w ramach Funduszu Patriotycznego

N

INSTYTUT DZIEDZICTWA
MYŚLI NARODOWEJ
im. Romana Dmowskiego
i Ignacego J. Paderewskiego

FP

FUNDUSZ
PATRIOTYCZNY

WSPÓLORGANIZATORZY



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

NARODOWE
CENTRUM
KULTURY



INSTYTUT
WSPÓŁPRACY
POLSKO-
WĘGERSKIEJ
IM. WACŁAWA FELCZAKA



PARTNER

100 LAT
1924-2024
Lasów Państwowych

PARTNERZY MEDIALNI

TVP

REPUBLIKA

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

PROJEKT REALIZOWANY WE WSPÓŁPRACY
Z NARODOWYM CENTRUM KULTURY eprasa.pl 2b480d9493

Radosław Sikorski mówi, jak jest



PAWEŁ LISICKI

Dzięki poprzedniej okładce tygodnika z dumnym tytułem „Tak! Należy wyjść z Unii Europejskiej”, który to zapowiadał esej Tomasza Cukiernika, ciekawych rzeczy mogłem się dowiedzieć na temat polskiej opozycji. Przy tym od razu dodam, że nie chodziło ani o jej stadność, ani – powiedzmy – głupkowatość. To, że polscy unijczycy reagują jak przysłowiowy pies Pawłowa, żadnym zaskoczeniem nie jest. Ot, pomacha im człowiek przed oczami płachtą, a oni w te pędy gnają, na łeb na szyję pędzą, kto pierwszy i kto głośniej przeciwnika zelży, kto pierwszy i kto bardziej pokaże, jak należy się do Brukseli łąścić.

I tak niejaki pan Łukasz Kohut, ponoć europoseł, co tylko pokazuje, że Parlament Europejski stał się prawdziwą przystanią dla ludzi niezdolnych posługiwać się rozumem, ledwo ujrzał okładkę, zakrzyczał: „Do Rzeczy – kremłowska tuba w Twoim domu. Po lewej ruski papier toaletowy, po prawej lista »funkcjonariuszy« tego szmatławca”. Zero zdziwień. W debacie, w której uczestniczą politycy, chodzi po prostu o to, żeby maksymalnie zrobić z siebie durnia, bo może ktoś dostrzeże i łaskawie zapamięta to i owo nazwisko, żeby później przy urnie o nim sobie przypomnieć.

Inni nie mogli być gorsi. Proszę, oto co miała do powiedzenia Kamila Gasiuk-Pihowicz, pani poseł KO. „Biuletyn prorządowy »Do Rzeczy« wzywa do wyjścia z UE. To jest prawdziwy program PiS – polexit. Opadające szlabany na granicach to dla nich nie problem, to ich marzenie”. Z przykrością donoszę, że nie jest to prawdziwy program PiS. Praw-

dziwym programem PiS jest, co partia wielokrotnie podkreślała i deklarowała, i w co niestety wierzy, trzymać się Unii za wszelką cenę. Znowu, zero zdziwień. To, co naprawdę mnie zaskoczyło, to wypowiedź Radosława Sikorskiego.

Biedak tak się podekscytował, że wystąpił nawet podczas specjalnego briefingu prasowego, na którym nie dość, że zaprezentował rzeczoną okładkę, to także wertował tygodnik w poszukiwaniu reklam. „Wyszło sztydło z worka. Zaprzeczały, teraz się przyznali. To nie jest wybryk dziennikarski” – z triumfem grzmiał były szef MSZ. I tu, nomen omen, wyszło sztydło z worka. Tu pierwszy raz Sikorski pokazał, w jaki sposób rozumują (wiem, że to słowo nieco na wyrost, nobilituje bowiem zbytnio polityków opozycji) on i jego kompani. Wreszcie można było pojąć, w jaki to sposób „Do Rzeczy” jest biuletynem rządowym. Podczas konferencji polityk wyliczał reklamy, których instytucji państwowych można znaleźć w tygodniku, a następnie, w oparciu o to, dowodził, że polexit to plan PiS. Proste? Owszem, proste jak konstrukcja cepa.

Według Sikorskiego, jeśli w danym medium pojawiają się reklamy spółek Skarbu Państwa, to musi być ono po prostu instrumentem propagandowym tych, którzy reklamy dają. Kto daje reklamę, ten kontroluje treść medium – tak brzmi dewiza europośła. Piękne, nieprawdaż? Dawno już nie widziałem tak otwarcie i bezwstydnie głoszonej zasady sprzedajności mediów. Do europośła nie dociera, podobnie jak do innych pokrewnych mu pałkarzy, że tygodnik żyje i działa dzięki kilkudziesięciu tysiącom

wiernych zwolenników, którzy go co tydzień kupują (obecnie niewiele mniej niż 30 tys.) i setkom tysięcy czytelników.

Nie przychodzi mu też do głowy, że reklamy pojawiają się w nim właśnie po to, żeby trafić do tej grupy odbiorców. Tych ludzi, tych setek tysięcy czytelników, tych milionów korzystających ze strony internetowej w jego głowie nie ma. Wyparowali. Nie liczą się. On widzi tylko reklamy tej lub innej instytucji. Nie dostrzega reklam prywatnych, dzięki czemu wie (jak mu się wydaje), że to tak naprawdę centrala PiS przy Nowogrodzkiej kontroluje treść pisma. On to wie, bo, najwyraźniej, tak to wygląda w mediach opozycyjnych i tak to wygląda w świecie, w którym Radosław Sikorski funkcjonuje. Publicyści i dziennikarze są tam marionetkami, które wykonują zlecenia reklamodawców, a ci robią to, co im każe zwierzchnik polityczny. Skoro z innym modelem funkcjonowania mediów Sikorski się nie zetknął, to nic dziwnego, że swoje doświadczenia rzutuje na „Do Rzeczy”.

Sikorski doskonale pokazuje, w jaki sposób opozycja, która na co dzień ma gębę pełną frazesów o wolności i niezależności mediów, naprawdę o tych wartościach myśli. Pan każe, sługa musi. Pan to władza, sługa to dziennikarze. Skoro kontrolowane przez PiS, przynajmniej pośrednio, spółki czy instytucje reklamują się w „Do Rzeczy”, to „Do Rzeczy” posłusznie wykonuje rozkazy centrali. Nie zamierzam przekonywać Sikorskiego, że się myli, to by nic nie dało. Mogę jedynie przestrzec przed nim i przed pozostałymi piewcami demokracji z opozycji. ©©



TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR SEMKA

DLA PIS ŻYĆ TO ZNACZY PRZEŻYĆ

Jaka będzie ewentualna trzecia kadencja PiS

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

**TRZECIA KADENCJA
– RZĄD NA CZAS WYZWAŃ**

KRAJ

24 ROZMOWA Z JÓZEFEM ORŁEM

**WKROCZYMY
W OKRES SŁABYCH RZĄDÓW**

Co się wydarzy po wyborach?

28 ROZMOWA Z PROF. ANTONIM DUDKIEM

MGŁA WYBORCZA

32 ZUZANNA DĄBROWSKA

PLATFORMA CELEBRYTÓW

34 PAWEŁ CHMIELEWSKI

**ARCYBISKUP GADECKI
NADZIEJĄ DLA KOŚCIOŁA?**

36 ŁUKASZ ZBORALSKI

CZY TO BYŁ WYPADEK?

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK

FANTASTYCZNY PAN ANDERSON

Cztery nowe filmy
autora „Grand Budapest Hotel”

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 JAN FIEDORCZUK

ŚWIĘTE CESARSTWO UNIJNE

Imperializm narodu niemieckiego

50 ŁUKASZ WARZECHA

**JAK WYJŚĆ Z UNII,
POZOSTAJĄC W NIEJ**

52 MARIUSZ DZIERŻAWSKI

**CZY KATOLIK MOŻE WIERZYĆ
W DEMOKRACJĘ?**

54 KRYSZTOF KRATIUŁ

LUDOBÓJSTWO BEZ OFIAR

HISTORIA

56 KS. PROF. DR HAB. ADAM RYBICKI

STARCI DWÓCH ŚWIATÓW

Bitwa pod Lepanto

ŚWIAT

60 MACIEJ SZYMANOWSKI

SŁOWACJA JUŻ WYBRAŁA

Polityka południowego sąsiada

62 MACIEJ PIECZYŃSKI

MOBILIZACJA CZY BRANKA?

65 WITOLD REPETOWICZ

ZAGŁADA ARCACHU

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI

KOSMICZNA GORĄCZKA ZŁOTA

Wyścig po księżycowe bogactwa

Z głębokim żalem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci



Włodzimierza Piotrowskiego

Rodzinnie i bliskim
składamy wyrazy najgłębszego współczucia

Michał Maciej Lisiecki, wydawca
w imieniu własnym i współpracowników

„Umarłych wieczność dotąd trwa, dokąd pamięcią im się płaci...”



ADRES: **TYGODNIK DO RZECZY**

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiński

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Colonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński,
Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka,
Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torzański, Piotr Włoczyk,

Marcin Wolski, Dariusz Wieromejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski,
Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska,**
Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski, Łukasz Żygadło

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczyl-Stefaniak

RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztofa**
Okładka: **Łukasz Kalinowski/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska,
Paweł Lisicki



MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy



DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzczy.pl/regulamin



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pocztówka z Turcji

Mijają ponad dwa tygodnie od wybuchu afery ze skandaliczną seksimprezą w mieszkaniu ks. Tomasza Z. z diecezji sosnowieckiej. Skandal nie wyszedłby na jaw, gdyby nie zapaść męskiej prostytutki, której stan zdrowia wymusił wezwanie karetki pogotowia ratunkowego. Gospodarzem imprezy był kapłan, bynajmniej nie szeregowy, ale redaktor naczelny sosnowieckiego dodatku do tygodnika „Niedziela”. Postać szeroko znana, swego rodzaju diecezjalny celebryta.

Tomasz Z., osoba, która powinna być przesłuchiwana jako pierwsza przez komisję powołaną przez biskupa sosnowieckiego, Grzegorza Kaszaka, już po wybuchu skandalu wyjechał sobie jak gdyby nigdy nic na urlop do Turcji. Dlaczego bp Kaszak nie zabronił mu wyjazdu z kraju? Dlaczego nie wysłał go do zamkniętego ośrodka kościelnego na pokutę i nie zobowiązano go, by był do natychmiastowej dyspozycji komisji mającej wyjaśnić sprawę? Wygląda to jak jakieś dziwaczne uznanie ks. Tomasza Z. za ofiarę całej afery.

Nic zatem dziwnego, że potraktowany w tak komfortowy sposób kapłan, sam zabierając listownie głos z wakacyjnego zacisza, zaczyna przedstawiać się jako ofiara. W wysłanym do lokalnej redakcji „Wyborczej” oświadczeniu pisze, że kwestionuje „wszelkie ustalenia prasy i mediów, w szczególności powtarzane wciąż i powielane na różne sposoby informacje dotyczące liczby księży mających przebywać w moim mieszkaniu i braniu udziału w opisywanych przez media wydarzeniach”.

Nie wyjaśnia, co jego zdaniem się wydarzyło, ale stroi się w kostium męczennika. „Z dnia na dzień zmieniają się podawane fakty, o których słyszymy lub czytamy z coraz to nowych relacji medialnych. Odbieram to jako ewidentne uderzenie w Kościół, a w tym w duchowieństwo i wiernych, by poniżyć jego pozycję, zadania i misję. Myślę, że gdyby cokolwiek podobnego wydarzyło się osobie mało znanej, o innej profesji, nie medialnej, nie duchownej, to nie byłoby w ogóle sprawy”.

Biskup Kaszak nie wyjaśnia, dlaczego nie nakazał swemu

podwładnemu odłożenia wyjazdu i udzielania wyjaśnień komisji. Wiemy już jedno. Ksiądz Tomasz będzie grał w tej sprawie wszystkimi możliwymi kartami. I o żadnej skrusze nie ma nawet mowy. Afera stała się już ulubionym tematem bulwarówek. Do komentowania sprawy włączył się Michał Piróg, celebryta niekryjący swego homoseksualizmu. Wezwał on księży, uczestników skandalu, by dokonali coming outu.

Komisja nie udziela zbyt wielu informacji. Tymczasem antyklearykalowie mają używanie. Czas medialny liczony jest inaczej niż czas działania komisji kościelnych. To Kościołowi winno zależeć na pełnym, transparentnym i szybkim wyjaśnieniu sprawy. Jednak bp Kaszak zachowuje się tak, jakby nie rozumiał, jak katastrofalny wpływ na prestiż całego polskiego Kościoła ma ten skandal. Inni biskupi milczą, bo to nie ich diecezja. Nowy nuncjusz w Warszawie nie jest jeszcze mianowany. Rzym jest daleko i zajęty jest innymi sprawami. A ksiądz T. nadal bawi się na wakacjach. Ciekawe, w jakim gronie. © ©

NEKROLOG

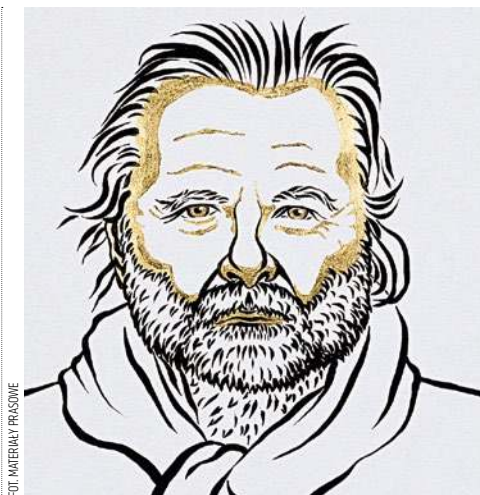
Piotrowi Pechowi

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci



Mamy

składają przyjaciele
z tygodnika „Do Rzeczy”



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

LITERACKI NOBEL DLA NORWEGA

Ceniony norweski dramaturg, pisarz i postmodernista Jon Fosse został nagrodzony przez Akademię Szwedzką za „nowatorskie sztuki i prozę, które dają wyraz temu, co niewypowiedziane”. Jeden z najczęściej wystawianych współczesnych europejskich dramaturgów na świecie jest autorem 25 sztuk teatralnych, które wystawiono na ponad 120 scenach świata. Napisał ponad 30 książek, które przetłumaczono na ponad 40 języków, w tym polski. Fosse jest też autorem poezji i esejów. (jap) © ©

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

XI EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD STRAŻNIK PAMIĘCI 2023

PARTNER WYDARZENIA



100 LAT
1924-2024
Lasów Państwowych



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wciąż tacy sami

Moje pokolenie pamięta jeszcze, kiedy ksiądz, by nieść pociechę duchową pacjentom państwowych szpitali, musiał przebierać się w „cywilki” i ukrywać cyboryum pod swetrem. Władza ludowa bardzo dbała o to, żeby nikt nie ważył się kwestionować prymatu religii panującej, zwanej marksizmem-leninizmem, i żeby nikt nie ważył się robić jej konkurencji. To, że niektórzy ludzie przed skonaniem mogą czerpać otuchę i pociechę z miłosierdzia Bożego, a nie z pewności postępu gwarantowanego przez historyczną konieczność i partię, dawało się wytłumaczyć tylko zacofaniem i ciemnotą. A zacofanie i ciemnotę, jak wiadomo, należy zwalczać. Niech sobie tam

ciemne staruchy siedzą po tych swoich kościołach, ale w miejscach publicznych, takich jak placówki socjalistycznej służby zdrowia, nie ma miejsca na zabobony.

Gdy dziś w kampanii wyborczej partia Nowa Lewica głosi, że „miejsce religii jest w kościołach”, i składa obietnicę, że usunie katolicyzm z polskiej przestrzeni publicznej, w tym także ze szpitali, widać, że niby wiele się zmieniło, ale nic się nie zmieniło. Jakże trzeba być sfanatyzowanym i pełnym nienawiści do ludzi, żeby pozbawiać ciężko chorego, często umierającego, dostępu do pociechy duchowej? Jakiej pogardy dla myślących inaczej owocem musi być pomysł, by zakazać urządzania w szpitalu miejsca do modlitwy? Bo innych przyczyn tej

zjadłości niż małpia złośliwość nie sposób sobie wyobrazić. Jaką niby szkodę ponieść może pan Biedroń ze Śmiszkiem czy pan Czarzasty z panią Żukowską z tego powodu, że w szpitalu ktoś rozstający się z tym światem otrzyma namaszczenie i eucharystię?

Mniejsza o wymienionych. Ale jacy ludzie biją im brawo, spod jakiego kamienia wypętlili wyborcy, których poparcie zdobyć można obietnicą, że zabroni się ludziom praktykowania ich religii nawet w godzinie śmierci? A przynajmniej się im to, jak tylko można, utrudni?

Nowa Lewica się nazwali. Nie, pod pozorami tęczyowych nowinek wciąż ta sama – stalinowska, totalniacka i pełna nienawiści do ludzi. ©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Medytacje przedwyborcze

Im bliżej wyborów, tym częściej słyszymy pytanie, czy Kościół powinien „wtrącać się” do polityki. W istocie ta kwestia jest tylko echem dużo ważniejszej. Jakie powinny być relacje między wiarą a społeczną odpowiedzialnością? Święty Tomasz (pozostający niezmiennie pierwszym filozofem katolicyzmu) mówi jasno: dobro wspólne jest większe i bardziej Boskie od prywatnego. Dlatego właśnie jest zobowiązujące. Prorok pyta: Czy może matka zapomnieć o swym dziecku (por. Iz 49, 15)? A przecież taką samą winą jest obojętność, gdy rozstrzygają się losy całych przyszłych pokoleń.

Są kraje – jak Litwa czy Słowacja – które w ogromnym stopniu

przebudzenie narodowe zawdzięczają Kościołowi. Tak jak Polska zawdzięcza mu przebudzenie narodowe na Górnym Śląsku i jego powrót – po sześciu wiekach – do jedności Ojczyzny. I również zwycięstwo Solidarności. Ale są także narody – jak Irlandia czy francuska Kanada – które kryzys Kościoła doprowadził do upadku. Skutki tego kryzysu niszczą całe społeczeństwa. Wszyscy, którzy myślą o relacjach między religią a narodem, powinni zawsze być tego świadomi, bo biada tym, przez których przychodzą zgorszenia (por. Łk 17, 1).

Unieważnianie różnic partyjnych tylko dlatego, że wszystkie partie są niedoskonałe, to nic innego jak zwyczajny relatywizm. Rzeczy

względnych nie należy absolutyzować, ale po to mamy kryteria, by różnice między nimi odmierzać. A im bardziej kogoś niedoskonałości polityki gorszą, tym większy ma obowiązek promować politykę lepszą.

Jest (teoretycznie) jedna sytuacja, w której wyborczy indyferentyzm mógłby być uzasadniony. Gdyby wszystkie partie ignorowały najważniejsze kwestie dobra wspólnego, kwestie tak ważne, że przestawałyby mieć znaczenie pozostałe różnice. Ale ten teoretyczny wyjątek, jak to w socjologii, jedynie wzmacnia i potwierdza regułę: konieczność dobrego wyboru. Odpowiedzialność narodową po prostu. ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

2 na całe to polskie plewigi spuść,
dobra Unio, wszystkie plag, egipskie.
Tylko się nie powyżaj i nas, dobrych
Europejczyków...



C E Z A R Y K R Y S Z T O P A

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O sędziowaniu

Sędzia z Katanii miała za-
twierdzić decyzję zatrzyma-
nia w ośrodku repatriacyj-
nym czterech przybyszów
z Afryki na mocy nowego dekretu
zaostreżającego sankcje i kontrole
wobec nielegalnych migrantów.
Dama – jak wynika z jej działalno-
ści w mediach społecznościowych
– migrantów kocha, grubym słowem
traktuje obecny rząd, szcze-
gólnie wicepremiera Salviniiego
(„wyp.....”), a wyrażane opinie
światopoglądowo lokują ją gdzieś
pomiędzy systemem przekonai
Che Guevary i Robespierre’a.

Sędzia nakazała młodzień-
ców natychmiast zwolnić, bo jej
zdaniem dekret jest sprzeczny
z prawem unijnym i włoską
konstytucją. Wydawałoby się, że
w tych sprawach kompetentne
są Trybunał Sprawiedliwości UE

i włoski trybunał konstytucyjny,
ale najwyraźniej kobieta wie
lepiej.

Jeśli chodzi o zainteresowanych,
to jeden poprosił o azyl,
ponieważ boi się, że go w kraju
porwą poszukiwacze złota.
Dlaczego? Bo jego linie dłoni, te od
wróżenia, zdaniem poszukiwaczy
świadczą o tym, że Pan Bóg
obdarował go dodatkowym
zmysłem, pozwalającym bez
trudu wskazać, gdzie znajdują
się żyły kruszcu. Drugi namówił
swoją narzeczoną na wspólną
podróż łódką do Włoch, ale
wyprawa zakończyła się tragedią.
Dziewczyna utonęła, a on wrócił
do kraju. Teraz przybył do
Włoch i prosi o azyl, bo rodzina
narzeczonej pała żądzą krwawej
zemsty i grozi mu śmiercią. Trzeci
poprosił o ochronę, bo narobił

w domu ogromnych długów,
a w jego kraju wierzyciele nie
żartują. Wreszcie czwarty chce
zostać we Włoszech i sprowadzić
żonę, bo u niego w domu
służba zdrowia jest płatna
i droga, a małżonka, gdy zajdzie
w ciążę, będzie potrzebować
specjalnej opieki. Dwóch z nich
otrzymało już w przeszłości
nakaz opuszczenia Włoch, który
zlekceważyli, a jeden zdążył już
dokonać w Italii groźnego napadu.

Giorgia Meloni zapowiedziała
odwołanie, mówiąc, że pani
sędzia w Katanii najwyraź-
niej wspiera nielegalną migrację.
Opozycja i lewicowa frakcja Kra-
jowego Stowarzyszenia Sędziów
(sic!) zarzucają, że premier godzi
w niezależność wymiaru sprawie-
dliwości. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

MARYLA IDZIE
PO WIĘCEJ

Atmosfera w kraju coraz gęstsza (w związku z wiadomo jakim, zbliżającym się wydarzeniem), to na początek nieco luźniej. I to dosłownie, bo się nam Maryla skurczyła. Diwa polskiej piosenki zadała szyku podczas koncertu „Roztańczony Narodowy”. Uwagę przykuły nie tylko, jak zwykle zresztą, szalowy strój Rodowicz, lecz także wyraźnie wyszczuplona sylwetka. W rozmowie z serwisem Pomponik zdradziła, że zdecydowała się na dietę nie ze względu na urodę, lecz z troski o zdrowie. Już teraz Maryla straciła 20 kg,



FOT. PAVEŁ WODZYSKI/FAST NEWS

choć – jak zapewnia – idzie po więcej. – Chodziło mi o to, żeby odciążyć stawy kolanowe, też żeby lepiej wyglądać, nosić lepsze kostiumy, mieścić się w stare ciuchy – powiedziała. – Będzie jeszcze mniej. Teraz jest 20 kg mniej, ale jeszcze 5 kg co najmniej. Wtedy zobaczę, jak będzie wyglądać twarz – dodała. Jaki jest sekret udanego odchudzania wokalistki? Dieta, a dokładniej dieta pudełkowa. Rodowicz zapewnia, że wbrew plotkom nie wspomaga się lekami odchudzającymi. – Nie, ja korzystałam tylko z diety pudełkowej. Bardzo mało biegam, prawie zero biegania, ale mam rowerek, mogę ćwiczyć w domu – zdradziła 77-latką. No to mamy chyba odpowiedź na pytanie, które wraca jak

bumerang: Czy Rodowicz zejdzie kiedyś z sceny? Otóż nie, nigdy.

WILK EKO I TEN
DRUGI

Z życia Kingi Podróżniczki. Rusin polatała sobie po Stanach Zjednoczonych, którą to wyprawę obszernie relacjonowała w mediach społecznościowych. Była to tzw. wyprawa na bogato. Przyznała, że podczas zwiedzania Hawajów wraz z ukochanym wydali „majątek na helikoptery”. „Ale warto spełniać marzenia, a te przeżycia warte są każdego centa! W szczególności na Kauai, wyspie, szukamy domu... Helikoptery polecamy na Hawajach, tym bardziej że do niektórych dolin i wodospadów nie da się dotrzeć w inny sposób” – radzi Kinga. Krytyka przyszła z dość nieoczekiwanej strony, bo od reportażysty związanego z „Gazetą Wyborczą”. Witold Szablowski wytknął celebrytce hipokryzję. Jak stwierdził dziennikarz, w Rusin siedzą „dwa wilki”. W skrócie: wilk walki o ekologię i wilk konsumpcjonizmu. „Albo kiedy jesteś Kingą Rusin i mieszkają w tobie dwa wilki. I jeden wilk mówi, żeby chronić planetę, nie jeździć windą, tylko wchodzić po schodach (bo globalne ocieplenie), zakręcać kran podczas mycia zębów i nie kąpać się za często. A drugi wilk mówi: »Wydaliśmy na Hawajach majątek na helikoptery, ale warto spełniać marzenia«. I wrzuca zdjęcie z jeepem, który pali tyle, że musiałbym sto lat jeździć windą w tę i w tę, żeby się to zrównało” – wytyka reportażysta. „I mam takie pytanie. Jak to się mieści w jednej osobie? To jest w ogóle bezpieczne? Te wilki się nie gryzą?” – dopytuje ironicznie Szablowski. Nie wiem, jak państwo, ale ja zupełnie się nie dziwię, że Rusin nie odpowiedziała na ten komentarz. Po co się pogrążyć?

OSIEDLOWE
WYBORY
ŚNIADANIOWE

„Przedwyborcze odmęty szaleństwa”. Wybory to wielkie święto demokracji,

a oddanie głosu to obywatelski obowiązek itp., itd.? Dla niektórych pewnie tak. Celebryci podchodzą jednak do tematu bardziej pragmatycznie.

Nicole Sochacki-Wójcicka, czyli „Mama Ginekolog”, porównała wybory do zakupów w lokalnym sklepie. – Wyobraźcie sobie, że macie sklepik osiedlowy i ten sklepik jest prowadzony tak, żeby dawać to, czego osiedle potrzebuje. I właściciel postanawia spotkać się z mieszkańcami, żeby dowiedzieć się, czego mieszkańcy potrzebują. Akurat nie posłicie, bo co was obchodzi jakiś sklepik osiedlowy – filozofowała na Instagramie, chcąc (chyba) zachęcić do pójścia do urn. Internauci nie do końca zrozumieli intencje „Mamy Ginekolog”, bo dopytują: „Nie do końca rozumiem te porównania. Szczerze? Twarożek, suchy szampon i polityka? I ty myślałaś o tym przez tydzień?”. Co ciekawe, aktywność wyborczą w podobny sposób postanowiła zareklamować Julia Wieniawa. Szoku nie ma, skończył się podobnie, czyli falą ironicznym komentarzy. – Hej, dziewczyno, zatrzymaj się na chwilę i posłuchaj mnie. Mam do ciebie pytanie. Czy jak otwierasz szafę, to lubisz mieć wybór? Ja też. A czy jak idziesz do restauracji na śniadanie, to lubisz mieć wybór? No, ja też. A jak idziesz do sklepu, to lubisz mieć wybór? Ja też. Korzystam z niego. Teraz, kiedy 15 października odbędą się wybory, błagam, skorzystaj z tego wyboru i oddaj swój głos. Tak wiele lat walczyliśmy o to, żeby mieć prawo głosu, więc skoro go teraz mamy, to nie zmarnujmy tego. Ja idę na wybory, a ty? – mówi Wieniawa w swoim nagraniu. Szybko okazało się, że świat Julki to świat nieco inny niż ten, w którym żyje większość kobiet, do których próbuje przecież dotrzeć. „Przekaz megaważny – szkoda, że porównania wyboru sprowadzają się do takich banalnych rzeczy jak ubrania w szafie. Na szali z wyborami i przyszłością Polek – słabo. No i ile kobiet rano je śniadanie w restauracji... litości!” – stwierdziła jedna z obserwatorek aktorki. To może taki generalny apel przedwyborczy – celebryci, litości! ☹️



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak tam, czujecie ten dresczyk emocji, iż będziecie mogli spełnić obywatelski obowiązek i wziąć udział w święcie demokracji? Wyobraźcie sobie, iż za tydzień czytając naszą rubrykę, będziecie się mogli cieszyć odsunięciem pisu od władzy albo wspólnie zablokujemy serwery tanich linii lotniczych, iż tym razem to już na pewno wyemigrujemy z tego kraju. Aby było wam łatwiej podjąć decyzję, przygotowaliśmy krótki quiz preferencji wyborczych. I pamiętajcie, głosujcie zgodnie z własnym sumieniem, no chyba że na pis albo Konfederację, to wtedy zostańcie w domu.

Pytanie 1: Jesteś na imprezie, na której jest dużo ludzi, którzy się nie znają. Jak się zachowasz?

a) Zaprosisz wszystkich na piwo i zaczniesz cytować polskie komedie sprzed 20 lat, których nikt już nie pamięta, a towarzystwo uzna Cię za bezbeka i boomera;

b) Zaproponujesz wszystkim, iżby uformowali wspólny marsz i wznosili pro-demokratyczne okrzyki, resztę imprezy spędzasz zamknięty na balkonie;

c) Organizujesz wielką zbiórkę na napoje, sam się nie dokładasz, robisz zakupy i 75 proc. zostawiasz dla siebie;

d) Próbujesz opowiedzieć o wartościach demokracji, ale zaczynasz płakać, reszta zamawia ci taksówkę i odsyła do domu, nikt nie tęskni;

e) Zaczynasz tworzyć wśród zebranych grupy i podgrupki, napuszczając ich na siebie i wmawiając, iż tylko z tobą są w stanie przetrwać tę imprezę.

Pytanie 2: Idziesz ulicą i znajdujesz banknot 20-złotowy. Co robisz?

a) Nagrywasz TikToka, w którym mówisz, że na wolnym rynku mógłbyś je

Tuż przed wyborami w Polsce dałem Polakom do zrozumienia, że jestem z nich niezadowolony; i wtedy zgłosił przeciwko Kaczyńskiemu... No co?!



ceza ty kryjeto po

zainwestować i otworzyć własny biznes, jeśli państwo nie będzie ci przeszkadzać;

b) Masz ochotę na owoce morza, ale w dyskoncie uświadomiasz sobie, iż nie stać cię na ośmiorniczkę, a jedynie na kawałek łososia na promcie;

c) Szukasz kogoś, komu wypadły, iżby domagać się procentu od znaleźnego, ale dwie dychy chcesz zostawić sobie;

d) Chowasz do kieszeni i idziesz dalej;

e) Wpadasz na pomysł, iż pokażesz, jak dużo można kupić za 20 zł w dyskoncie, ale spotykasz tam gościa z punktu b i bijecie się o ostatniego łososia.

Pytanie 3: Oglądając mecz reprezentacji Polski w piłce nożnej, czujesz, że:

a) Piłka to sport dla mięczaków, prawdziwi twardziele to szachiści i brydżyści;

b) Z jednej strony się cieszysz, z drugiej wiesz, że kibice cię nie lubią, bo kiedyś kablowałeś na nich facetce od pszyry, że przynoszą race do szkoły;

c) Zastanawiasz się, jakim by tu podatkiem obłożył biegających po boisku milionerów;

d) Czytasz jednocześnie „Przepisy gry w piłkę nożną” i gdy widzisz, jak często piłkarze je łamią, nie wytrzymujesz i wychodzisz;

e) Z dumą przypominasz sobie, iż za Tuska nasi nigdy nie wygrali z Wyspami Owczymi.

Najwięcej odpowiedzi a: Masz nietypowe zainteresowania, lubisz wypić piwo z przyjaciółmi, a jak już wypijesz, to tęsknisz za wolnym rynkiem. Jesteś oczywistym wyborcą Konfederacji – ale zostań w domu.

Najwięcej odpowiedzi b: Jesteś szczerym demokratą z wielkomiejskiej klasy średniej, ale jednocześnie ciągle porusza cię, jak grają hymn przed meczem. Głosujesz na KO, ale raczej konserwatywne skrzydło. Został ci więc Giertych – sam decydujesz, że zostaniesz w domu.

Najwięcej odpowiedzi c: Lubisz zbierać od innych pieniądze, odwoływać się do wspólnotowości, ale masz problem ze sprawiedliwą redystrybucją i sam wiesz, że to nie jest prawdziwy socjalizm. Głosujesz na Lewicę, ale tę z Razem, i na kogoś noszącego kaszkiety.

Najwięcej odpowiedzi d: Łatwo się wzruszasz na niesprawiedliwość i bezprawie. Jednocześnie mało kogo obchodziś i trochę cię smuci, że nikt nie uważa cię za prawdziwą opozycję. Głosujesz na Trzecią Drogę, tzn. głosowałbyś, gdybyś na sam koniec nie uznał, że to wszystko jedno, i został w domu.

Najwięcej odpowiedzi e: Lubisz władzę pojmowaną zgodnie z zasadą „dziel i rządź”. Cieszy cię najdrobniejszy sukces, ale w chwili refleksji zdajesz sobie sprawę, że zakupy mogłyby być nieco tańsze. Głosujesz na pis, ale czujesz, że coś jednak idzie nie tak jak powinno. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Ile to naprawdę było?

Wie no, Sławek, nie możesz takiej partaniny odstawiać.

No ale jakiej, Donek? Na tej focie jest 200 tys., na sąsiednim ujęciu drugie 300, to razem będzie 600...

Pięćset, Sławek. A poza tym tu nie ma 200 tys. No zobacz tutaj: widać, że masz faceta w takiej kurtce, o, i tutaj znowu jest facet w takiej kurtce. We fotoszopa to też trzeba umieć.

Ale Donek, ja ci już wyjaśniam: bo to bliźniacy byli! Oni się identycznie ubierają od dziecka. Ja z nimi rozmawiałem. Jeden jest z Goleniowa, drugi ze Szczecina...

A te dwie, tutaj i tutaj, identycznie ubrane, z identycznym transparentem...

Oj, pewnie też bliźniaczki. A że transparenty identyczne? A ile można wymyślić różnych?

Przerób mi to. A tak naprawdę to ile było?

Nie będę mówić, bo ktoś może podsłuchiwać. Na karteczce ci napiszę. ©© **Łukasz Warzecha**

dwaj panowie G



Zaczniemy od sondaży. Nie tych oficjalnych, ale tych naprawdę ciekawych. Znaczących z analiz ze sztabu PiS. Jeśli ktoś myśli, że tzw. afera wizowa nie zaszkodziła partii rządzącej, to jest w tzw. mylnym błędzie. Otóż zaszkodziła. I nawet wiadomo, jak bardzo. Jakieś 6–7 punktów procentowych. Szczęście w nieszczęściu jest takie, że część strat udało się już zniwelować, m.in. w trakcie weekendu marszowego. Pytanie, co się stanie, jeśli Eine Totalopposition ukręci z niczego jakąś inną aferę w ostatnim tygodniu kampanii.

Apropos weekendu marszowego. Tu zaszła zmiana. Podczas poprzedniego marszu Złego Donalda PiS przegrał w Internetach w proporcjach 1:10. Teraz stratę zmniejszył przy pomocy konwencji w Katowicach. Proporcje były inne: też przegrana, ale tylko 1:3. Za to w liczbie internetowych interakcji była przewaga na korzyść PiS w proporcji 1,5 do 1.

Tak czy inaczej, pojawia się na Nowogrodzkiej pytanie, co zrobić, jeśli nie będzie samodzielnej większości. Część doradców łączy z szeregowym nadpremierem Jarosławem Kaczyńskim i mówi, że wtedy są potrzebne jak najszybciej przedterminowe, nowe wybory. Ale mocna jest i frakcja realistów, która uważa, że to zły pomysł. Oto ich argumenty: w przedterminowych wyborach nie uda się powtórzyć mobilizacji elektoratu, którą gwarantuje referendum. A zwoleńnicy Eine Totalopposition poczuć krew i zobaczą, że władzy nie idzie, co z pewnością ich zmobilizuje. Co skończyć się może bardzo niemiłą porażką.

Wracając do tzw. afery wizowej. Jednym z największych sukcesów obecnej ekipy miało być wyczyszczenie naszej dyplomacji z sowieckich złogów. Esbeckie udało się usunąć. A potem zabrano się za absolwentów niesławnej MGIMO, czyli kuźni sowieckiej, a potem rosyjskiej dyplomacji. Uczelnię zwanej popularnie wylegarnią agentury. Niestety, sukces okazał się iluzoryczny. Właśnie musiano przywrócić dwóch absolwentów tej uczelni do pracy w dyplomacji. Ktoś zapytał: A jakie tu związki z aferą wizową? Odpowiemy

pytaniem: A kto przygotował ułomny akt prawny, który umożliwił złogom z MGIMO powrót? Podpowiedź: ma na imię Piotr i niedawno stracił stanowisko wiceministra MSZ.

Jeszcze o Złym Donaldzie. PeŁo postanowiła ukarać TVP za pytania do Tuska, blokując jej sygnał ze spotkania z liderem PO w Koninie. To całkiem nowa, ciekawa praktyka w polskiej polityce, demokracji i ukochanej przez PeŁo wolności słowa. Zjawisko na tyle interesujące, że warto stworzenia jakiegoś osobnego określenia. Proponujemy „reset”.

Skoro już o Tusku, to podpowiadamy też żarcik, który doprowadzi do białej gorączki zwolenników PeŁo. Wiemy, co mówimy, bo rzecz jest testowana na żywych egzemplarzach. Kiedy ktoś opowiada, jak bardzo rację miał Zły Donald, ogłaszając, że jego ostatni marsz był „jednym z największych wydarzeń od czasu odzyskania niepodległości”, odpowiadamy: tak, miał rację, to jedno z największych wydarzeń od 2015 r.

Dość o Złym Donaldzie z Sopotu, trzeba coś powiedzieć też o jego mocodawcach. Niejaki Manfred Weber, szef Europejskiej Partii Ludowej, a więc szef Donalda, miesiąc temu apelował w europarlamencie, by nie ingerować w kampanie wyborcze krajów

Unii. Czyli powstrzymać się od debat na temat sytuacji w tychże krajach. Dziwnym trafem 11 dni przed wyborami w Polsce tenże Weber wyjeżdża z debatą o Polsce i wizach. Odnotowujemy to, żeby przypomnieć, że koledzy Donalda z Niemiec to nie tylko ludzie elegancyści, oświeceni i postępowi. Także prawdomówni.

Tymczasem w sądach. Sąd Najwyższy właśnie odmówił uchylenia immunitetu sędzi Ewie G., która w stanie wojennym za kraty posłała dwóch mężczyzn za próbę obalenia ustroju. Próba polegała na namalowaniu hasła antykomunistycznych. Mężczyźni zostali uniewinnieni po upadku komuny. Sędzia jednak, która wysłała ich wtedy za kraty, odpowiedzialności nie poniesie. Bo tak uznał Sąd Najwyższy. Jak widać, nasze wolne sądy niespecjalnie różnią się od ich wolnych sądów.

Oprawdziwości powyższego smutnego zdania miał też okazję przekonać się jeden z panów G. Na niekorzyść którego wyrok wydała sędzia sądu apelacyjnego. Już po rozprawie okazało się, że to jedna z najgorszych sędziów stanu wojennego. Miała w zwyczaj wydawać wyroki wyższe, niż żądał prokurator. Pan G. skierował co prawda kasację. Problem polega na tym, że może ona trafić na sędziego lub sędzię, która uznała, że wsadzanie ludzi do więzienia w stanie wojennym jest spoko. Gdyż – jak widać – nasze wolne sądy... i tak dalej, i tym podobne.

Drugi z panów G. spędził tymczasem ostatnie dni, wizytując piękne miasto Madryt, gdzie miał okazję zapoznać ministra kultury i sportu Hiszpanii. Zawsze interesują nas nałogi polityków, więc informujemy, że ów minister – zresztą znany kataloński socjalista – uzależniony jest od coli zero. Spożywa ją w gigantycznych ilościach, co potwierdziliśmy też w źródłach z tego resortu. Ujawniamy tę informację głęboko wstrząśnięci: jak socjalista może żyć w szponach kapitalistów z USA i nabijać im kabzę? Na szczęście inni zapoznani przez nas hiszpańscy politycy są bardziej przewidywalni. Częstowani polskim alkoholem nie odmawiają i wracają po więcej. ©



UNIKALNA POSIADŁOŚĆ ze Stadnią Koni



**NA TERENIE POSIADŁOŚCI
ZNAJDUJĄ SIĘ RÓWNIEŻ:**

- dom dla gości
- budynki socjalno-gospodarcze
- 3 oddzielne stajnie



Dariusz Sarota
+48 535 700 168
d.sarota@crystalhouse.pl



w w w . c r y s t a l h o u s e . p l

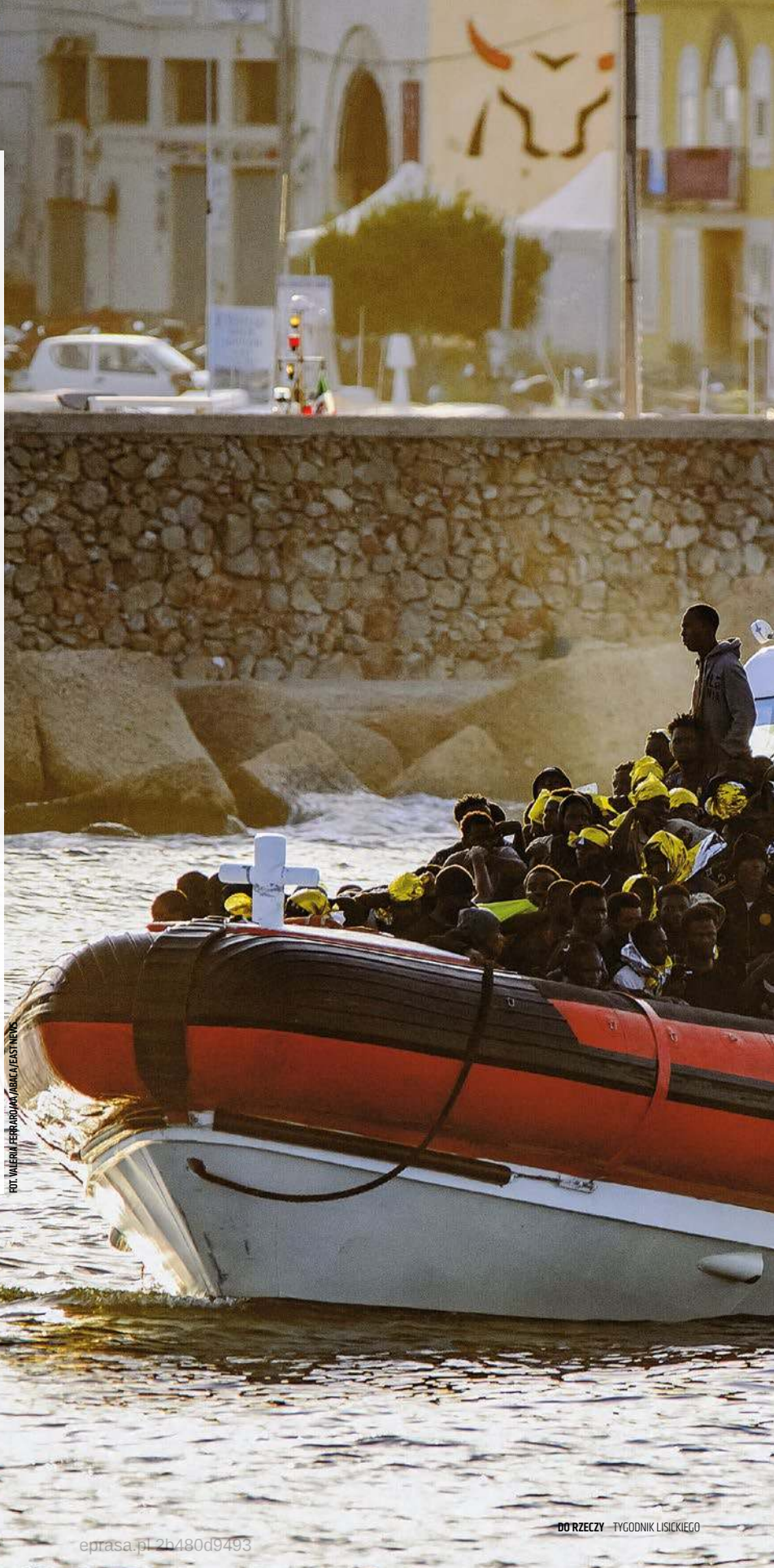
eprasa.pl 2b480d9493

PRZYMUSOWA RELOKACJA, CZYLI GWAŁT NA EUROPIE

– Bezpieczeństwo naszego kraju jest najważniejsze. Nie zgadzamy się na przymusową relokację migrantów – podkreślił premier Mateusz Morawiecki w hiszpańskiej Grenadzie, gdzie w ubiegły weekend odbywał się nieformalny szczyt Unii Europejskiej. Szef rządu w Warszawie zauważył, że gdy w czwartek oznajmił stanowisko polskich władz innym premierom państwom EU, to wielu się z nim zgodziło. – Boją się tego dyktatu, który płynie z Brukseli i z Berlina. My się tego dyktatu nie boimy – oznajmił premier w piątek.

Szczyt zakończył się już po zamknięciu tego wydania „Do Rzeczy”. W zeszłą środę większość ambasadów państw członkowskich Unii Europejskiej przyjęła jednak tzw. rozporządzenie kryzysowe dotyczące migracji. Podczas głosowania sprzeciw wobec nowych przepisów wyraziły jedynie Polska oraz Węgry. Czechy, Słowacja i Austria wstrzymały się zaś od głosu. Całe posiedzenie trwało zaledwie kilkanaście minut. Węgierski portal HungaryToday wynik głosowania skomentował więc krótko: „Gwałt na Europie: 13-minutowa uwertura do aktu finałowego”.

Przez pierwsze dziewięć miesięcy obecnego roku tylko przez Morze Śródziemne do Włoch, Grecji, Hiszpanii, na Cypr oraz na Maltę przybyło ok. 186 tys. migrantów. W połowie września włoska wyspa Lampedusa ogłosiła stan wyjątkowy po tym, jak w ciągu zaledwie kilku dni dotarło na nią 7 tys. osób – m.in. obywatele Egiptu, Syrii, Sudanu, Gwinei, Kamerunu i Wybrzeża Kości Słoniowej – czyli więcej, niż wynosi liczba legalnych mieszkańców wyspy. (jap) ©



FOT. VALERIA FERRARIO/ANSA / EAST NEWS





Piotr Semka

Jeśli PiS rozpocznie trzecią kadencję, to moim zdaniem tylko w razie własnej wygranej zapewniającej większość lub po ewentualnym „wydłubaniu” z innych ugrupowań tylu posłów, ilu trzeba do uzyskania większości. Jeśli to osiągnie, to będzie mógł myśleć dalej, jaką politykę prowadzić w trzeciej kadencji

Jaka może być trzecia kadencja PiS? Jak Jarosław Kaczyński wykorzysta ewentualną kolejną szansę dla swej partii?” – z prośbą o napisanie tekstu na taki właśnie temat wystąpił do mnie redaktor naczelny.

Szef każe – podwładny musi. Zgodziłem się na takie rozważania, mając świadomość, że jeżeli PiS powinno się noga na drodze do ponownego utworzenia rządu, to rozmaite łapserdaki będą wymachiwać tym tekstem jako dowodem zadufania prawicy. Ale potem stwierdziłem, że warto taki eksperyment myślowy przeprowadzić. Choćby po to, by podsumować w nim unikalną pozycję Prawa i Sprawiedliwości na polskiej scenie politycznej.

SAMI PRZECIW WSZYSTKIM

Gdy myślałem o sytuacji największej partii prawicy, przypomniał mi się pewien feministyczny transparent: „Dla kobiety żyć – to przeżyć”. Od samego początku istnienia – a już na pewno od pierwszej wygranej sejmowej w 2005 r. – PiS znajduje się w dziwacznej sytuacji ni to hegemon, ni to kandydata do wdeptania w podłogę. Musi wszystko zdobywać sobie sam i wygrywać wbrew wszelkim uwarunkowaniom.

Przed 2005 r. zarówno Platforma, jak i lewica postkomunistyczna lekceważyły Kaczyńskiego, zakładając, że u władzy będą przemienne albo obóz zreformowanych PZPR-owców, albo przedstawiciele partii „ludzi rozumu” – czy to miałyby być Unia Wolności, czy później Platforma Oby-



**Dla PiS żyć to znaczy
przeżyć**



watelska. Od początku też, a przynajmniej od 1993 r., PiS określano mianem opozycji antypaństwowej lub antysystemowej. Bliski współpracownik Aleksandra Kwaśniewskiego Ryszard Kalisz zapowiadał, że bracia Kaczyńscy będą trzymani zawsze pod kontrolą, otoczeni kordonem eliminującym partie „antysystemowe”, pozbawieni szansy dojścia do władzy.

Ta uwaga była bardzo charakterystyczna, bo słusznie zakładała, że model III RP, który wykreowano przy Okrągłym Stole, a który potem dobrze wpasował się w oczekiwania Unii Europejskiej, jest zamkniętym kanonem politycznym roszczącym sobie prawo do monopolistycznej władzy. W obrębie tego systemu możliwe były zmiany, ale pewne zasadnicze zasady były sztywne: orientacja na Berlin, liberalny system wartości, dominacja medialna elit postkomunistycznych i tych wywodzących się ze „światłej” części opozycji. Trzeba było politycznego trzęsienia ziemi w postaci afery Rywina i przeszacowania swoich sił przez Donalda Tuska, by PiS mógł w 2005 r. uzyskać największą liczbę głosów.

Jednak to zwycięstwo nie oznaczało jeszcze zdolności PiS do stworzenia trwałej większości sejmowej. Co charakterystyczne i potwierdzające żelazne zasady systemu III RP – Polskie Stronnictwo Ludowe nie chciało wejść wówczas w koalicję z Jarosławem Kaczyńskim. Było to zaprzeczenie dosyć powierzchownej opinii, że ludowcy wejdą w sojusz nawet z diabłem, byleby utrzymać swoje wpływy. Owszem, PSL nie przeszkadzali np. postkomuniści czy potem Platforma, ale PiS nigdy nie chcieli poprzeć. Dlaczego? Bo PSL zawsze było elementem układu pookrągłostołowego i cichym wyznawcą liberalnego konsensusu. Niezależnie od tego, że ludowcy co pewien czas puszczają w obieg swoją ulubioną bajeczkę, iż będą polską chadecją.

Koniec końców, na przełomie lat 2005 i 2006 PiS zawarł koalicję z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin. I było to doświadczenie dla Jarosława Kaczyńskiego niezwykle traumatyczne. Obie te partie okazały się nielojalne wobec PiS. Miały do załatwienia swoje małe interesiki, ale do żadnych daleko idących zmian, mimo rewolucyjnej retoryki, nie były zdolne. Media liberalne – które początkowo ubierały Leppera w strój nowego Jakuba Szeli,

a Romana Giertycha w kostium polskiego „brunatnego wodza” – gdy tylko zobaczyły, że mniejsi bracia koalicyjni pokazują różki Kaczyńskiemu, natychmiast zaczęły im gorąco kibicować.

Dla Kaczyńskiego była to nauczka – wszelkie koalicje kończą się dla jego partii bardzo źle. Po prostu nie da się realizować bardziej ambitnych planów, musząc dzielić władzę z partiami, które są niezdolne do wytrzymania niezwykle silnej presji zewnętrznej. Krótko mówiąc, rządy koalicyjne złożone z trzech czy czterech ugrupowań możliwe są w warunkach liberalnego konsensusu, gdy partie nie sięgają po żadne hasła mogące nań ściągnąć gniew czy to Brukseli, czy to liberalnych elit.

Dlatego w 2015 r. Kaczyński, po ponad siedmiu latach rządów PO-PSL, wyznaczył sobie ambitny plan walki o wszystko. I ku zdumieniu dużej części komentatorów wygrał i prezydenturę, i Sejm. Powtórzył podwójne zwycięstwo z 2005 r. Od tego czasu można powiedzieć, że kolejny premierzy – Beata Szydło i Mateusz Morawiecki – ciągnąć musieli dwie wielkie kule u nogi. Pierwszą były nadzwyczajne dla każdego rządu problemy związane z epidemią COVID-19 i wojną na Ukrainie, a druga kula to naciski Brukseli i zimna wojna domowa z obozem opozycji.

Jeżeli PiS uda się uzyskać trzecią kadencję, to będzie to przykład niesłychanej determinacji partii Jarosława Kaczyńskiego. Jednak takie dojście po raz trzeci do władzy możliwe będzie jedynie w wypadku samodzielnego zdobycia większości. Bardzo trudno mi uwierzyć, że polityczny strateg z Nowogrodzkiej zechce narażać się na uzależnienie od Konfederacji. Kaczyńskiego dzieli od Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka nie tylko różnica generacyjna, lecz także poziom politycznej dojrzałości. Każdy wojskowy wie, że lepiej działać, opierając się na własnych siłach, niż być sparaliżowanym sojuszem z niepewnym albo wręcz potencjalnie zdradzieckim sojusznikiem.

KOALICJE NIE DLA PIS

Dlatego jeśli PiS rozpocznie trzecią kadencję, to moim zdaniem tylko w razie własnej wygranej zapewniającej większość lub po ewentualnym „wydłubaniu” z innych ugrupowań tylu posłów, ilu trzeba do uzyskania większości. Jeśli to osiągnie, to będzie mógł myśleć dalej, jaką politykę

FOT. MAREK GORCZYŃSKI/PAP

prować w trzeciej kadencji. Podkreślam to, gdyż liberalne media uwielbiają przedstawiać PiS jako wszechmocnego hegemon. Tymczasem jest tylko parę ugrupowań w Europie, które muszą się zmagać z aż tak różnorodną i potężną koalicją wrogów. Od szefowej Komisji Europejskiej, Ursuli von der Leyen, poprzez otwarcie już wrogiego Polsce kanclerza Olafa Scholza, do trwale zabetonowanej w nienawiści do PiS opozycji: od PO przez Trzecią Drogę do Lewicy.

W tej bardzo trudnej dla PiS walce rządząca partia może liczyć wyłącznie na własny elektorat, który potrafi zachowywać lojalność mimo naturalnego po ośmiu latach zużycia się PiS-owców u władzy. Ten elektorat ufa PiS i jest to wynik bardzo umiejętnej komunikacji w obie strony. Niedawno Radosław Sikorski z emfazą pisał na łamach jednego z tygodników: „W obliczu tego, co wiemy o aferze wizowej, na miejscu wyborcy pisowskiego byłbym wściekły”. Rzecz w tym, że Sikorski przekłada swoje emocje na sposób myślenia wyborców prawicy. Wyborcy PiS nie są wcale ślepią tłuszcą dowiadującą się o świecie tylko tyle, ile im opowiedzą otaczające ich w świecie wiadomości TVP. Po prostu analizują politykę partii Kaczyńskiego i wyczuwają, że fakt wydania numerków na rozmowy kwalifikacyjne w paru ambasadach Trzeciego Świata nijak się ma do skutecznej polityki PiS w sprawie uchodźców. To samo dotyczy rzekomej ślepoty wyborów PiS na afery tej partii. „Gazeta Wyborcza”, nadymając wiele drobnych banalnych spraw do rangi „największych afer po 1989 roku”, uodporniła wyborców PiS na hałaśliwą wrzawę wokół kolejnych rzekomych pseudoafer.

PROGRAM NA KOLEJNE CZTERY LATA

Wspomnę raz jeszcze to hasło: „Dla PiS żyć to znaczy przeżyć”. Dużą część energii partia Jarosława Kaczyńskiego będzie musiała przeznaczać na kolejne rozgrywki z Komisją Europejską. Najbardziej realnym polem walki będzie problem migracji. Już teraz widać, że Unia Europejska z uporem wraca do paktu solidarności imigracyjnej i nie ustanie w zamiarach rozdzielania uchodźców między wszystkie kraje unijne. Kolejną próbą dla PiS będą jawnie już wyklarowane plany Niemiec, by zlikwidować prawo weta w Unii. Niemcy już dzisiaj

zdołali zawrócić w głowie ukraińskim politykom tezą, że bez zmienienia sposobu podejmowania najważniejszych decyzji nie będzie rozszerzenia Unii o Ukrainę. Jeśli PiS uzyska trzecią kadencję, to jednym z największych wyzwań będzie dla niego, jak wspierać Ukrainę w walce z Rosją, a jednocześnie ustrzec się pośredniej presji Niemiec na Polskę poprzez Wołodomyra Zełenskigo.

Przyszły rok przyniesie odpowiedź na pytanie, czy Donald Trump wróci do „białego domu”. Od tego, jaka będzie polityka w Europie Środkowej i Wschodniej, zależeć będzie, jak szerokie pole gry będzie miała partia Kaczyńskiego. Pytanie, w jakim stopniu PiS będzie miał wpływ na ocalenie istnienia Grupy Wyszehradzkiej. Być może groza kolejnej fali uchodźców na nowo sklepi przynajmniej sojusz Polski, Węgier i Słowacji, bo politycy prawicy w Czechach wyraźnie boją się ignorować Niemców.

Pod presją polityki wewnętrznej PiS będzie zmuszony utrzymać dość szeroki system świadczeń socjalnych na czele ze swym sztandarowym wynalazkiem „800+”. Morawiecki, który zapewne pozostanie na stanowisku premiera, będzie musiał znaleźć na to pieniądze. Jak dotąd, mimo obciążenia przez Brukselę sum z KPO, Morawiecki takie pieniądze jakoś znajdował ze zdolnością sztukmistrza.

No i wreszcie ostatnia istotna kwestia, która co pewien czas powraca, czyli przywództwo w partii. Wbrew kreowaniu wizerunku Kaczyńskiego jako tracącego kontakt z rzeczywistością dziadunia lider PiS wydaje się zachowywać wysoki poziom sprawności politycznej. Przewidywać można więc kolejne cztery lata kierowania partią przez „Wielkiego Jarosława”. Zastanawia, w jakim stopniu Kaczyński zacznie wprowadzać młodszą generację na coraz wyższe stanowiska partyjne i rządowe. Będą to ludzie, którzy mają swoje ambicje i którzy wiecznie nie będą chcieli poprzestawać na statusie wiceministrów. Pytanie, jak długo Kaczyński będzie miał siłę do osobistego stawiania czoła wrogom z zagranicy i kraju. Na razie jego poziom intelektualny sytuuje się o parę poziomów powyżej jego najbliższych współpracowników. Kanclerz Adenauer był aktywny w polityce bardzo długo. Kaczyński wydaje się iść jego śladem.

Znakiem rozpoznawczym PiS były w latach 2015–2023 wyraziste projekty, takie

jak przekopanie Mierzei Wiślanej czy potężne Świnoujście przeprawą podziemną z resztą kraju. Teraz zapewne kolejnym oczkiem w głowie rządu będzie Centralny Port Komunikacyjny. Zgodne jest to z ideą PiS, który chce łączyć swoje rządy z wyrazistymi, atrakcyjnymi projektami publicznymi. Partia zachowa też duży udział spółek Skarbu Państwa w stabilizacji ekonomicznej Polski. To nie znaczy, że PiS nie stanie wkrótce przed potrzebą zmierzenia się z postulatami młodych przedsiębiorców, którzy domagają się zauważenia przez partię Kaczyńskiego.

PiS będzie też kontynuował to, co przyniosło mu zwycięstwo. Aktywizację dużej części społeczeństwa, która w epoce III RP długo miała poczucie wykluczenia. To ci „uruchomieni” wyborcy z małych miast i miasteczek głosują na partię Jarosława Kaczyńskiego. Nawet niechętny zazwyczaj PiS prof. Jarosław Flis przyznaje: „Nie da się zaprzeczyć wyraźnym osiągnięciom nurtu republikańskiego w PiS, koncentrującego się na przełamywaniu zastanych pęknięć wspólnoty. Duża część społeczeństwa, która miała przez wcześniejsze ćwierćwiecze poczucie wykluczenia, poczuła się bardziej o siebie i zaangażowała się w większym niż dotychczas stopniu we wspólne sprawy”.

Te słowa pochwały ze strony politologa, bynajmniej niekryjącego sympatii dla opozycji, wskazują na przyczyny zbudowania przez Jarosława Kaczyńskiego silnego i lojalnego elektoratu. Mając za sobą taki twór socjologiczny, PiS nie musi się spieszyć do władzy ponownie w razie braku widoków na samodzielną większość. Podobny atut ma tylko Platforma. I to dlatego właśnie pomiędzy tymi dwoma podmiotami kontynuowany będzie spór o kształt Polski. Spór ściśle związany ze stosunkiem do Unii Europejskiej zamieniającej się w coraz bardziej despotyczną utopię. Jeśli PiS trzeci raz dojdzie do władzy, to będzie miało to wpływ na ośmielenie elektoratu tożsamościowego w innych europejskich państwach. Przypomina się okres lat 1980–1981, kiedy to Solidarność stworzyła fenomen, który rozsądzał obóz sowiecki. Podobnie jest i teraz. Ewentualna wygrana PiS będzie ogromnym wyzwaniem dla zamordystów i zwolenników urawniłowki z Komisji Europejskiej. Dlatego wizja trzeciej kadencji PiS musi niepokoić Ursulę von der Leyen.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



TANI
PARKING



WYGODNY
DOJAZD



DARMOWY
BUS

LOTNISKO

WARSZAWA-RADOM



DO EGIPTU BLIŻEJ Z RADOMIA

KOMFORT NA STARCIE

LEĆ NA ANEXTOUR.COM.PL

anex | 





Trzecia kadencja – rząd na czas wyzwań



Rafał A. Ziemkiewicz

W trzeciej kadencji rząd Zjednoczonej Prawicy musi wreszcie zacząć robić rzeczy, o które dotąd był tylko przez opozycję i jej zagranicznych sponsorów bezpodstawnie oskarżany

W kręgach niebezkrytycznych zwolenników obozu rządzącego upowszechnił się gorzki żart – ilekroć w takim towarzystwie mowa o którymś z nierozwiązywalnych od lat problemów życia publicznego,

prędzej czy później pada ironiczne stwierdzenie: „Jak PiS wreszcie dojdzie do władzy, to z tym skończy...”. Odzwierciedla to, jak sądzą, powszechne poczucie, że tym, za co najbardziej gotowi są Polacy winić Zjednoczoną Prawicę, nie są jakieś wysrane z palca afery ani zamachy na praworządność czy prawa obywatelskie, ale – nazwijmy to tak – słaba sprawczość. Gdyby PiS miał przeciwko sobie nie sfrustrowanych długotrwałym odstawieniem od władzy przegrywów, ale opozycję nieobciążoną rządami Tuska przed rokiem 2015, zamiast „dwóch wież” wypominałaby mu ona nieustannie listę obietnic zawartych w pierwszym sejmowym exposé Beaty Szydło.

Najbardziej udało się PiS przez te dwie kadencje to, na co najmniej liczonego: polska gospodarka jest rozpędzona jak

luxtorpeda, według przewidywań Forum Gospodarczego w Davos ma urosnąć w ciągu najbliższych pięciu lat o jedną trzecią i osiągnąć bilion dolarów rocznego PKB. Dobrze poszły Zjednoczonej Prawicy duże, strategiczne inwestycje infrastrukturalne (ale już programy „narodowego” samochodu elektrycznego czy taniego budownictwa mieszkaniowego okazały się klapą). Bez wątpienia skuteczny okazał się też PiS w wyrównywaniu nierówności społecznych – najniższy w UE „współczynnik Giniego” (im mniejsza jego wartość, tym mniejsze rozwarstwienie dochodów) to trudny do przecenienia warunek społecznego spokoju, zwłaszcza gdy w badaniach socjologicznych zaledwie 20 proc. obywateli określa swoją sytuację materialną jako niezadawalającą. Jeśli dodać do tego



PiS musi teraz naprawdę zabrać się m.in. za prawników, którzy stworzyli swoje „no-go zone”

FOT. ŁUKASZ SZELĄG/REPORTER

trafny wybór na główny temat kampanii kwestii szeroko rozumianego bezpieczeństwa, to w chwili, gdy piszę te słowa, zwycięstwo wyborcze i trzecia kadencja, najprawdopodobniej z samodzielną większością rządową, wydają się więcej niż prawdopodobne.

To, co wystarcza do wyborczego zwycięstwa, niekoniecznie jednak wystarcza do dobrego rządzenia. Po roku 2015 Zjednoczona Prawica nieprzerwanie dominowała w Sejmie, przez pierwszą kadencję miała także większość w Senacie (której utrata była jednak bardziej ciosem w prestiż niż utrudnieniem w sprawowaniu władzy) oraz swojego prezydenta. Do pełnego szczęścia zabrakło jej tylko większości konstytucyjnej – ale nasza konstytucja zawiera tyle niejasności i niedoróbek, że łatwo jest ją obchodzić

i nagiąć, jak to pokazała choćby sprawa Trybunału Konstytucyjnego.

Mimo to ostatnie osiem lat pełne było spektakularnych rejterad, i to w sprawach dla narracji PiS priorytetowych: ścigania kłamstwa o „polskich obozach zagłady”, „wstawania z kolan” w Unii Europejskiej, „repolonizacji” mediów czy reformy upolitycznionego od zarania III RP wymiaru sprawiedliwości.

PRZYCZYNY BŁĘDÓW

Żeby nie powtarzać w kółko tych samych błędów, trzeba zanalizować ich przyczynę. Osobiście wskazałbym dwa główne problemy, z którymi musi się uporać PiS w trzeciej kadencji. Pierwszy to ustępliwość – swego czasu zresztą słusznie wytykana przez PiS Tuskwowi – przed grozą sondażowych spadków. Dobrym przykładem jest tu sprawa węgla: rząd najpierw wpadł w panikę, gdy Tusk oskarżył go o to, że sprowadzając rosyjski węgiel, „finansuje Putina”, i wprowadził embargo pół roku wcześniej niż pozostałe kraje UE, a potem ponownie wpadł w panikę, gdy ten sam Tusk zaczął straszyć Polaków, że z powodu tego embargo w zimie zabraknie opału, i nasprawdzał z całego świata węgla zalegającego do dziś na hałdach ku wielkiemu niezadowoleniu górniczych związków zawodowych.

Ta słabość wynika w pewnym stopniu z drugiej: niezdolności do poradzenia sobie z zastosowaną przez „wysadzone z siodła” lewicowo-liberalne elity strategią „rozbiór dzielnicowy” państwa. Model opozycyjności, nazwany przez Grzegorza Schetynę „opozycja totalną”, polega na odmowie godzenia się z wyrokiem demokracji i współistnienia ze zwycięzcami w roli „junior partnera”; tam, gdzie obóz pomagdałenkowy nie ma przewagi, tam się wycofuje i stara się przewrócić stolik, delegalizując nieodpowiadający mu porządek, choćby symbolicznie, oraz sabotować wszelkie działania wroga bez względu na szkody i koszty, jakie to powoduje.

Reakcją na utratę kontroli nad całością kraju było ze strony PO i jej zaplecza wycinanie pewnych jego obszarów życia publicznego, tych, gdzie wciąż ma ona dominujące wpływy, i próba wyrwania ich spod władzy rządzonego przez PiS państwa. Najlepiej udało się to w za-

wodach prawniczych – zwolennicy PO, poprzez jej partyjne jaczki w rodzaju Stowarzyszenia Iustitia, stworzyli swoiste „no-go zone”, do których polska konstytucja, orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego – mówiąc krótko, polskie prawo w ogóle – nie mają wstępu. Kiedy takie strefy, swoiste państwka PO w państwie PiS, pojawiły się w miejscach tak niewralgicznych jak Sąd Najwyższy, wówczas funkcjonowanie Polski zostało jeśli nie sparaliżowane, to co najmniej mocno utrudnione. Tym bardziej że zarządzający korporacyjnymi państwkami opozycji okazali się równie lojalni wobec swojego kraju jak separatyści z Doniecka i Ługańska wobec Ukrainy i, podobnie jak oni Putina, przywołali w sukurs eurokratów i mocarstwa unijne.

Przez osiem lat PiS nie znalazł odpowiedzi na ów „rozbiór dzielnicowy”, dokonywany przy wsparciu brukselskich federalistów – a jeśli znalazł, to nie odważył się wcielić jej w życie. Jest to więc jedno z najpilniejszych do załatwienia zadań w trzeciej kadencji rządów centroprawicowych. W przeciwnym razie będziemy się pograżać w anarchii, co uczyni nas bezbronnymi wobec zasadniczego wyzwania dla polskiej suwerenności, którym jest obłąkańczy wręcz upór Niemiec i uzależnionej od nich eurokracji przeprowadzenia za wszelką cenę przed przyszłorocznymi wyborami europarlamentarnymi planu scentralizowania unii i przekształcenia jej, w drodze obejścia traktatów, w zarządzane centralnie „państwo europejskie” – które nieuchronnie, mocą strategicznych interesów Niemiec, dążyć będzie do sojuszu z Moskwą i Pekinem. Powodzenie tego planu jest nie do pogodzenia z polskimi interesami, z czego zresztą elity w Berlinie i Brukseli zdają sobie sprawę znacznie lepiej niż te w Warszawie – i mają przygotowany „plan B”, którym jest wypchnięcie Polski z UE, w strefę zginięcia, w nadziei, że wraz z rosyjskim sojusznikiem zdołają ją wtedy zdusić. Oczywiście, jak można się domyślać, owo wypchnięcie ma się dokonać w taki sposób, aby winą za nie obarczyć Polskę i aby w maksymalnym stopniu zapewnić sobie utrzymanie korzyści płynących z gospodarczych związków z nami, z jednoczesnym zminimalizowaniem naszych pożytków z tego samego tytułu.

Plan centralizacji UE jako „państwa europejskiego” – a nie widać na horyzoncie żadnej siły, która mogłaby go powstrzymać – jest nie do przyjęcia nie tylko dlatego, że oznacza ponowną utratę przez Polskę suwerenności, lecz także dlatego, że plan ten – całkowicie nieprzemyślany, oparty z jednej strony na fałszywych założeniach ideologicznych, a z drugiej na nieliczącej się ze skutkami pazerności europejskich, głównie niemieckich koncernów – wiedzy w istocie ku nieuchronnej katastrofie, ku bałkanizacji Europy. W kleconym na siłę dla ucieczki do przodu europejskim domu prędzej czy później (raczej prędzej) będzie się musiał zawalić dach. Polska powinna zrobić wszystko, aby w chwili, gdy to nastąpi, być już na zewnątrz.

PRZECIW ZWASALIZOWANIU POLSKI

Innymi słowy: czas, gdy w kwestiach obrony suwerenności można było lawirować, ustępować w nadziei, że przeciwnicy tym się zadowolą, pozorować etc., kończy się nieuchronnie. Polska musi zdobyć się wreszcie na prawdziwą politykę, nie tylko na spływanie z prądem i krzepienie się wiarą, że na zachodzie kontynentu też w końcu wygrają „populiści” i niemieckie zapędy centralizacyjne zostaną powstrzymane. Wyzwaniem dla Zjednoczonej Prawicy jest dziś obrachowanie szans i zagrożeń, przygotowanie odpowiedzi na nieuchronny atak na nasz kraj i przeprowadzenie go z pozycji unijnego wasala do pozycji regionalnego lidera – co nie musi się wiązać z wyjściem z UE, ale prawdopodobnie, z uwagi na politykę Niemiec, będzie.

Ponieważ częścią gry o zwasalizowanie Polski w ramach „państwa europejskiego” jest wykorzystanie przeciwko nam „separatystów” stosujących metody „totalnej opozycji” do anarchizowania prawa i państwa, oba wyzwania wiążą się ze sobą. Mówiąc brutalnie: czas, aby w trzeciej kadencji „katolicko-nacjonalistyczny rząd” zaczął wreszcie robić rzeczy, o które dotąd był tylko przez opozycję i jej zagranicznych sponsorów bezpodstawnie oskarżany. Wskazane byłoby rozpoczęcie kolejnej kadencji od usunięcia ze stanu sędziowskiego rokoszan, którzy od lat pozwalają sobie bezczelnie i bezkarnie łamać polską

konstytucję, wprost zakazującą sędziom prowadzenia działalności politycznej i uprawiania agitacji partyjnej. Ponieważ mianowanie sędziego, co potwierdzają wszelkie możliwe instancje, jest osobistą prerogatywą Prezydenta RP, również do niego należy – mocą logiki prawa i rozmaitych precedensów uznanych w polskim prawie od czasów prezydentury Wałęsy – stwierdzenie sprzeniewierzenia się konstytucji przez wspomnianych „warchołów w togach”, którzy zresztą sami deklarują, że nie czują się sędziami polskimi, ale „sędziami europejskimi w Polsce”.

Problem polega na tym, że oczyszczenie stanu sędziowskiego i rzucenie postrachu na inne korporacyjne „ługańska”, szukające obcej protekcji przeciwko państwu polskiemu, może być tylko wstępem do oczekiwanej od ośmiu lat reformy. A w tym właśnie, jak dotąd, Zjednoczona Prawica była najslabsza: w systemowym reformowaniu. Nawet nie ze względu na brak politycznej zręczności i częstą na tych łamach skłonność do naprzedniego naprawiania zegarka młotkiem oraz wycofywania się z prób takiej naprawy po mocniejszych protestach, ale ze względów – nazwijmy to – intelektualnych. Jest przepaść pomiędzy stwierdzeniem, że jest źle, a stworzeniem planu naprawy, i Zjednoczona Prawica musi się wreszcie nauczyć tę przepaść pokonywać. Zmiana nie może polegać wyłącznie na objęciu tego czy owego ściślejszą kontrolą partii czy nawet, w wypadku kwestii strategicznych, samego komendanta.

FRAKCJE A SPRAWNE RZĄDZENIE

Pamiętam dobrze, co pisałem w podobnym artykule, próbującym określić zadania dla nowego rządu, tuż po pierwszym wyborczym zwycięstwie PiS w roku 2015. Jako pierwsze i najpilniejsze zadanie wskazywałem wtedy reformę centrum, zmianę samego sposobu rządzenia – odejście od praktyk Polski resortowej, drastyczne ograniczenie liczby resortów, skupienie decyzji w wąskim kręgu, likwidację mechanizmów skutkujących decyzyjnym imposybilizmem. To chyba oczywiste, że chcąc dokonać jakiegokolwiek operacji, musimy najpierw stworzyć narzędzie, którym jej dokonamy – a narzędzia rządzenia odziedziczo-

ne po PRL i nieznacznie tylko zmienione po ustrojowej zmianie są wciąż tępe i nieskuteczne.

Moja ówczesna nadzieja, której źródłem było to, że oto pierwszy raz w III RP rząd tworzony jest przez jedną, mającą większość partię, a nie przez koalicję dzielącą się resortami i urzędami niczym przyniesioną przez wyborców pizzą, okazała się niestety płonna. Partia rządząca była wprawdzie jedna, ale miała układającą się między sobą frakcje. Właśnie stanowiska w rządzie stały się narzędziem wyważania ich wpływów i „wzmacniania kadrowego” – wskutek czego rząd spuchł do groteskowych rozmiarów, praktycznie stracił zdolność skutecznego rządzenia, a rolę sparalizowanych nadmiarem wice-ministrów resortów przejęły w znacznym stopniu odnośne biura rozbudowanej w tym celu kancelarii premiera. Jest to jakaś reforma centrum, ale karykaturalna i służąca politycznej bieżączce, a nie realizowaniu zadań państwa.

Dlatego gdybym wskazać miał jedno najpilniejsze zadanie, którym zająłbym się po 15 października na miejscu Jarosława Kaczyńskiego, wskazałbym właśnie to: usprawnienie procesu rządzenia. Jak już bowiem tu wspominałem i jak piszemy od wielu miesięcy, 30-lecie względnego spokoju, podarowane nam przez historię po upadku ZSRS, już się skończyło. Globalizacja została zakończona i odwrócona, na polityczną scenę wróciły (nigdy zresztą jej nie opuściły, zostały tylko schowane) interesy narodowe i mocarstwowe, kształtuje się nowy układ sił i sojuszy, a proces ten czyni zupełnie realną perspektywę zaangażowania Polski w pełnoskalową wojnę w przeciągu nawet kilku najbliższych lat.

W ten trudny czas, niosący po raz kolejny zagrożenie dla naszej suwerenności, ale i historyczną szansę uwolnienia się wreszcie od dławiących nas od wieków niemiecko-rosyjskich kleszczy, wchodzi Polska skłócona i zanarchizowana, z magnacką opozycją gotową w obrobie swych latyfundiów sprzymierzyć się z najgorszymi wrogami własnej Ojczyzny i neosanacyjną władzą, wciąż tkwiącą w anachronicznym, urzędniczym modelu zarządzania państwem.

Cóż, zdarzało nam się w historii wychodzić zwycięsko z gorszych sytuacji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



WSCHODNIA GRANICA POLSKI W OGNIU!

Jak II RP poradziła sobie
z sowieckimi atakami
hybrydowymi

Lekcja Korpusu Ochrony Pogranicza – zdecydowane działania Warszawy ostudziły zapędy Moskwy

Malarska zemsta Zamoyskiego – obraz zamówiony u Jana Matejki miał być rewanżem po trzech wiekach...

Atomowa gorączka '83 – NATO-owskie ćwiczenia „Able Archer” zelektryzowały ZSRS

Krzyż i półksiężyc na Lewancie – wspomnienia Usamy ibn Munkiza idą w poprzek popularnym wyobrażeniom o pograniczu islamsko-chrześcijańskim

Książęce tajemnice – Zamek Książ w Wałbrzychu ma długą i fascynującą historię usianą skandalami

„Prigożyn” Lenina – Paweł Dybienko zrobił zawrotną karierę w partii bolszewickiej, mimo że zorganizował bunt przeciw... Leninowi

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



FOT. MICHAŁ WOŃNIAK/EAST NEWS

KAROL GAC: Rozmawiamy dzień po Marszu Miłona Serc PO i konwencji PiS w Katowicach. Przed nami ostatnie dwa tygodnie kampanii wyborczej. **Odważy się pan na prognozę wyborczą?**

JÓZEF ORZEŁ: Odważę się, ponieważ w odróżnieniu od innych kolegów nie żyję z prognoz, więc mogę się skompromitować. Sądzę, że nie zmieniło się za wiele w ciągu ostatniego miesiąca. PiS prowadzi w sondażach z przewagą 5–10 punktów procentowych nad Koalicją Obywatelską, więc prezydent w pierwszym kroku powierzy zapewne tej partii misję tworzenia rządu. Może się ona jednak nie udać. Ulec

realizuje taktykę polaryzacyjną, zero-jedynkową, PiS vs. PO, co może dać poparcie wyborcze tylko 37,5–38,5 proc. Wynika to z tego, że PiS nie kieruje swojego przekazu do grupy niezdecydowanych, których jest od 10 do 20 proc. Wśród nich – jak badania pokazują – jedna trzecia jest skłonna głosować na PiS, jedna trzecia na opozycję, a jedna trzecia nie wie, czy i na kogo odda głos. To oznacza, że – według „jastrzębiej” opcji – nie są oni warci zachodu, bo nie przesądzą o niczym. Natomiast według „gołębi” mówienie do nich ma duży sens. Za przykład można podać drobnych

Pana zdaniem większe szanse na utworzenie rządu ma Zjednoczona Prawica czy tzw. **anty-PiS?**

To zależy od najbliższych dni i wyniku Trzeciej Drogi. Jeśli utrzyma się na poziomie przynajmniej 10 proc., to opozycja może zbliżyć się do 230 mandatów. Zresztą ona też może próbować kupić paru posłów. Według mnie mamy prawie idealny remis i obie strony mają szansę na stworzenie niestabilnego rządu o niewielkiej przewadze, co może oznaczać, że taki rząd nie utrzyma się przez całą kadencję.



Z Józefem Orłem, filozofem i ekonomistą, założycielem Klubu Ronina rozmawia Karol Gac

Wkroczymy w okres słabych rządów

może zmianie za to sytuacja opozycji. Obecnie może ona liczyć na 215–225 mandatów. Pytanie więc, czy po Marszu Miłona Serc nastąpi podobny efekt do tego, jaki miał miejsce w czerwcu: PO wzrośnie, a spadnie Trzeciej Drodze...

Wtedy może ona wypaść z Sejmu.

Tak, a nawet jeśli się utrzyma, to nie wiadomo, jaka będzie suma mandatów po stronie opozycji, bo po marszu 4 czerwca spadła. Widać jednak ciężką pracę Trzeciej Drogi i przywódców PO, aby TD nie spadła poniżej 8 proc. Jednocześnie można zauważyć to, że szefowie TD i PO się nie dogadują. Być może TD sygnalizuje, że niekoniecznie musi iść z Tuskiem, co otwiera przestrzeń do tego, aby PiS mógł myśleć o części PSL w kontekście ewentualnej koalicji.

Warto zresztą zwrócić uwagę na dyskusję wewnątrz samego PiS. Sztab wyborczy

przedsiębiorców, którzy dużo częściej głosują na PiS, niż się to wydaje. Tymczasem w ofercie ideowej PiS ich pominął.

Zemści się na nim?

Sprowadza się to do bardzo prostej konsekwencji. Jeśli PiS będzie miał ok. 37 proc. (to oznacza 190–195 mandatów), to będzie musiał szukać koalicjanta, a jeśli będzie miał 40 proc. i ok. 210–215 mandatów, to „dokupi” sobie posłów, np. z tylnych ław Konfederacji.

Tyle tylko, że co innego przeciągnąć na swoją stronę kilka osób, a co innego grupę 15 czy 20 posłów.

To prawda, ale znając talenty PiS i jego aparatu, jest to możliwe. Skoro w rządzie jest ze 100 wiceministrów, to co za problem, by było ich ze 130? Zwłaszcza że to niewielki wydatek. Do tego można dodać spółki Skarbu Państwa.

Czeka nas zatem dogrywka?

Moim zdaniem tak, jeśli Konfederacja, zgodnie z zapowiedziami, nie wejdzie w koalicję z PiS lub PO. Wtedy za pół roku będą następne wybory, a wówczas znów wszystko będzie zależało od Konfederacji. Nawet jeśli uda się utworzyć rząd, to sytuacja międzynarodowa, a szczególnie trudne relacje z UE i Niemcami, spowodują, że szanse na stabilny rząd będą małe. Wyobraźmy sobie, że wygrywa opozycja, Donald Tusk jedzie do Berlina/Brukseli, a tu zamiast worka pieniędzy unijnych dają mu listę żądań: zmiany postawy wobec Ukrainy z proamerykańskiej na pro-niemiecką, zgodę na centralizację i federalizację UE, zgodę na przymusową alokację nielegalnych imigrantów, cichą rezygnację z energii atomowej itd. Tusk to może natychmiast podpisać, ale część jego posłów może się zbuntować i PO straci większość. Wydaje mi się, że Polska wkrocza

■ w okres słabych rządów à la AWS, choć ten dotrwał do końca kadencji.

Biorąc pod uwagę otoczenie międzynarodowe, byłby to niezwykle negatywny scenariusz.

O tym może rozstrzygnąć sytuacja zewnętrzna, która będzie zmuszała Polskę do trudnych wyborów. Wystarczy wspomnieć o sytuacji wewnątrz UE, kryzysie migracyjnym, energetycznym, polityce klimatycznej, wojnie rosyjsko-ukraińskiej, rywalizacji USA – Chiny itd. Może sobie z nimi dać radę tylko rząd z silnym wsparciem społecznym, a tego nie widać na horyzoncie.

A może sondaże i badania nie wychwytyją wszystkich emocji społecznych? Generalnie Polakom żyje się względnie dobrze. Może zaskoczą nas przy urnach wyborczych?

Wiemy z badań, że priorytetem dla ludzi jest bezpieczeństwo, w wielu wymiarach (militarne, ekonomiczne, społeczne, zdrowotne itd.). Pytanie, która – według wyborców – partia zagwarantuje ten spokój.

Obóz rządzący? Może i są różne problemy, ale na ulicach jest bezpiecznie, gospodarka się kręci, a armia rozwija. Wydaje się, że Zjednoczona Prawica mocno inwestuje w ten przekaz i na tym oparła swoją kampanię.

Rzeczywiście tak jest, że względnie zadowolona z życia jest większość, ale z drugiej strony obawia się ona zagrożeń, które przychodzą z zewnątrz. Wydaje się, że polityka PiS przynosi Polsce nieporównywalnie więcej bezpieczeństwa niż rządy PO. Nie jest prawdą zdanie opozycji, że konflikt z UE jest winą PiS. To Bruksela i Berlin po cichu oraz wolno wypychają Polskę z UE, bo niezależna Polska jest przeszkodą na drodze do federalizacji Unii i do uniezależnienia się od USA, a to także oznacza rozbięcie sojuszu Polski z Ukrainą. Ta na swoje nieszczęście zaczyna grę z Niemcami, co jej się szybko odbije czkawką. Interesem Niemiec jest to, by Ukraina była zależna od Niemiec, ale wcale nie jako członek UE. Prędzej czy później Ukraińcy przekonają się, jak jest, komu więcej zawdzięczają i z kim więcej mogą osiągnąć. A zawdzięczają Polsce.

Niemcy przez lata inwestowali w elitę ukraińską, a Polska zainwestowała w naród.

Nie tylko w naród, bo za chwilę okaże się, że jest część elity konkurencyjna wobec Zełenskigo, np. wojskowi, którzy zazwyczaj wchodzi do polityki po wojnie. W dodatku, jeśli ekipa Zełenskigo potrafiła zmienić stosunek Polski tak szybko i pod wpływem nikłych impulsów, to może się okazać, że niedługo znów zmieni zdanie. Problem w tym, że to nic dobrego dla Polski i Ukrainy, bo trudno budować sojusz z tak niekonsekwentnym i niepewnym partnerem. Ale pamiętajmy, pod jaką presją wojny jest rząd Ukrainy.

Czynników wpływających na postawę Ukrainy jest wiele, w czasie kampanii wyborczej mówi i robi się różne rzeczy, ale jeśli wybory wygra PiS, to czy spodziewa się pan, że polityka w stosunku do Ukrainy będzie już inna, bardziej asertywna?

Na pewno nie powinna wrócić do tego, co było. Ta polityka była oparta na przekonaniu, że Ukraina bronić się przed Rosją, broni i nas. A także na nieco sztucznym entuzjazmie politycznym i prawdziwej, empatycznej i solidarnej postawie Polaków. Tyle tylko, że niczego w zamian nie żądaliśmy i nie dostaliśmy. Od roku mówiłem, że Ukraina chce być w relacjach z Polską naszym starszym bratem. To, czego brakowało, a co Ukraińcy budują z innymi państwami, to umowa o strategicznym sojuszu. Nie tylko o tym, co damy uchodźcom (także w nadziei, że w przyszłości przyjeżdżające do nas Ukrainki i Ukraińcy uznają, że to w Polsce jest lepiej i bezpieczniej). Nie domagaliśmy się zawarcia traktatu o specjalnych warunkach współpracy między naszymi państwami. Wiadomo przecież było, że prędzej czy później musi np. nastąpić strategiczne starcie w sprawie polityki rolnej. Ukrainie przecież wcale nie chodzi o to, by sprzedawać zboże w świat, ale w UE (więc i w Polsce). Tu są najwyższe ceny i najniższe koszty transportu.

Wróćmy do wyborów. Jaka to kampania wyborcza? Zaskoczyło coś pana?

Nic istotnego. Spodziewałem się, że będzie to najbardziej brutalna walka, bo i jest o co. To spór o to, czy Polska ma być suwerenna czy nie. Przytoczę za prof. Andrzejem Nowakiem definicję ks. prof. Tischnera: być sobą u siebie. Tyle tylko, że nie da się tego słuchać.

Zaskoczyły mnie media, które uważają, że Polacy chcą słuchać kłótni polityków i je oglądać. Telewizjom się wydaje, że zapewniają sobie oglądalność, a ja się spodziewam, a mam takie doświadczenie, że po wyborach Polacy jeszcze rzadziej będą je oglądać i stracą wszystkie trzy główne stacje informacyjne.

Zaskoczyło mnie też wpadnięcie w pułapkę nadmiaru programowego obu stron sporu politycznego. Wydawało im się, że Polakom trzeba obiecać jak najwięcej, ale to tak nie działa. Wyborcy mogą zapamiętać kilka obietnic, ale nie sto (PO). W dodatku trzy bloki opozycyjne przedstawiły swoje trzy worki prezentów i nikt nie zapytał, czy uzgodnione ze sobą. Oczywiście nie, a przecież rząd opozycji musiałby je zredukować najwyżej do jednego. Dobrym pomysłem PiS było to, by w referendum zawrzeć cztery pytania, ale naprawdę tylko trzy problemy. Jednak chwilę później PiS zaczął prezentować kolejne propozycje.

Jarosław Kaczyński postawił na konsolidację obozu i wdrożył hasło „Wszystkie ręce na pokład”. W nowym Sejmie pojawiają się stare problemy związane ze sterownością obozu, ale jej koszty drastycznie wzrosną?

Tych problemów będzie jeszcze więcej, a sterować będzie jeszcze trudniej. Zresztą to samo będzie dotyczyć drugiej strony. Już teraz przy PiS gromadzi się spora liczba singli, a będzie ich jeszcze więcej. Obie strony będą więc trzymały wysoko transparenty z hasłem „My płacimy lepiej”.

Mateusz Morawiecki pozostanie premierem?

Jeśli PiS osiągnie dobry wynik – to tak. Jeśli nie, to zdecyduje Jarosław Kaczyński.

Zalóżmy, że rząd utworzy rzeczywiście Zjednoczoną Prawicę. Obawia się pan scenariusza, w którym wynik wyborów zostanie zakwestionowany, a Donald Tusk będzie chciał wyprowadzić ludzi na ulice?

Tusk ma w tym wprawę, Bruksela i Berlin też, ale to wyniku wyborów nie zmieni. To fascynujący temat, ale chyba na rozmowę po wyborach.

A co z samym Tuskiem w przypadku porażki? Przetrwa? Odejdzie? Zostanie obalony?

Jeśli PiS wygra, to cały aparat PO wpadnie w duże kłopoty, m.in. z czego oddać 45 mln zł. To też temat na późniejszą rozmowę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



CRYSTALHOUSE
LUXURY REAL ESTATE AGENCY



UROKLIWY DWOREK W PRZEPIĘKNEJ SCENERII



Ewelina Baran
+48 535 700 166
e.baran@crystalhouse.pl



w w w . c r y s t a l h o u s e . p l

eprasa.pl 2b480d9493



Z prof. Antonim Dudkiem, politologiem
z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Mgła wyborcza



RYSZARD GROMADZKI: Marsz opozycji, który odbył się 1 października w Warszawie, poniesie ją do zwycięstwa w wyborach czy to tylko zaklinanie rzeczywistości przez Donalda Tuska?

PROF. ANTONI DUDEK: Wbrew pozorom jest to bardzo skomplikowane pytanie, bo to nie jest tak, że mamy dziś zjednoczoną opozycję, której każdy punkt procentowy zbliżania się do PiS powoduje, że może ona ten PiS dogonić czy przegonić. Mówimy o indywidualnym pościgu Koalicji Obywatelskiej za PiS i tu mamy mechanizm naczyń połączonych, bo jeśli marsz z 1 października pomoże Koalicji Obywatelskiej dogonić PiS, to odbędzie się to czymś kosztem. Wiemy z wcześniejszych badań, że to odbywa się głównie kosztem Trzeciej Drogi. Co z kolei może oznaczać, że choć sam Tusk osiągnie lepszy wynik, to opozycja jako całość – ta na lewo od PiS, nazywająca się demokratyczną – uzyska wynik gorszy.

Jeśli Trzecia Droga nie przekroczy progu wyborczego, to otworzy się szansa dla PiS na samodzielne rządy. Tym samym sukces formacji Tuska może być paradoksalnie klęską większości opozycji, za której lidera się on uważa. Na tym polega złożoność sytuacji, z którą mamy do czynienia.

Mówiąc krótko, wchodzimy w coraz głębszą mgłę. Widzę trzy scenariusze. Pierwszy uważam za bardziej prawdopodobny, dwa pozostałe za nieco mniej, ale każdy z tych scenariuszy może się zrealizować.

Zacznijmy od pierwszego scenariusza...

Ten scenariusz jest najbardziej oczywisty i wynika z większości sondaży, które dotąd mieliśmy. Zgodnie z nim wyłania się taki skład Sejmu, w którym Konfederacja staje się języczkiem u wagi. Z jednej strony Zjednoczona Prawica, z drugiej

ta trójczłonowa koalicja, nieistniejąca jeszcze, ale mająca się zrealizować – a więc Lewicy, Trzeciej Drogi i Koalicji Obywatelskiej, która będzie tu najsilniejszym graczem – nie mają samodzielnej większości. W tej sytuacji Konfederacja, mająca 20, 30, 40, a nawet 50 posłów, bez których żadna strona nie ma większości, ma pakiet kontrolny. Ten scenariusz jest dziś najbardziej prawdopodobny.

Ten wariant będzie możliwy w wypadku dobrego wyniku Konfederacji. Przeanalizujmy scenariusze, w których Konfederacji powinno się noga...

Oczywiście mamy też dwa warianty, w których Konfederacja nie jest wcale języczkiem u wagi. Wedle jednego to Zjednoczona Prawica ma samodzielną większość, ale to ściśle wiąże się z losem Trzeciej Drogi. Aby scenariusz samodzielnego rządów Zjednoczonej Prawicy mógł się zrealizować, Trzecia Droga nie może



FOT. ALBERT ZAWADA/PAP

trzone są co najmniej trzyprocentowym błędem. Jeżeli zatem weźmiemy sobie dowolny sondaż i komuś zaczniemy dodawać, a komuś odejmować te trzy procenty, to z większości sondaży wyjdzie nam właściwie każdy z tych scenariuszy, które wymieniałem.

To pokazuje, w jakiej skali niejasności będziemy do 15 października. Bardzo bym się zdziwił, gdyby w ostatnim tygodniu przed wyborami sondaże na tyle się zmieniły, żeby któryś z tych scenariuszy, które wymieniałem, stał się nagle całkowicie nieprawdopodobny. Zastrzegam przy tym, że rozmawiamy 2 października po południu. Hipotetycznie może się zatem jeszcze bardzo dużo zdarzyć, choć osobiście uważam, że raczej się nie zdarzy.

W tym miejscu podam swój ulubiony przykład. Jak wiemy, TVP wystąpiła z propozycją debaty do wszystkich sztabów. Jeśli do takiej debaty dojdzie – choć nie wiem, czy to nastąpi – to może się powtórzyć sytuacja z 2015 r. Chodzi o debatę 10 przedstawicieli sztabów, które miały ogólnopolskie listy, gdzie w roli przedstawiciela partii Razem wystąpił Adrian Zandberg. Partia Razem nie przekroczyła wtedy progu wyborczego, ale Zandberg wypadł na tyle dobrze, że odebrał Zjednoczonej Lewicy Millera i Palikota, co najmniej 0,5 proc. głosów, a dokładnie tyle zabrakło im do przekroczenia ośmioprocentowego progu. A to spowodowało, że Zjednoczona Prawica uzyskała, mając 37,5 proc. głosów, samodzielną większość, a dokładnie 235 mandatów.

Jeśli zatem dojdzie do podobnej debaty w TVP, np. w środę 11 października, to może się okazać, że nowym Zandbergiem zostanie przedstawiciel Bezpартijnych Samorządowców, których kandydat czy kandydatka wypadną na tyle dobrze, że odbiorą komuś 1 proc. poparcia. Pytanie: Komu? No, najpewniej Trzeciej Drodze, która tym samym spadnie poniżej progu. Wtedy siłą rzeczy powtórzy się sytuacja z 2015 r. I znowu pytanie: Na czyją korzyść? W tym przypadku raczej na korzyść PiS. Ale może też być tak, że to polityk PiS powie coś, co sprawi, że część oglądających przerzuci swój głos na Konfederację.

Który elektorat w pana ocenie jest dziś najbardziej niedoszacowany? W sytuacji, kiedy o tym, kto będzie rządził Polską przez kolejne cztery lata, decydować mogą detale, przepływ niewielkiej

puli głosów, wydaje się, że ta kwestia nabiera kluczowego znaczenia.

Tak, to rzeczywiście istotne pytanie, ale nie potrafię na nie odpowiedzieć. Znam różne argumenty dotyczące niedoszacowania różnych elektoratów, ale żaden mnie do końca nie przekonuje. Kiedyś, gdy istniała Unia Demokratyczna, a później Unia Wolności, była ona zawsze partią przeszacowaną w sondażach, bo „wypadało” na nią głosować. Ale od kilkunastu lat sytuacja w polskiej polityce się zmieniła. Dlatego mogę sobie wyobrazić, że PiS jest przeszacowywany, jako że wielu ludzi, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach, boi się przyznać, iż nie chce głosować na PiS. Może ich też zniechęcić konieczność wzięcia kartki referendalnej, rezygnacja z niej bowiem będzie publiczną deklaracją wrogości do PiS. Ale mogę sobie też wyobrazić odwrotną sytuację, w której przeszacowane jest poparcie dla Koalicji Obywatelskiej. Wielu ludzi w dużych miastach ma dość Tuska i ostatecznie na niego nie zagłosuje, ale nie wypada im się do tego przyznać, bo to jest główna partia opozycyjna i dlatego warto ją wspierać.

Wróćmy do pierwszego scenariusza, który pan przedstawił, w którym pakiet kontrolny w Sejmie ma Konfederacja. Konfederacja, która na razie odcina się zdecydowanie od koalicji zarówno z PiS, jak i z Koalicją Obywatelską. Czy to oznacza strukturalny pat z perspektywą przedterminowych wyborów?

Pamiętajmy, że to, co politycy mówią o koalicjach przed wyborami, niekoniecznie potwierdza się po wyborach. Po pierwsze, Konfederacja może zmienić zdanie. Po drugie, może zmienić zdanie część Konfederacji, bo – jak sama nazwa tej formacji pokazuje – jest ona zlepią z kilku bytów, przede wszystkim z partii Mentzena i partii Bosaka. Liberałom Mentzena jest mimo wszystko bliżej do Koalicji Obywatelskiej, z kolei narodowcom Bosaka jednak bliżej do PiS. To się może zmaterializować po wyborach. Ale można też sobie wyobrazić, że Konfederacja „nie pęknie”, mówiąc kolokwialnie, i wystawi się na licytację. Założmy na moment, że jest ona w stanie przeżyć te zakulisowe próby jej rozbicia, a zarazem jej liderzy podtrzymają swoją deklarację o niewchodzeniu do koalicji rządowej. Mogą wtedy próbować się ustawić w roli kontrolera rządu mniejszościowego i w tzw. trzecim kroku konstytucyjnym

przekroczyć progu wyborczego, bo wtedy PiS dostanie największy bonus mandatowy kosztem Trzeciej Drogi. Równocześnie jednak Koalicja Obywatelska nie może w tym scenariuszu za bardzo zbliżyć się do Zjednoczonej Prawicy, bo wtedy ona też dostałaby trochę tych ekstramandatów kosztem Trzeciej Drogi. To jest scenariusz numer dwa, który – jak powiedziałem – uważam za mniej prawdopodobny od scenariusza pierwszego.

Wreszcie scenariusz numer trzy, który uważam za porównywalnie prawdopodobny ze scenariuszem drugim. To jego odwrotność. Zakłada on, że podmioty tzw. opozycji demokratycznej mają samodzielną większość, a PiS i Konfederacja łącznie nie mają 231 mandatów. Przy takim rozdaniu nawet koalicja z Konfederacją nie ratuje PiS. Taki wariant też uważam za możliwy, ponieważ moim zdaniem dzisiaj wszystkie sondaże opa-

■ umożliwić powstanie rządu PiS bądź anty-PiS, który bez nich nie przeprowadzi żadnej istotnej ustawy. A aby mieć gwarancje, że nie zostaną oszukani, przed umożliwieniem powstania takiego rządu wysuną swojego kandydata na marszałka Sejmu. I w zależności od tego, która ze stron zgodzi się na taki układ, udzieli poparcia jej mniejszościowemu gabinetowi. Jest oczywiście, że taki układ nie przetrwałby czterech lat. Ale już przez półtora roku, które pozostaną nam do wyborów prezydenckich, wydaje mi się to możliwe.

Mówi się, że w wypadku paraliżu systemu władzy, który mógłby nastąpić po 15 października, przedterminowe wybory możliwe są na wiosnę przyszłego roku.

Nie bardzo wierzę w prognozy o przedterminowych wyborach na wiosnę przyszłego roku. Z trzech powodów. Po pierwsze, jest mało prawdopodobne, żeby w ciągu kilku miesięcy nastroje społeczne zmieniły się w na tyle istotny sposób, aby układ Sejmu „jesiennego” był istotnie różny od tego „wiosennego”. Po drugie, polscy politycy mają już przewidziane na wiosnę przyszłego roku dwie inne kampanie wyborcze, na czele z tą ważniejszą – samorządową. A są to bardzo kosztowne i skomplikowane wybory, ogromnie angażujące polityków. Trochę mniej angażujące są wybory europejskie, ale nie wolno ich bagatelizować. Tak czy owak, obydwie kampanie czekają nas w kwietniu i maju przyszłego roku. Po trzecie wreszcie, wielu ludzi, którzy dużo zainwestowali, by zostać posłami 15 października, z oczywistych względów zrobi wiele, aby po kilku miesiącach nie być zmuszonymi do ponownego wysiłku, by odnowić mandat. Twierdzę, że nasza klasa polityczna nie jest przygotowana na wybory parlamentarne co kilka miesięcy. W związku z czym jej miążdząca większość zrobi wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

Czyli jakaś koalicja sklecona po wyborach 15 października ma szansę na dłuższy termin używalności?

Oczywiście z czasem, doraźnie, koalicja parlamentarna może zamienić się w koalicję rządową. Kiedy Kaczyński lepił na przełomie lat 2005 i 2006 koalicję z LPR i Samoobroną, najpierw nie było jej

w ogóle, później był tzw. pakt stabilizacyjny, a koalicja „urodziła się” dopiero pół roku po wyborach parlamentarnych. Choć, jak wiemy, długo nie pociągnęła. Natomiast mogę sobie wyobrazić, że jakiś scenariusz skleconej od biedy koalicji może powstać.

Tak czy owak, wszystko rozstrzygnie się wiosną 2025 r., za sprawą wyborów prezydenckich. Wtedy albo ten układ, który się wyłoni z tegorocznych wyborów parlamentarnych zostanie wzmocniony, bo prezydent będzie tej samej orientacji, albo też zderzy się z tym prezydentem i wtedy do przedterminowych wyborów może dojść na jesieni 2025 r. Dziś uważam taki scenariusz za najbardziej prawdopodobny.

Tak czy owak, wszystko rozstrzygnie się wiosną roku 2025 za sprawą wyborów prezydenckich

PiS wciąż ma szansę na samodzielne rządy przez trzecią kadencję z rządu. Tego w naszej historii politycznej po 1989 r. jeszcze nie było. PiS udało się uniknąć efektu „zużycia władzy”?

Tak, to sytuacja, której dotąd nie było. Jesienią 2015 r. wiedzieliśmy już, że Platforma wyborów nie wygra. To było jasne od wiosennych wyborów prezydenckich, które wygrał Andrzej Duda. Pozostawało tylko pytanie, jak wysokie będzie zwycięstwo PiS. Za sprawą porażki Zjednoczonej Lewicy, o której już wspominałem, okazało się, że była to samodzielną większość. Jednak trzeba zauważyć, że ta trzecia kadencja PiS – jeśli do niej dojdzie – będzie wyglądała inaczej niż dwie poprzednie. Będzie to kadencja dla PiS znacznie trudniejsza. Po pierwsze dlatego, że coraz trudniej będzie utrzymać hojną politykę społeczną w połączeniu z olbrzymimi wydatkami obronnymi. Po wtóre, wiosną 2025 r. ich kandydat lub kandydatka będą musieli wygrać wybory prezydenckie. Ponieważ jeżeli ich nie wygrają – a z przyczyn demograficznych będzie to znacznie trudniejsze niż w 2020 r. – to system polityczny ulegnie zablokowaniu. Inaczej mówiąc, uważam, że czas dobrej pogody dla Prawa i Sprawiedliwości się kończy, tylko nie wiadomo jeszcze, czy załamanie

nastąpi już jesienią tego roku czy dopiero wiosną 2025 r.

Skutkiem wyborów 15 października może być koniec ery Kaczyński – Tusk w polskiej polityce?

W wypadku PO sprawa sukcesji jest dość prosta. Po przegraniu wyborów przez Tuska pojawi się u niego delegacja czołowych polityków Platformy Obywatelskiej z następującym przesłaniem: „Donald, jesteś naprawdę fantastycznym facetem, ale już pora, żebyś wrócił do Sopotu bawić wnuki, bo przecież tak bardzo je kochasz. Mamy w blokach Rafała. Gdyby nie twoje przywództwo, z Rafałem wygralibyśmy te wybory, a tak znowu je przegraliśmy”. Myślę, że sprawa jest tu jasna. Najbardziej oczywistym sukcesorem w Platformie Obywatelskiej jest Trzaskowski.

Jeśli chodzi o PiS, to sytuacja jest bardziej złożona. Kaczyński ma jednak silniejszą pozycję w PiS niż Tusk w Platformie. Gdyby do Kaczyńskiego przyszła podobna delegacja, wyrzuciłby ją pewnie za drzwi, a nazajutrz z partii. W związku z czym wszyscy będą czekać, aż sam Kaczyński coś zdecyduje. Mam wrażenie, że nawet jeśli PiS wygra trzecią kadencję, to Morawiecki nie będzie już premierem, tylko zostanie oddelegowany na stanowisko kandydata PiS na prezydenta. Byłoby bowiem bez sensu, gdyby najpopularniejszy polityk PiS, jak wynika z sondaży, przez półtora roku zużywał się dalej w roli premiera, skoro może wygrać wybory prezydenckie. To byłoby zresztą dla niego optymalne rozwiązanie, bo jeśli chodzi o przejęcie schedy po Kaczyńskim w samym PiS, to Morawiecki ma dwa spore problemy: zbyt krótkiego stażu i zbyt dużego majątku. Oba są nie do zniwelowania. To jednak nie dyskwalifikuje go w walce o sukcesję, jeśli Kaczyński bardzo kategorycznie na niego postawi. Kogokolwiek jednak prezes PiS wskaże jako swojego następcę, to ten ktoś będzie bazował przede wszystkim na tym kredycie zaufania od Kaczyńskiego. PiS to partia wodzowska w 100 proc. Osobiście jednak jestem zdania, że jeśli mózg Kaczyńskiego będzie pracował tak jak obecnie, to nawet gdyby ciało coraz bardziej odmawiało mu posłuszeństwa, będzie on nadal kierował tą partią. Nawet z wózka i możliwe, że przez całą obecną dekadę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Twoja Domena, Twoja Tożsamość Online!



Odkryj idealną domenę internetową w naszej ofercie!



Unikalne i zapadające w pamięć adresy online na sprzedaż.



Zdobądź swoją przestrzeń w sieci już teraz!



Atrakcyjne ceny – wejdź na domenę aby sprawdzić cenę, złożyć ofertę lub skontaktować się z nami.

Lista atrakcyjnych domen na sprzedaż:

[pilka24.pl](#)

[korba.pl](#)

[kulisy.tv](#)

[pitbul.pl](#)

[bloxpert.pl](#)

[wik24.pl](#)

[jakitaki.pl](#)

[ocen.pl](#)

[cgmk.pl](#)

[ituba.pl](#)

[blogzone.pl](#)

[ototrend.pl](#)

[ototred.pl](#)

[otostyl.pl](#)

[infotuba.pl](#)

[infotuba.eu](#)

[bokserek.pl](#)

[newspr.eu](#)

[capital-point.pl](#)

[capital-point.eu](#)

[newspr.pl](#)

[wik.com.pl](#)

[ototredy.pl](#)

[trafnie.pl](#)

[gretix.eu](#)

[ituba.com.pl](#)

[czytajozdrowiu.pl](#)

[poczytajozdrowiu.pl](#)

[gardenoffood.de](#)

[garden-of-food.com](#)

[ototrendy.pl](#)

[rytmzdrowia.pl](#)

[swiatkorzysci.com](#)

[swiatkorzysci.pl](#)

[swiatkorzysci.com.pl](#)

[adfreezer.pl](#)

[gardenoffoods.com](#)





Platforma celebrytów

Rondo Zgrupowania AK „Radosław”, 1 października. Wokół tłumy ludzi, nad wszystkimi powiewa ogromna biało-czerwona flaga. Na scenie lider PO Donald Tusk w otoczeniu pierwszo- i drugoligowych gwiazd – m.in. Andrzeja Seweryna, Michała Żebrowskiego, Joanny Szczepkowskiej, Andrzeja Piasecznego, Piotra Gąsowskiego, Mateusza Damięckiego, Czesława Mozila, Grażyny Wolszczak i Majki Jeżowskiej. Wspólnie śpiewają piosenkę „Kocham wolność” zespołu Chłopcy z Placu Broni. Marsz Miliona Serc zorganizowany przez Platformę Obywatelską dwa tygodnie przed wyborami parlamentarnymi przyciągnął nie tylko pokaźną grupę zwolenników największej formacji opozycyjnej, lecz także właśnie celebrytów.

Jeżowska zapewnia, że to sami artyści, a nie partia, wyszli z inicjatywą wspólnego śpiewu. – Gdy wchodzę na Facebooka czy Instagrama, widzę, że jesteśmy obrażani przez grupę trolli i fanów PiS. Wi-



Zuzanna Dąbrowska

Mówią o demokracji, prawach kobiet, Polsce europejskiej i otwartej. Tak naprawdę chcą jedynie odsunąć PiS od władzy. Na ostatniej prostej kampanii celebryci zaangażowali się w spór polityczny na 100 proc.

działam, jak tłum śpiewał razem z nami: „Wolność kocham i rozumiem, wolności oddać nie umiem”, a teraz polityk PiS nas obraża i mówi, że mamy puste serca. Ja to zrobiłam z miłości do Polski – zapewniła autorka hitów dla dzieci, odnosząc się do komentarza wicemarszałka Ryszarda Terleckiego (stwierdził, że marsz PO to „spęd pustych serc”).

Mainstreamowe media nie bawią się w subtelności. „Na twarzach uczestników widać było przekrój skrajnych, wielkich emocji. Jednak w czasie śpiewania przejawiały się determinacja i wola walki, a także nadzieja co do wyników

wyborów 15 października 2023 r.” – tak o występujących na scenie obok Tuska gwiazdach pisała Wirtualna Polska.

TE SAME TWARZE

Widać i słychać, że polityczne wzmożenie polskiego show-biznesu sięga zenitu. Kinga Rusin na marszu pojawiła się o kulach, co rzecz jasna udokumentowała na Instagramie. „Nie lubię stać z boku. Dlatego przejdę dziś o kulach choćby kawałek, symbolicznie” – poinformowała była prezenterka TVN. Krystyna Janda nie przeszła, ale przejechała ulicami Warszawy – ze złamaną nogą, na wózku inwa-

lidzkim (fotka w mediach społecznościowych). Można stwierdzić, że na imprezie Platformy zobaczyliśmy te same twarze celebrytów zaangażowanych co zawsze. Zjawili się Martyna Wojciechowska, Magda Mołek, Katarzyna Tusk, Barbara Kurdej-Szatan, Agnieszka Woźniak-Starak oraz Małgorzata Rozenek-Majdan.

Wymienione tu osoby to jednak zaledwie ułamek reprezentacji gwiazd, które maszerowały z PO. Nie każdy mógł stawić się w Warszawie osobiście, ale wtedy z pomocą przychodzi Instagram. Aktor Andrzej Chyra, który nie kryje swojej niechęci do PiS („Mam poczucie, że ciągle nie rozumiemy, że najważniejszą rzeczą jest jak najskuteczniej, w jak największym stopniu odsunąć PiS od władzy. Ich ciągnący się ogon będzie nam jeszcze przeszkadzał przez długie lata” – tak mówił w czerwcu w wywiadzie dla wprost.pl), udostępnił na profilu wiele materiałów pokazujących przebieg wydarzenia, wśród nich kod QR odsyłający do transmisji live.

WYMUSZONA MIŁOŚĆ

Marsz Miliona Serc unaocnił skalę zjawiska, którego istnieniu nikt, choćby tylko trochę zorientowany, nie zaprzecza – polscy celebryci nie znoszą PiS. Trudno stwierdzić, aby kochali Platformę, jednak w obliczu zbliżających się wyborów (które – jak stwierdził Chyra – zdecydują, czy Polska pozostanie w UE czy zostanie z niej wyrzucona), zostali niejako do tej „miłości” zmuszeni. Poza tym jeszcze bardziej niż przy okazji poprzednich wyborów mają poczucie, że „teraz albo nigdy”. Wielu dobrowolnie zrezygnowało ze współpracy z mediami publicznymi, a z niektórych zrezygnowano. To oznacza brak kontraktów, czyli mniejsze możliwości zarobku. Zmiana władzy, która pociągnęłaby za sobą zmiany w TVP (Polskiego Radia dotyczy to w znacznie mniejszym stopniu), jest więc konieczna, aby – cytując nieobojętną przecież politycznie Agnieszkę Holland – „było tak, jak było”. Dodatkowo Tusk narobił nadziei. – Po wygranych wyborach i utworzeniu nowego rządu będziemy potrzebowali dokładnie 24 godzin, żeby telewizja PiS-owska zamieniła się w publiczną – mówił szef PO na wiecu w Bydgoszczy.

O zmianę władzy szczególnie mocno zabiegają kobiety. Aktorka Zofia Zborowska zapewniła jakiś czas temu, że jeżeli

PiS wygra wybory, to ona rozważy wyjazd z kraju. „Jeśli ten cymbał Czarnek (czy w sumie ktokolwiek z PiS) będzie nadal stał na czele polskiej edukacji, to na bank Nadzia nie pójdzie do polskiej szkoły” – stwierdziła gorzko. „Generalnie, jeśli PiS wygra, to będzie trzeba się stąd ewakuować” – zapowiedziała podczas instagramowej sesji pytań i odpowiedzi. Celebrytka jest na tyle zapięta, że choć rzekomo ma dość niszczenia demokracji, to nie rozumie, jak ktoś, korzystając ze swojego demokratycznego prawa, śmie nie głosować na „opozycję demokratyczną”. Jeden z internautów stwierdził bowiem, że „będzie głosować na PiS, bo nie widzi innej opcji”. „Nie no, ludzie. Błagam. Serio tu są osoby, które nadal będą głosować na tych złodziei i cymbałów?! Konfederacja i PiS to jest najgorsza opcja dla kobiet OD LAT!” – grzmiała aktorka.

W podobnym, niezbyt tolerancyjnym i niezbyt demokratycznym tonie wypowiedziała się związana ze stacją TVN podróżniczka Martyna Wojciechowska, która to z kolei skupiła się na partii Bosaka i Mentzena. – Wolność nie jest nam dana raz na zawsze. To jest coś, o co musimy się troszczyć. Każdego dnia. Być uważnym. Nie dajmy się podpuścić takim populistycznym hasłom. Żeby mieć niższe podatki teraz na chwilę. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy dali się kupić. Nie wyobrażam sobie ani jednej osoby, która ceni i szanuje wolność, niezależność, demokrację, prawa kobiet, prawa człowieka, żeby ktokolwiek głosił na ugrupowania, które każdego dnia łamią te prawa i są przeciwko demokracji. Nie wyobrażam sobie żadnej kobiety, która może zagłosować na Konfederację, która głosi, że kobiety są mniej inteligentne i że czasem trzeba im po prostu przyłożyć, żeby były posłuszne. Nie wyobrażam sobie, żebyście nie poszli na wybory – nawoływała podczas organizowanego przez Jerzego Owsiaka Pol and Rock Festival.

Liczne grono celebrytek włączyło się w kampanię „Kobiety na wybory”. Reklamowana jako „apolityczna akcja edukacyjna” ma mobilizować właśnie panie do pójścia 15 października do urn. Wśród gwiazd, które nagrały wideo w ramach kampanii, są m.in. Julia Wieniawa, Natalia Klimas, Maja Ostaszewska czy Magdalena Boczarska. Co prawda, przekaz dosłowny jest faktycznie apolityczny – żadna nie wymienia nazw partii, na które warto

oddać głos (padają za to hasła o „niebyciu obojętną” oraz „budowaniu Polski niewykluczającej”), w podtekście jest jednak zupełnie jasne, na kogo świadoma kobieta powinna głosować. Dość powiedzieć, że gros gwiazd, które nawołują kobiety do udziału w wyborach, chwaliło się zdjęciami z wieców opozycji. Tutaj nawet nie trzeba łączyć kropek.

TO TYLKO „WARSZAWKA”

Dochodzimy do prostego pytania: Dlaczego? Powód pierwszy, zasygnalizowany wcześniej – chęć powrotu przed kamery TVP. Jak długo można funkcjonować poza mediami publicznymi (i publicznymi pieniędzmi)? Kolejny – celebryci duszą się w kraju rządzonego przez PiS, ponieważ fundamentalnie nie zgadzają się z retoryką tej partii. Napisać, że wstydzą się Polski, byłoby niesprawiedliwym nadużyciem, ale z pewnością tożsamość „unijczyka” nie jest im obca. Do tego dochodzi powód „estetyczny”. Patriotyczny przekaz, okraszony odwołaniami do tradycji i wiary katolickiej, nie wpisuje się w liberalny styl życia. Kaczyński ma niedopasowany garnitur i starą nokię, za to Tusk nosi dobre koszule i postuje na TikToku (poza tym ma córkę influencerkę). Aspekt kolejny – przez osiem lat rządów, przy niemal całkowitej władzy, PiS nie udało się „wyhodować” własnych celebrytów. Roxie Węgiel, Zenek Martyniuk i Golec uOrkiestra, choć niewątpliwie mają grono fanów, nie są w stanie być przeciwwagą dla „celebrytów zaangażowanych”. I niekoniecznie też chyba chcą taką przeciwwagą być.

Ktoś, kto żyje w instagramowej bańce, może pomyśleć, że z takim poparciem opozycja ma wyborcze zwycięstwo w kieszeni. W dużych miastach przewaga nad PiS prawdopodobnie będzie widoczna, jednak tak byłoby i bez zaangażowania celebrytów. Tymczasem warto pamiętać, że Instagram i show-biznesowa „warszawka” nie mają ze światem realnym wiele wspólnego. I choć trudno stwierdzić, czy wybory wciąż wygrywa się w Końskich, to jeszcze większym ryzykiem obarczone jest przekonanie, że wygrywa się je w Warszawie. Wpływ na społeczeństwo aktorów i muzyków, „którym nie jest wszystko jedno”, małeje proporcjonalnie wraz z oddalaniem się od stolicy.



Paweł Chmielewski

Media katolickie na świecie postrzegają abp. Stanisława Gądeckiego jako hierarchę, który może odegrać znaczącą rolę na arenie Kościoła powszechnego. Na tle innych biskupów metropolita Poznania wyróżnia się otwartością wypowiedzi o procesach rewolucyjnych uderzających w katolicyzm. Czas, w który właśnie wkracza, może mu ułatwić zaangażowanie w globalne zagadnienia

Arcybiskup Stanisław Gądecki 19 października skończy 74 lata. Tym samym metropolita Poznania wejdzie w ostatni rok posługi przed osiągnięciem zwyczajowego wieku emerytalnego dla katolickich biskupów. Za rok złoży na ręce Ojca Świętego rezygnację. Zbiegnie się to w czasie z upływem drugiej kadencji w funkcji przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski, którą Gądecki sprawuje od 2014 r. Mogłoby się wydawać, że to początek końca jego publicznej aktywności. W Kościele jednak ci biskupi, którzy stoją na progu emerytury lub ten próg już przekroczyli, odgrywają nierazko szczególnie istotną rolę. Nie mają nic do stracenia, mogą swobodniej zabierać głos. Nie są tak silnie uwikłani w różne formy zależności od Stolicy Apostolskiej czy różnych struktur eklesjalnych i politycznych. Wydaje się, że nadzieje formułowane przez zagraniczne media względem abp. Gądeckiego są dosyć dobrze uzasadnione i rzeczywiście możemy się spodziewać, że polski arcybiskup odegra jeszcze znaczącą rolę w życiu Kościoła powszechnego.

Czytelnik zaznajomiony z życiem polskiego Kościoła mógłby pewnie zżymać się na taką ocenę, wspominając, jak w tym czy innym aspekcie abp Gądecki zawiódł jego nadzieje. Nie chcę temu zaprzeczać, ale na całociowy bilans przyjdzie jeszcze czas. Tu chciałbym przyrzeć się wyłącznie



FOT. WOJCIECH OLIŚNICKI/EPISKOPAT

tym obszarom działalności przewodniczącego KEP, które można ocenić pozytywnie, zwłaszcza w kontekście największych wyzwań stojących dziś przed Kościołem – zarówno w Polsce, jak i na świecie.

SYNOD O SYNODALNOŚCI

Takim wyzwaniem jest niewątpliwie Synod o synodalności. W „Do Rzeczy” wielokrotnie pisaliśmy o skrajnie groźnych tendencjach, które nie tyle ujawniają się w tym wielkim procesie reformy Kościoła, ile wręcz go konstytuują. Arcybiskup Stanisław Gądecki nigdy nie należał do entuzjastów synodów Franciszka; tym mniej obecnie. Gdy papież Bergoglio zwołał w latach 2014 i 2015 synody biskupów poświęcone rodzinie, to właśnie abp Gądecki utworzył jedną z niewielu grup krytycznych wobec rewolucyjnych idei teologicznych. Oba synody dotyczyły w teorii odnowy życia rodzinnego w obliczu współczesnego kryzysu; tak naprawdę jednak papież i jego niemieckojęzyczne zaplecze sprowadzili całą sprawę do dyskusji o Komunii Świętej dla rozwodników. Pomimo nacisków płynących z Kurii Rzymskiej polski Episkopat pod kierun-

kiem metropolity Poznania wydał wytyczne duszpasterskie, w których odrzucił synodalne idee permissywizmu moralnego, przypominając, że w tych kwestiach niezmiennie obowiązuje tradycyjna nauka Kościoła, w ostatnich latach głoszona zwłaszcza w dokumentach św. Jana Pawła II. Postawa polskich biskupów nie spotkała się w Watykanie z aprobatą; m.in. ze względu na zdecydowaną niechęć Episkopatu względem moralnych rewolucji Franciszka Polska popadła w niełaskę i aż do tego roku nie otrzymała żadnego kapelusza kardynalskiego. Konserwatywna opinia światowa zapamiętała jednak dobre i zdecydowane działania abp. Gądeckiego na obu synodach.

Gdy w 2021 r. papież ogłosił, że Kościół katolicki na całym świecie wchodzi na ścieżkę synodalną, abp Stanisław Gądecki nie krył zdziwienia. W głośnym wywiadzie dla KAI wskazywał, że Synod o synodalności przypomina mu nieco substytut Soboru Watykańskiego III; podkreślał niezwykle krótki czas, jaki Franciszek dał biskupom na przygotowanie lokalnych konsultacji synodalnych, sugerując, że tak naprawdę wykonanie zadania jest po-

prostu niemożliwe. Przestrzegał też przed dostosowywaniem Kościoła do oczekiwań zeświecczonej współczesności. Wywiad dla KAI zdawał się sugerować, że mamy do czynienia z niebezpieczną farsą.

Obawy polskiego metropolity były uzasadnione. W 2019 r. w Kościele katolickim w Niemczech rozpoczęła się „droga synodalna”, niosąc na sztandarach m.in. pełną akceptację homoseksualizmu, liberalizację celibatu, kapłaństwo kobiet i demokratyzację Kościoła. Niemcy mówili otwarcie, że chcą, aby ich idee znalazły odzwierciedlenie w dyskusjach prowadzonych przez Kościół powszechny. Wydawało się, że organizując Synod o synodalności, papież Franciszek tak naprawdę przygotowuje grunt pod realizację tych postulatów. Już w pierwszych dokumentach, które Watykan publikował na temat synodalności, pobrzmiewały wyraźne echa niemieckiej agendy: władza w ręce świeckich, radykalna walka z klerikalizmem, nowa rola kobiet, „inkluzywność” i „włączanie” LGBT...

W lutym 2022 r. abp Stanisław Gądecki napisał niezwykle głośny i szeroko komentowany list do przewodniczącego Konferencji Episkopatu Niemiec, bp. Georga Bätzinga. Od strony formalnej list stanowił tzw. braterskie upomnienie – narzędzie, które w czasach totalnej poprawności politycznej biskupi wykorzystują skrajnie rzadko. Wprawdzie wcześniej niemieckich hierarchów upomnieli już dwukrotnie biskupi z Ukrainy, ale zrobili to punktowo, ograniczając się do kwestii ideologii LGBT. List abp. Gądeckiego dotyczył tymczasem całości problematyki niemieckiej „drogi synodalnej”. Podczas gdy inicjatywy Ukraińców zostały przez Niemców niemal całkowicie zignorowane, list abp. Gądeckiego – już nie. Katolickie media za Odrą komentowały go szeroko, oczywiście uznając go za akt impertynencji; na upomnienie odpowiedział też osobiście bp Bätzing; wreszcie zareagował sam Watykan, ustami szefa Synodu o synodalności kard. Mario Grecha... krytykując abp. Gądeckiego za sprzeciw wobec niemieckiej rewolucji. Przez wiele następnych miesięcy metropolita Poznania unikał negatywnych wypowiedzi o synodalności, co wydawało się skutkiem nacisków z Rzymu. W ostatnich tygodniach jednak polski hierarcha powrócił do formułowania krytycznych wypowiedzi.

W połowie września w najważniejszych tygodnikach katolickich w Polsce ukazała się przygotowana przez Episkopat darmowa „wkładka” o synodalności. Arcybiskup Gądecki przestrzegł w słowie wstępnym przed zagrożeniami związanymi z progresywnymi ideami, które dochodzą w dyskusji synodalnej do głosu; w środku zamieszczono kilka artykułów krytykujących idee demokratyzacji Kościoła, znoszenia obowiązku celibatu, wprowadzania kapłaństwa kobiet czy inkluzyjności ideologii LGBT. Słowem, wkładka uderzyła dokładnie w te punkty, które są najbardziej niebezpieczne; abp Gądecki wychwycił też jeden z najgroźniejszych elementów synodalności, czyli próbę tworzenia międzynarodowych gremiów, które mają ograniczać władzę krajowych episkopatów, a nawet władzę samego papieża (pisałem o tym w „Do Rzeczy” w odrębnym tekście). Wśród autorów tekstów „wkładki” znalazł się także kard. Gerhard Müller, jeden z najostrzejszych krytyków synodalnych patologii w Kościele powszechnym.

Na tym nie koniec, bo abp Gądecki udzielił też obszernego wywiadu czołowemu katolickiemu tygodnikowi niemieckiemu „Die Tagespost”, gdzie nie krył zastrzeżeń względem synodalności Franciszka i przypominał o napomnieniu braterskim bp. Bätzinga sprzed roku. Powiedział wprost to, przed czym od kilku lat ostrzega wielu konserwatywnych komentatorów życia Kościoła: niemiecka rewolucja, zwłaszcza za sprawą synodalności, może rozlać się na inne kraje i doprowadzić do całkowitej katastrofy, do rozerwania jedności Kościoła.

POSTAWA WOBEC ROSJI

Przewodniczący Episkopatu Polski działa też intensywnie na innych kierunkach. Próbuje np. kontrować watykańską postawę wobec Rosji. W ostatnich tygodniach papież trafił na czołówki portali, chwając imperialne dziedzictwo Moskwy; tak naprawdę jednak Stolica Apostolska w różnym stopniu wspiera rosyjskie interesy na Ukrainie od początku wojny. Metropolita Poznania w jednym z wywiadów stanowczo potępił cechujący dyplomację Watykanu symetryzm, czyli równe traktowanie najeźdźców i zaatakowanych. Mówił też, że Rzym powtarza błędy niesławnej Ostpolitik, którą za pontyfikatów Jana XXIII i Pawła VI prowadził

kard. Agostino Casaroli. Uległość wobec Związku Sowieckiego miała jakoby doprowadzić do poprawy sytuacji katolików na ziemiach kontrolowanych przez Moskwę; w istocie nie ograniczyła prześladowań, ułatwiając za to rosyjskim służbom infiltrację Kościoła w wielu krajach. Według abp. Gądeckiego Watykan również dzisiaj naiwnie liczy, że uda mu się uzyskać ze strony Rosji jakiegokolwiek koncesje.

Niezwykle ważny jest też głos, który zabrał Episkopat przed wyborami do parlamentu w Polsce. 21 września opublikowano „Vademecum wyborcze katolika”, za które bezpośrednio odpowiedzialna jest Rada ds. Społecznych KEP pod przewodnictwem bp. Mariana Florczyka. Biskupi przypomnieli, że katolikowi nie wolno głosować na partie, które popierają mordowanie dzieci nienarodzonych albo osób starych i chorych; na partie, które godzą w rodzinę i małżeństwo; chcą ograniczać prawo rodziców do wychowywania swoich dzieci; mówią o likwidacji wolności sumienia i wiary. Krytycy „Vademecum...” mówią o „upolitycznianiu” Kościoła. To oczywiście bzdura: biskupi wykonali swoją pracę, bo o tym, że uczniom Chrystusa nie wolno popierać formacji proponujących legalność aborcji, homomałżeństwa czy referenda nad zabijaniem dzieci, uczy sama Stolica Apostolska. Dobrze, że zostało to przypomniane (o tym, „Czy katolik może wierzyć w demokrację?” piszemy na stronie 52).

Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski najpewniej nie będzie już zbyt długo pełnić swoich funkcji, ale swoboda ruchów, którą zapewnia mu bliskość wieku emerytalnego, daje nadzieję, że będzie angażować się w kluczowe dla Kościoła sprawy z jeszcze większą otwartością. Na to liczą nie tylko polscy katolicy. Nasz kraj jest ostatnim dużym państwem Europy, w którym katolicyzm jest religią naprawdę wyznawaną przez znaczną część społeczeństwa. W Niemczech, Austrii, Hiszpanii czy Stanach Zjednoczonych istnieje bardzo duże zainteresowanie działaniem polskich biskupów. Znaczące możliwości daje też to, że duchowni o polskim pochodzeniu są obecni w wielu krajach świata, często na kierowniczych stanowiskach. Warto te więzi wykorzystywać i budować opór przeciwko wewnątrzkościelnej rewolucji. Oby Bóg dał abp. Gądeckiemu siłę i wolę konieczne do kontynuowania walki o dobro Kościoła.

Tej sprawy by nie było, gdyby nie społeczne śledztwo. To może być dla Polaków pocieszające – bo udowadniamy, że obywatelskie postawy nie są nam obce – w rzeczywistości jest jednak zasmucające, że Internauci potrafią szybciej przeprowadzić postępowanie niż prokuratura i policja.

Zaczęło się od zwykłej informacji o śmiertelnym wypadku. 16 września na autostradzie A1 w samochodzie kia spłonęła trzyosobowa rodzina. To był prawdziwy horror, bo świadkowie wypadku słyszeli krzyki dobiegające z palącego się auta, ale nie byli w stanie pomóc ludziom. Mama, tata i pięcioletni synek spalili się na oczach innych.

ZASKAKUJĄCA NIEUDOLNOŚĆ

Pewnie wszyscy zapomnieliby o tym wypadku dość szybko – postępowania wyjaśniające ciągną się w Polsce latami, na same analizy biegłych czeka się czasem rok (biegłych jest za mało, płaci się im niewiele) – gdyby nie film świadka wypadku. W aucie jadącym z przeciwnego kierunku był rejestrator. Na jego nagraniu wyraźnie widać, że za rodziną w kii jechał ktoś, kto długimi światłami wymuszał zjechanie z lewego pasa ruchu na środkowy. Gdy kierowca kii włączył prawy kierunkowskaz i tam zjeżdżał, pędzący za nim poganiacz uderzył w tył auta. To wówczas stanęło w płomieniach i dodatkowo uderzyło w bariery.

Byłem jednym z pierwszych, którzy zauważyli, że nagranie dokumentujące moment wypadku stoi w jawnej sprzeczności z komunikatem policji po wypadku. Po samym zdarzeniu policja twierdziła bowiem, że kierowca kii z niewiadomych przyczyn uderzył w bariery. Przyznała, że na drodze stało też rozbite bmw, ale ponieważ było oddalone od kii o 200 m, policjanci nie uważają, by brało udział w zdarzeniu.

To rozsierdziło ludzi. Na własną rękę zaczęli robić dochodzenie w Internecie. Bardzo szybko znaleźli kolejny film, w którym bmw wyprzedza kogoś innego na A1 tuż przed wypadkiem. Na podstawie nagrania można było oszacować, że kierowca bmw jechał ok. 300 km/h! Internauci błyskawicznie po tablicach rejestracyjnych rozszyfrowali też właściciela (i jak się potem okazało, kie-

Czy to był wypadek?



Rozbite bmw w miejscu wypadku na autostradzie A1

FOT. KMP W PIOTRKOWIE TRYBUNALSKIM



Łukasz Zboralski

Najpierw służby nie brały pod uwagę, że pędzący A1 kierowca BMW w ogóle miał związek z tragedią, w której spłonęła rodzina z małym dzieckiem. Potem ścigały go aż do Dubaju. A i tak – przez słabość polskiego prawa – nie można go ukarać inaczej niż za zwykły wypadek

rowcę) – okazał się nim przedsiębiorca Sebastian M., syn łódzkiego biznesmena z branży tekstylnej.

Dość szybko do sieci trafiło też zdjęcie wykonane przez rekonstruktorów wypadków – firmę Crashlab.pl. Pokazywało ono ślady na jezdni w miejscu wypadku. Na podstawie tych śladów widać było jak na dłoni – i wskazywałem to na portalu X – że samochód BMW hamował, zjeżdżając z lewego pasa na środkowy. Tam musiało dojść do zderzenia z kią, bo dalej są już ślady dwóch samochodów i są to ślady aut, które jechały już w poślizgu (tzw. ślady

zaruszenia). Ślady na jezdni i film wzajemnie się uzupełniały.

Internauci zaczęli podejrzewać, że w obliczu takich dowodów ktoś po prostu tę sprawę zamierza zatuszować. Pojawili się nawet plotki, że M. ma w łódzkiej policji krewnego. To ostatecznie – ale dopiero po wielu dniach – zostało zdementowane przez policję i ministra spraw wewnętrznych i administracji.

Dopiero na tym etapie sprawą osobistą zajął się minister sprawiedliwości i prokurator generalny Zbigniew Ziobro. Śledczy wiedzieli już wówczas jednak, że

Sebastian M. uciekł z kraju, że wyjechał za granicę.

DUBAJSKI TROP

Początkowo jednak nawet nadzór Ziobry nie wpłynął na poprawę pracy śledczych. Sprawę z Prokuratury Rejonowej w Piotrkowie Trybunalskim przejęła prokuratura okręgowa w tym mieście.

Jednak na konferencji prasowej rzeczniczka wciąż twierdziła, że postępowanie prowadzone jest w sprawie, a nie przeciw komuś. Twierdziła też, że prokuratura ma dopiero hipotezę tego, jak mogło dojść do wypadku. Według śledczych w tamtym czasie nadal to kia uderzyła w bariery, a potem dopiero mogło jakoś dojść do kontaktu z bmw.

Prokuratura zachowywała się tak, jakby nie widziała ani śladów na drodze, ani filmów z momentem wypadku. Tłumaczyła się nieudolnie tym, że dopóki oryginały nagrań nie trafią do śledczych, dopóty to nie mogą ich uznawać za dowody.

To wszystko dało kierowcy Sebastianowi M. (który w momencie wypadku wioził dwóch pasażerów, zostali ranni) wystarczająco dużo czasu na to, by zrozumieć, że nagrania wypadku go pogrążą. Ten urodzony w Bonn i posiadający także niemieckie obywatelstwo mężczyzna ewakuował się z Polski. W tym czasie jego ojciec zapewniał media, że syn był tylko „uczestnikiem” zdarzenia i że stawia się na wezwania wymiaru sprawiedliwości.

Wreszcie prokuratura zdecydowała: postawi Sebastianowi M. zarzut spowodowania wypadku ze skutkiem śmiertelnym. Szybko sprowadzono z Niemiec sprzęt serwowy, którym nie dysponowały nawet polskie salony, i odczytano z wraku bmw, że kierowca jechał co najmniej 253 km/h. Tylko pan M. był już daleko stąd – przez Niemcy dotarł do Turcji.

Za kierowcą wystawiono list gończy, a także czerwoną notę Interpolu. Szybko powołano specjalną grupę tropiącą w polacji. Nad schwytaniem Sebastiana M. pracowały wspólnie MSWiA, MSZ i Ministerstwo Sprawiedliwości. Dość szybko zaczęły deptać zbiegowi po piętach. Namierzyły go w Turcji. Jak ujawniał potem minister spraw wewnętrznych i administracji Mariusz Kamiński, zabrakło ok. godziny, by właściwe informacje przepłynęły w systemach i by doszło do zatrzymania M. na tamtejszym lotnisku. Zdołał jednak wsiąść



Sebastian M. został zatrzymany w Dubaju.
Czeka na ekstradycję do Polski. FOT. GOV.PL

do samolotu i odlecieć. Służby zaskoczyło też to, że – jak ujawnił minister Zbigniew Ziobro – Sebastian M. oprócz paszportów polskiego i niemieckiego miał też trzeci. Prokuratura ma wyjaśnić, czy był to dokument prawdziwy czy fałszywy.

Na szczęście grupa poszukiwawcza wiedziała, dokąd zmierza uciekinier: Sebastian M. wybrał Dubaj. I wybrał fatalnie albo jego doradcy popełnili błąd. Przegapili bowiem, że w 2022 r. polski resort sprawiedliwości wynegocjował ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi umowę o wzajemnej pomocy w sprawach kryminalnych. Polski Sejm ratyfikował tę umowę w marcu tego roku, a 22 marca podpisał ją prezydent.

Jak wynika z moich informacji dotyczących kulis tej operacji, specjalna grupa policyjna czekała już na Sebastiana M. w Dubaju od kilku dni. Rozpoznano, w którym hotelu się zameldował, i tam go zatrzymano. W tym samym czasie mecenas kierowcy złożył w polskim sądzie wniosek o „list żelazny” i przekonywał, że jego klient nie uciekał, a po prostu wyjechał za granicę i że jest gotów zeznawać w Polsce pod warunkami, iż nie zostanie aresztowany aż do zakończenia procesu w sprawie wypadku.

Sebastian M. został jednak aresztowany. Na razie siedzi w policyjnym areszcie w ZEA. I czeka na ekstradycję. – Ten człowiek stanie przed sądem i nie uniknie sprawiedliwości – zapowiedział w ubiegłą środę minister Ziobro. I zapewnił, że jeszcze tego samego dnia przygotowuje wniosek o ekstradycję.

KIEDY „ZABÓJSTWO DROGOWE”?

Jeśli ostatecznie przed sądem Sebastian M. zostanie skazany za wypadek, dla wielu nie będzie to sprawiedliwość. Zgodnie z polskim prawem grozi mu najwyżej

taki wyrok, jak każdemu, kto nieumyślnie spowoduje wypadek ze skutkiem śmiertelnym – czyli do ośmiu lat więzienia. A nawet tyle nie dostał sprawca głośnego wypadku na ulicy Sokratesa, który pędził bmw i zabił pieszego na pasach.

Prokuratura Krajowa od ponad roku ma analizę, w której eksperci wskazali, że społeczeństwo oczekuje innych kar dla tych, którzy powodują wypadki, gdy rażąco łamią normy – a tym jest jazda np. 300 km/h po drogach (inną sprawą jest problem z tym, że warsztaty mogą legalnie odblokować auto fabrycznie ograniczone do 250 km/h, tak jak w przypadku BMW Sebastiana M.). W analizie tej zaznaczono, że nie udaje się w sądach kierowcom przypisywać zabójstwa z zamiarem ewentualnym, bo wystarczy odruchowy skręt kierownicy tuż przed zderzeniem, by sędzia uznawał, że ktoś naprawdę nie godził się na spowodowanie wypadku.

Eksperti wskazali więc, że by osądzać najgorszych piratów drogowych, potrzebne jest w Kodeksie karnym nowe przestępstwo – „zabójstwa drogowe”, które funkcjonuje we Włoszech czy w Wielkiej Brytanii. Za takie zabójstwo odpowiadałby każdy, kto powoduje śmiertelny wypadek i przekracza dopuszczalną prędkość o co najmniej 50 km/h albo w rażący sposób łamie przepisy drogowe.

Ważniejsza jest jednak prewencja. I też dobrze wiadomo, co zrobić, by takich kierowców jak Sebastian M. okiełznać. Po pierwsze, można jak Niemcy (a zrobili to właśnie po takiej tragedii na drodze jak w Polsce) wprowadzić do prawa oddzielne sankcje za „nielegalne wyścigi drogowe”. W Polsce policjanci próbują rozbijać nielegalne nocne wyścigi, ale jedyne, co mogą, to wystawić mandat lub próbować odebrać dowód rejestracyjny. W Niemczech za jazdy z olbrzymimi prędkościami grozi po prostu więzienie.

Po drugie, trzeba w końcu zwrócić uwagę, że polski system automatycznego nadzoru w stosunku do innych krajów jest niedorozwinięty. Mamy relatywnie mało fotoradarów i odcinkowych pomiarów prędkości, a rozbudowa systemu dramatycznie się przeciąga – do tego stopnia, że gdy CANARD (komórka GITD) nie zakończy tej inwestycji do 2023 r., grozi nam utrata wielu milionów dotacji z UE na ten cel.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



„Zdumiewająca historia Henry'ego Sugara”
trwa niespełna 50 minut FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Kadr z filmu „Trucizna”
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jakże były potrzebne, w jakże idealnej chwili pojawiają się filmowe zabawy Wesa Andersona z prozą Roalda Dahla! To najlepsza odpowiedź na groźne zabiegi tych wszystkich, którzy próbują znakomitego brytyjskiego pisarza ocenzurować, zakazać, wymazać z historii literatury i na wieki wieków zamknąć w pudełku z napisem: „Nie zaglądać – wycofane z obiegu na życzenie miłośników cancel culture”.

Wedle jego przeciwników autor książek ukochanych przez kilka pokoleń dzieci (od „Wielkomiluda” do „Cudownego lekarstwa George’a”, od „Charliego i fabryki czekolady” do „Fantastycznego pana Lisa”) jest dziś niesłuszny i groźny, bo używa zakazanych słów: gruby, brzydki, szalony, dziwny, monstrualny, a przecież wszyscy wiedzą, że takie słowa w słowniku nie występują. A przynajmniej nie powinny występować. A gdyby już występować miały, należałoby odciąć od wiedzy na ten temat nasze dzieci. W dodatku używa przestarzałych kategorii, takich jak „chłopiec” czy „dziewczyna”, więc trzeba mu przepisać to wszystko na genderowo neutralne wersje. A kto przeciw temu protestuje, ten faszysta, antysemita i w ogóle ciemnogród. Tak, antysemita, bo gdy miłośnikom cancel culture brakuje argumentów, zawsze próbują wygrzebać w archiwach jakieś wypowiedzi tego czy innego autora, aktora, piosenkarza, historyka, polityka, które nie pasują do dzisiejszych wyśrubowanych standardów wykastrowanej debaty publicznej. Próbuje się więc zamordować Roalda Dahla i od tej strony.

WIELKA SIŁA RAŻENIA

W sam środek tego smutnego cyrku wkracza wielki ekscentryk amerykańskiego kina, Wes Anderson, wielbiony przez salony intelektualne nie tylko Ameryki,

Fantastyczny pan Anderson



Piotr Gociek

Nowe ekranizacje opowiadań Roalda Dahla przypominają, że Wes Anderson to reżyser wybitny, a sam Dahl to pisarz niezbędny

chwalony i podziwiany (słusznie) za filmy „Grand Budapest Hotel”, „Podwodne życie ze Steve’em Zissou” czy „Genialny klan”. I serią czterech krótkich filmów zrealizowanych dla Netflixa pokazuje, że Roald Dahl był geniuszem, a jego proza nie tylko pozostaje źródłem inspiracji i refleksji, lecz także wymyka się prostym klasyfikacjom.

W powszechnej opinii Dahl to wszak autor opowiadań dla dzieci – czasem strasznych i makabrycznych oraz wielce dziwnych, ale jednak: dla dzieci. Takie podejście nie dziwi, bo rzeczywiście owe książki pozostają w jego dorobku tymi najpopularniejszymi. Jednak Dahl pisywał też – z wielkim sukcesem – prozę przeznaczoną dla dorosłych, którą jeszcze w latach 50. Anthon Boucher nazwał literaturą, która nie poddaje się żadnej klasyfikacji („unclassifiable”). I miała owa proza siłę rażenia równie wielką jak cudowne współczesne baśnie Dahla.

Dość wspomnieć, że jego opowiadaniem fascynował się Alfred Hitchcock, że wielkim fanem talentu Dahla, zachęcającym go do pisania, był C.S. Forrester (ten od cyklu o Hornblowerze), a opowiadanie „Człowiek z południa” posłużyło Quentinowi Tarantino jako inspiracja do jednej z części filmu „Cztery pokoje” („Four Rooms”, 1995). Czytelnicy, którzy pamiętają lektury z czasów PRL, mogą pamiętać także pojedyncze opowiadania Dahla publikowane w prasie, wspomnianego „Człowieka z południa” kojarzyć z antologią „Tchnienie grozy” (1974) albo posiadać na półkach białego kruka – podziemne wydanie zbioru makabresek „Wielki automatyczny gramatyzator”.

NOWE OBLCZE

Wes Anderson przeżył już filmową przygodę z pisarstwem Roalda Dahla, gdy w roku 2009 zaskoczył publiczność animowanym filmem „Fantastyczny pan

CZTERY NOWE FILMY AUTORA „GRAND BUDAPEST HOTEL”



Kadr ze „Szczurołapa”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Kadr z filmu „Łabędź”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Lis” – i była to przygoda bardzo udana. Teraz do Netflixa trafiła seria czterech filmików, które początkowo układać się miały w jeden film kinowy, ale ostatecznie Anderson zdecydował, że lepiej sprawdzą się w formie luźnej antologii dostępnej w streamingu. „Zdumiewająca historia Henry’ego Sugara” trwa niespełna 50 minut, pozostałe filmy („Trucizna”, „Szczurołap” i „Łabędź”) mają po mniej niż 20 minut. Można więc zafundować sobie niespełna dwugodzinny seans podwójnej przyjemności – przypowieści z morałem Roalda Dahla połączone z wielką inwencją inscenizacyjną Wesa Andersona. Połączenie filmu z teatrem, pogadanki z cyrkiem okazuje się idealnym wehikułem dla oryginalnej, nieco surrealistycznej prozy Dahla.

Osobny styl Andersona jest doskonale rozpoznawalny i tak charakterystyczny, że aż stał się przedmiotem rozmaitych internetowych parodii. Zauważmy jednak, że Wes Anderson pokazuje w nowych filmikach także swoje nowe oblicze. W „Truciznie” jest to mistrzowskie panowanie nad napięciem, którego nie powstydziliby się wymienieni wcześniej Hitchcock czy Tarantino. W „Szczurołapie” gra z makabrą i horrorem niczym wytrawny mistrz tego gatunku, a w najbardziej rozzdzierającym z tych filmików, czyli w „Łabędziu”, jest bezlitosny, okrutny i jednocześnie wspaniale liryczny. Przyznam szczerze – po ostatnich dwóch filmach kinowych Andersona („Kurier Francuski z Liberty, Kansas Evening Sun” oraz „Asteroid City”) byłem pełen wątpliwości: Czy aby nie doszedł już do granicy, za którą jego styl zamienia się w pustą manierę? Po obejrzeniu antologii filmów według Dahla wątpliwości znikły: znów widać, że Wes Anderson jest twórcą wybitnym.

Minifestiwal tych premier rozpoczął Netflix od „Zdumiewającej historii Hen-

ry’ego Sugara”, która jest z tych czterech filmów propozycją najłżejszą, najzabawniejszą i pełną ciepła. Oto bogaty i egoistycznie nastawiony pan Sugar (Benedict Cumberbatch) trafia na trop niezwykłych dokonań hinduskich joginów. Postanawia wykorzystać je do pomnożenia fortuny. Tak się jednak składa, że jedyną drogą do opanowania nowych umiejętności jest ciężka praca nad sobą, która sprawia, że po latach pan Sugar staje się lepszym człowiekiem. A ten pożąda już zupełnie czegoś innego niż bogactwa. Los, spełniając jego największe życzenie, obróci jednocześnie jego realizację w coś dokładnie odwrotnego. Piękna to bajka, zabawna i niegłupia, ze wspaniałym morałem. Myślę, że innym wielkim reżyserem, który potrafiłby zrobić z niej doskonały użytek, mógłby być np. Hayao Miyazaki.

„Trucizna” – napisana w latach 50. i przypominająca bardziej opowiadania Rudyarda Kiplinga niż „typowego” Dahla – to świetna odpowiedź dla tych wszystkich, którzy próbują przykleić pisarzowi etykietkę rasisty. „Szczurołap” z kolei zaczyna się jak smolście czarna satyra, a kończy jednym zdaniem, które zmienia rzecz w czysty horror; opowieść mistrzowska w literackim oryginale i równie dobra w ekranizacji. Tekst ten zresztą pochodzi z owego złotego okresu makabresk Dahla, czyli lat 40. i 50., gdy o jego opowiadania zabijały się magazyny takie jak „Collier”, „Harper’s”, „Playboy” czy „New Yorker”. Zebrano je w 1953 r. w tomie „Someone Like You”. I znów, by uświadomić wpływ Dahla na popkulturę XX w., tytułowe opowiadanie zainspirowało pieśniarza Vana Morrisona do tego stopnia, że wziął z niego tytuł jednego ze swoich największych przebojów.

Na finisz spotkania z Dahlem i Andersonem proszę sobie pozostawić film „Łabędź”, najpoważniejszy i najsmutniej-

szy w całej tej kolekcji. Coś, co z początku przypomina dydaktyczną opowiadkę o dręczeniu słabych przez silnych, zamienia się w finale w ponurą baśń. Mamy tu przynajmniej dwie kwestie, na które trzeba zwrócić uwagę: potępienie bezmyślnej przemocy oraz rozważania nad tym, jak zachować się w obliczu czystego zła. Zła, wobec którego ludzie dobrzy i niewinni nazbyt często pozostają zwyczajnie bezradni.

Cztery historie opowiada Wes Anderson z udziałem znakomitych aktorów. Oprócz wspomnianego już Cumberbatcha na ekran powracają w rozmaitych rolach Ben Kingsley, Rupert Friend, Richard Ayoade, Dev Patel czy Ralph Fiennes, który jest uroczo dobroduszny jako narrator – sam Roald Dahl – oraz absolutnie przerażający jako szczurołap w filmiku pod tym samym tytułem. Wszystko tu idealnie do siebie pasuje: błyskotliwe adaptacje literackich oryginałów, imaginacja Andersona, mądrość Dahla, charyzma aktorów. Nie można tej kolekcji w Netflixie ominąć.

A tym, którzy oskarżają go o rozmaite nieciełe rzeczy, niezgodne z obecnymi wymogami poprawności politycznej w kulturze, chciałbym przypomnieć, jak dawno, dawno temu, bo jeszcze w latach 80., sam Roald Dahl bronił się przed zarzutami. Oto cytat z wywiadu, którego udzielił Markowi Westowi na potrzeby książki „Trust Your Children: Voices Against Censorship in Children’s Literature” (1988): „Feministki twierdzą, że [opowieść] »Czarownice« – przyp. P.G.] przedstawia kobiety w złym świetle. Opierają się na zdaniu z początku książki, które brzmi: »Czarownice są zawsze kobietami«. Ignorują oczywiście następne zdanie, które brzmi: »Z drugiej strony gule-trupojady są zawsze płci męskiej, podobnie jak psy widma«.”

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Śpisz, kochanie?



samotni i spragnieni miłości ludzie, którzy – zaczynamy myśleć – zasługują na więcej.

„Nocne rozmowy” są serialem postpandemicznym, czy bardziej „postlockdownowym”, bo wyciągają wniosek z tego, jak bardzo wielu z nas odseparowanych zostało od innych oraz jak wielką rolę zaczęły w tej przymusowej samotności pełnić ekraniki.

W końcu mamy XXI w., więc rozmowy Lisy i Danny’ego to nie mruczenie do bakelitowych słuchawek telefonów, tylko pogaduchy wideo przez smartfony. Jest w tej cieplej i zabawnej historii także okazja do krytycznego spojrzenia na pokolenie Z, które wydaje się coraz mniej przystosowane do normalnego życia. Oto czas ludzi nadwrażliwych, przebudźcowanych, niepotrafiących bronić swojego zdania, po prostu już nie dzieci, ale na pewno jeszcze nie w pełni ukształtowanych, odpowiedzialnych dorosłych. Dla nich wszystko jest problemem. ©©

Para nękaną bezsennością przyjaciół prowadzi nocne pogawędki o wszystkim, a właściwie o niczym.

Tak jak w dialogach z „Kronik Seinfelda” zapalnikami bywają najdrobniejsze rzeczy z codziennego życia, a opowieści szybko przyjmują absurdalny kształt. A jako że oboje mają kłopoty w kontaktach z innymi ludźmi, to i w ich życiu najprostsza sprawa – zamówienie pizzy czy wyprawa do apteki – kończy się spiralą dziwnych wydarzeń. Trochę tak, jak zaczynając od detalu, Jaś Fasola sprowadzał w końcu na siebie tornado wrogich okoliczności.

Jednocześnie Lisa (Antonia Thomas) i Danny (Craig Roberts) są postaciami bardzo różnymi: on lekko zaburzony, lęka się

wyjść z własnego mieszkania; ona żyje w związku z troskliwym, choć nieco nudnym mężczyzną i kocha nad życie małą córeczkę, ale nieustannie coś wokół niej się dzieje. Bezsenność to zatem jedyna rzecz, która ich łączy. Ale czy to możliwe, żeby tylko to wystarczyło do stworzenia zabawnej, choć przecież intymnej relacji (za taką mam długie nocne rozmowy z kimś, kto zawsze jest po twojej stronie)? Możliwe, kiedy mamy do czynienia z komedią romantyczną, a tak jest w przypadku „Nocnych rozmów”. Nowy brytyjski serial Apple TV+ z początku może irytować, bo wahamy się, czy polubić głównych bohaterów – zwłaszcza Danny wydaje się wielce irytujący. Potem dostrzegamy, że za fasadą dziwactw kryją się po prostu



★★★★★
SEZON 1
„NOCNE ROZMOWY” („STILL UP”)
WIELKA
BRYTANIA 2023

wyst. Antonia Thomas, Craig Roberts



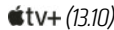
NOWE SERIALE: „BIGGIE I TUPAC: KTO ZABIŁ RAPERÓW?”

Dokument true crime z zaskakującym epilogiem dopisanym już po emisji. W czterech odcinkach rozważane są teorie na temat tego, kto zlecił i wykonał w latach 90. wyroki na dwóch gwiazdach rapu (Tupac Shakur i Notorious B.I.G.). Na ekranie wypowiada się rzewnie i obszerne m.in. niejaki „Keefe D”

Davis, członek gangu Crips, narkotykowy król Compton. Dwa tygodnie temu został aresztowany przez policję z Las Vegas jako podejrzany o kierowanie zabójstwem Tupaca i współudział. **Piotr Gociek**
• miniseria „Biggie i Tupac: kto zabił raperów?”, USA 2022



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 „Lekcje chemii” („Lessons in Chemistry”), USA 2023  (13.10)
- sezon 1 „Gęsia skórka” („Goosebumps”), USA 2023 
- miniseria „Zagłada domu Usherów”, USA 2023 

Szpieg, który kochał

KINO

Ulubiony dywersant Polaków miał na imię Janek, ale podawał się za Hansa Klossa. Agent Józek, udający Hansa Steinera, też wykorzystuje każdą okazję, by szkodzić wrogom ZSR, ale sympatii rodaków raczej nie zdobędzie. Ofiarami Janka padali bowiem niemieccy zbrodniarze, a na celowniku Józka są dysydenci i działacze Solidarności. Młody szpieg, zainstalowany w Alzacji, nie wie, ile pokus czyha na zginięciem Zachodzie. Gdy zacznie zgrywać Bonda, dopadną go kłopoty. Film Łonickiego ogląda się dobrze, choć wyważa drzwi szeroko otwarte. O niemoralności pracy pod przykrywką pisał już Mickiewicz. Porzućmy złudzenia, idealnym agentem wywiadu jest pozba-

wiony ludzkich uczuć socjopata. Kamera kocha Giersza (prawie tak samo jak niegdyś Mikulskiego), jednak show kradnie Schuchardt, grający inżyniera z Gdańska, któremu Józek ukradł tożsamość. Obaj zadają sobie to samo pytanie: „Kim naprawdę jestem?”



★★★★★
REŻ. JAN ŁONICKI
„DOPPELGÄNGER. SOBOWTÓR”
POLSKA 2023

wyst. Jakub Gierszał,
Tomasz Schuchardt,
Emily Kusche

Dreszczowiec i psychodrama rządzają się trochę innymi prawami. Twórcy „Sobowtóra” jakby o tym zapomnieli, licząc na efekt, który Spielberg osiągnął w „Monachium”. A gdy widzą, że to jednak nie działa, ratują się ucieczką do przodu. Zawód? Tak, ale zmieszany z nadzieją. Chwila, w której specjalnością naszej kinematografii przestaną być komedie romantyczne, jest coraz bliżej.
Wiesław Chełmiński



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

AWANTURA W STAMBULE

prime video



★★★★★
REŻ. TERENCE YOUNG
„POZDROWIENIA Z ROSJI”
WIELKA BRYTANIA 1963

Film, od którego zaczęła się bondomania. „Pozdrowienia z Rosji” zaczęto kręcić, gdy na ekranach grasował jeszcze „Dr No”. Sequel okazał się pod każdym względem lepszy. Connery, oswojony z konwencją, emanuje pewnością siebie i męskim urokiem. To najbardziej realistyczna z przygód agenta 007, więc

wyst. Sean Connery, Daniela Bianchi, Robert Shaw

i przeciwnicy nie są mitomanami. Zimnokrwisty morderca Red Grant i Rosa Klebb – „kobieta z wykopem” – dają radę, do tego mamy polski akcent w osobie Władysława Sheybala jako szachowego geniusza na usługach WIDMA. Last but not least, przed kamerą produkuje się legion laureatek konkursów piękności. Nie dziwota, że 60 lat temu w Londynie tłumy szturmowały kina, w których zaczęto wyświetlać „Pozdrowienia z Rosji”. Walka w wagonie Orient Expressu wciąż robi wrażenie. Naftaliną pachną natomiast próby ogrywania cygańsko-tureckiego folkloru. Gdyby Bond dotarł do Moskwy, pewnie musiałby tańczyć kazaczka. © ©

GULASZ Z RYŻEM

HD max



★★★★★
REŻ. DÓRA SZÜCS
„KWIAK JABŁONI” („AZ ALMAFA VIRÁGA”)
WĘGRY/ WIETNAM 2023

Film dla romantyków. Wietnamska piękność przybywa do Budapesztu, by spełnić ostatnią wolę ojca. Nie zamierza jednak powtórzyć błędu swojej babki, która pół wieku wcześniej, studiując nad Dunajem, wdała się w romans w stylu Szekspira. Większa część filmu jest retrospekcją. Dowiadujemy się z niej, że komunizm był ustrojem okropnym, bo utrudniał damsko-męskie kontakty bardziej niż zwaśnione rody Montekich i Kapuletów. A przecież Thien Nga, której ojciec oddał życie za wolność ojczyzny, nie zakochała się w jankesie zrzucającym napalm na żłobki i szpitale, lecz w obywatelu państwa sojuszniczego. Bratankowie sprytnie wymyślili, by premiera tego porażająco naiwnego melodramatu odbyła się w walentynki. U nas „Kwiat jabłoni” zakwitł na Światowy Dzień Turystyki. Jest w tym sens: w filmie Dóry Szűcs Węgry są prawie tak piękne, jak na obrazach malarzy z Nagybánya.
Wiesław Chełmiński

wyst. Nari Nguyen, Balázs Koltai-Nagy, Dzhuliya Lam

GRA TYGODNIA: „CYBERPUNK 2077: WIDMO WOLNOŚCI”

Pisałem już tutaj o zmianach, które przyniosła aktualizacja 2.0, czas na zajęcie się wyłącznie dodatkiem. „Widmo wolności” trzyma poziom podstawki (który w wersji 2.0 jest wysoki jak nigdy), nie traci klimatu, a jednocześnie odróżnia się od całości,

serwując ciekawą, szpiegowską historię w Dogtown, zupełnie nowej dzielnicy Night City, która jest jak ten dodatek – niby mocno powiązana z całością, a jednak w pewien sposób wyjątkowa i osobna. Doskonała rozrywka na kilkanaście godzin, która



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

potrafi zaskoczyć i nie wyparowuje z głowy zaraz po napisach końcowych. © ©
Radosław Wojtas
• **Gatunek:** FPS/RPG
• **Platforma:** XSX, PS5, PC
• **Producent, dystrybutor PL:** CD Projekt RED, Cenega S.A.

KRZYSZTOF
MASEŁ

MOJA PÓŁKA

Łódzkie Drzewo Pamięci

W 2009 r. w Sztokholmie byłem świadkiem wymiany zdań po wyświetleniu filmu („Radegast” Borysa Lankosza) pokazującego zagładę łódzkich Żydów. Była to jedna z najostrejszych, najbardziej dramatycznych dyskusji, które słyszałem. Jej uczestników do czerwoności rozpałała ocena postaci Chaima Rumkowskiego, przełożonego Starszeństwa Żydów w łódzkim getcie, według jednych współwinnego zbrodni czy wręcz zbrodniarza, według drugih omalże bohatera.

Przeczytałem później Andrzeja Barta „Fabrykę muchotapek” (przeniesioną też przez autora na scenę), zapoznałem się także z książkami Moniki Polit („Mordechaj Chaim Rumkowski. Prawda i zmyślenie”) i Elżbiety Cherezińskiej („Byłam sekretarką Rumkowskiego”). Przegrałem za to pierwszą część kroniki „Europa według Auschwitz” zatytułowaną „Getto Litzmannstadt”, której kontynuacją jest wydana właśnie „Wielka Szpera” Marka Millera.

Książka ta powstała na podstawie rozmów przeprowadzonych przez autora (i filmowca Piotra Weycherta) ze świadkami i uczestnikami Wielkiej Szpery. Z tych 91, bo tyle ich w sumie było, rozmów Marek Miller wybrał 28 i to one wraz z fragmentami relacji pochodzących z innych źródeł tworzą opowieść o bezprzykładnej zbrodni dokonanej w Łodzi, w trakcie której w jednej tylko akcji, między 5 a 12 września 1942 r., z getta w Łodzi wywieziono i zamordowano 15 tys. dzieci w wieku do 10 lat oraz osób chorych i w starszym wieku. To ten właśnie tragiczny czas przeszedł do historii jako Wielka Szpera (od niemieckiego Gehsperr – szpera, zakaz wychodzenia z domu).



FOT. PODKAMIONA/REPORTER

W przededniu akcji Chaim Rumkowski wygłosił swoje słynne przemówienie na placu Strażackim, wzywając mieszkańców getta do oddania dzieci. „Bracia i siostry – wołał – oddajcie mi je! Ojcowie i matki, oddajcie mi wasze dzieci!”. Tłumaczył, że straty będą mniejsze, jeśli wywózkę przeprowadzi żydowska gmina, a nie Niemcy. Ruth Eldar mająca wtedy 13 lat, a więc czasowo bezpieczna, tak to zapamiętała: „Zobaczyłam Rumkowskiego z naszego okna z trzeciego piętra. Prezes stał na podwyższeniu, wyciągał ręce i krzychał. Wyglądał na zrozpaczonego. Te ręce wyciągał ku niebu – może Bóg mu pomoże, bo kto już mu może pomóc? To był rozpaczliwy krzyk. On się załamał. To była jakaś tragikomedia. On płakał”.

Julia Bergman dodawała: „Żądał – i to było najgorsze – żeby oddać małe dzieci. Żeby rodzice oddali dzieci Niemcom. Prosił rodziców i przemawiał, żeby zrezygnowali z dzieci, bo o ile tego nie zrobią, to Niemcy wkroczą do getta”.

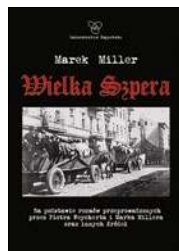
Wkroczyli i tak, szukając tych, których ukryto. „Wszyscy mieszkańcy domu stali i oni wybierali – opowiadała Miriam Cohen (rocznik 1928). – Jednej matce zabrano dziecko i ona nie chciała go dać. Zaczęła krzyczeć i rzucać się,

to Niemiec strzelił i koniec. Ją zabił i zabrał dziecko. Druga matka schowała syna w piwnicy i udało jej się. Już odjeżdżał wóz, już zebrał dzieci, już się oddalił i wtedy chłopczyk, który był ukryty, wyleciał na środek ulicy. Ja to przez okno widziałam. Do dzisiaj ja nie mogę zapomnieć lamentów jego matki. Całą noc ryczała jak zarzynane zwierzę. Jedyny chłopczyk, jakiego miała. I ona była już pewna, że on się wydostał. I jak królika go złapali i wrzucili na wóz. I ja widziałam na własne oczy, jak to dziecko leci”.

Lili Mejtal porównywała postępowanie Rumkowskiego z postawami Janusza Korczaka i Adama Czerniakowa, stwierdzając, że „nie wszyscy byli zdolni do takich czynów”. Tyle że sąd swój wydawała po latach, a warto pamiętać, że samobójstwo Czerniakowa, prezesa Judenratu w getcie warszawskim, też bywało krytykowane, jako gest człowieka, który w obliczu tragedii pozostawił społeczność żydowską samą sobie.

A Rumkowski, ten „król” łódzkiego getta, w sierpniu 1944 r. został wywieziony do Auschwitz-Birkenau i tam zamordowany wraz z żoną i przybranym synem. W styczniu 1945 r., gdy do Łodzi weszli Sowieci, na terenie getta przebywało kilkuset Żydów. Niewielu, zważywszy na to, że przed Wielką Szperą Rumkowski przekonywał, że poświęcając 15 tys. istnień ludzkich, ocali pozostałe przy życiu 80 tys.

„Bardzo chcielibyśmy – czytamy w zakończeniu książki – by ta publikacja stała się początkiem ruchu, który doprowadzi do zbudowania w Łodzi pomnika Drzewa Pamięci w odpowiedniej skali, oddającej ten bezmiar cierpień, które przeżyły młodziutkie ofiary i ci, którzy byli w wieku ich babć i dziadków”. ©©



★★★★★
MAREK MILLER
„WIELKA SZPERA”
WESTA-DRUK,
ŁÓDŹ 2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Taka zabawna tragedia

Skarb odkryty po latach – mówię o prywatnym odczuciu. Odbiłem się kiedyś, jeszcze w PRL, od prozy Johna Cheevera. Cykl o rodzinie Wapshotów mnie znużył, opowiadania wydawały się mniej ciekawe niż wielbionego naonczas przeze mnie Johna Updike'a. Dziś mam wrażenie odwrotne, proza Updike'a już mnie nie wzrusza, za to zachwyty nad Cheeverem pojawił się natychmiast, gdy tylko zagłębiłem się w lekturę zbioru „Wizja świata”.

Wybór ten zawdzięczamy Julianowi Barnesowi, poczytnemu nie tylko w Polsce pisarzowi, który wyselekcjonował najciekawsze jego zdaniem opowiadania Cheevera i opatrzył je obszerną przedmową. Ze zdumieniem odkryłem, że jeden z moich ulubionych filmów – i chyba najlepszy w aktorskim dorobku Burta Lancastera – czyli „Pływak”, jest oparty właśnie na jednym z tekstów Cheevera. Opowiadanie jest wyśmienite, ale reszta nie odstaje – od początku do końca – od opowieści o tym, jak pod wpływem zwykłego gadulstwa wpływają na wierzch największe ludzkie traumy („Olbrzymie radio”), do przezabawnej, choć gorzkawej historii pisarza, który zastanawia się, czemu jeszcze nie otrzymał Nobla, skoro „dostał już niemal wszystkie

inne dowody uznania” („Świat jabłek”). A pomiędzy nimi choćby małe arcydzieło, czyli jedno z najbardziej znanych opowiadań Cheevera – „Ach, młodość i uroda!” – które jest esencją stylu i metody twórczej autora: jest przeżabawne, a zarazem głęboko, rozdzierająco smutne, obnażając bezsilność człowieka w obliczu upływającego czasu.

Nazywany czasem „Czechowem suburbiów”, stawiany obok Updike'a (Barnes objaśnia, dlaczego to błąd, bo Cheever pokoleniowo jest bliższy Hemingwayowi czy Scottowi Fitzgeraldowi), zdaje mi się Cheever swoim humorem być bliski Philipowi Rothowi, kilku innym żydowskim prześmiewcom, którzy tyleż melancholijnie, ile z bezlitosnym uśmiechem portretują marzenia i tragedie zwykłych ludzi. A jednocześnie jest pisarzem optymizmu – gdy Ameryka zdawała się młoda i krzepka, wojna się skończyła, a przyszłość niosła złotą obietnicę. Jednak czas

mija i miejsce zachwyty zajmuje pytanie: Jak nauczyć człowieka „cieszyć się niewysłowioną wspaniałością naszego gatunku, szorstkim pięknem samej powierzchni życia, by sam wskazał nieustępliwe prawdy, przed którymi skapitulować muszą strach i zgroza?”. ©©



★★★★★
JOHN CHEEVER
„WIZJA ŚWIATA”
CZARNE 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Jak USA i Chiny walczą o technologiczną dominację nad światem”, czyli o mniej oczywistym froncie boju o przyszłość. Kluczowa rola Tajwanu i pytanie: Czemu Litwa może z nim współpracować, a Polska nie chce?



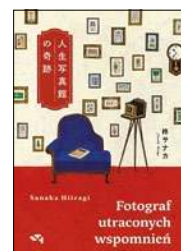
CHRIS MILLER
„WIELKA WOJNA O CHIPY”
PRZEŚWITY

Książka labirynt, książka eksperyment, książka podróż: talent pisarza sprawia, że powieść pozostaje jednym z najbardziej intrygujących dokonań włoskiej prozy XX w. Wznowienie w setną rocznicę urodzin autora.



ITALO CALVINO
„JEŚLI ZIMOWĄ NOCĄ PODRÓŻNY”
PIW

Gdzieś w zaświatach umarli spotykają tajemniczego fotografa, który pomaga im zrozumieć, które chwile w ich życiu były najważniejsze. Proza sentymentalna, która bije rekordy popularności w Japonii.



SANAKA HIRAGI
„FOTOGRAF UTRACONYCH WSPOMNIENI”
RELACJA

Uroczą serią fantasy dla małych i dużych powraca na księgarskie półki. Mysi rycerze kontra szczurzy agresorzy, klimat trochę jak z „Wodnikowego wzgórza”, a trochę jak z serii o braciach-ku Cadfaelu. Klasyka.

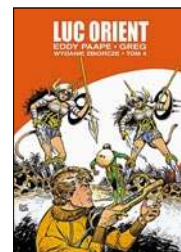
recenzuje Piotr Gociek



BRIAN JACQUES
„REDWALL. BITWA O RUDY MUR”
NOWA BAŚŃ

KOMIKS TYGODNIA: „LUC ORIENT”

Nie było jeszcze okazji, by wspomnieć o tej serii, a trzeba: bardzo ciekawe dokonanie frankofońskiego komiksu science fiction, coś pomiędzy cyklem o Valerianie a „Rozbitkami czasu”. Rozpoczęta w roku 1967 na łamach magazynu „Tintin”, wielką popularność zdobyła w latach 70., dziś uznawana jest za pozycję kla-



GREG, EDY PAAFE
„LUC ORIENT”,
TOM 4
TAURUS MEDIA
2023

syczną. W polskiej edycji ukazują się tomy zbierające po cztery albumy, najnowszy zawiera część od 13 do 16.

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Wspomnienie superpotęgi

Monumentalna wystawa historyczno-artystyczna, na której rozlokowanie wykorzystano 20 sal renesansowego Pałacu Królewskiego na Wawelu. Miejsce nieprzypadkowe do zaprezentowania „szerokiej panoramy kultury rozkwitającej w latach 1501–1572, a więc za panowania kolejnych Jagiellonów: Aleksandra, Zygmunta I i Zygmunta Augusta, na ogromnym terytorium

monarchii polsko-litewskiej”. Miejsce świadek stwarzające „jedyną w swoim rodzaju okazję do prezentacji zgromadzonych eksponatów w historycznym kontekście”.

Wystawa „Obraz Złotego Wieku” to nie tylko najbardziej znane i znaczące dzieła epoki królestwa ostatnich Jagiellonów, lecz także zabytki mniej znane, które nie były jeszcze prezentowane w Polsce, nawet nowo odkryte. „Tytułowy »obraz« obejmuje dzieła wykonane z rozmaitych materiałów i z użyciem wielu technik – reprezentujących malarstwo tablicowe, malarstwo na płótnie, miniatury książkowe, rzeźby w drewnie i kamieniu, złotnictwo, hafciarstwo i tkactwo. Szczególne miejsce zajmują druki”.

GDZIE? Wawel
KIEDY? do 14 grudnia



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU



FOT. PAVEL CZARNECZ

OBIETNICA SZCZĘŚCIA

Dwadzieścia pięć marmurowych rzeźb artystki, która mówiła o sobie, że „tworzy sztukę szczęśliwą”, składa się na wystawę „Obietnica szczęścia. Maria Papa Rostkowska” prezentowaną w Starej Oranżerii. Wśród nich jest tytułowa „Obietnica szczęścia” podarowana Muzeum Łazienki Królewskie przez syna artystki, Mikołaja Rostkowskiego. Co daje szczęście, jakie tematy pozwalają stwarzać „sztukę szczęśliwą”? Między innymi miłość, waleczność i macierzyństwo. © ©

GDZIE? Warszawa, Łazienki Królewskie
KIEDY? do 3 grudnia

NA SŁUCH

Z powrotem w Indiach

Zespół Mahavishnu Orchestra należał do liderów jazz-rocka. W 1975 r. John McLaughlin porzucił gitarę elektryczną na rzecz akustycznej i połączył jazzową improwizację z muzyką hinduską.

Trzeci studyjny album Shakti (debiut był nagrany na żywo) ukazał się po 46-letniej przerwie. Obok członków założycieli, McLaughlina i mistrza tabli Zakira Hussaina, grupę dziś tworzą perkusista Selvaganesh Vinayakram, wokalista Shankar Mahadevan i skrzypce Ganesh Rajagopalan. Obecne brzmienie Shakti nawiązuje do początków grupy, ale jest znacznie unowocześnione. Gitary akustyczne z wcześniejszych albumów zostały zastąpione elektrycznymi. McLaughlin akom-

paniuje na nich, tworzy tła dźwiękowe, generuje efekty i gra solówki. Mahadevan używa stylu konnakol, czyli rytmicznego śpiewu opartego na wykorzystaniu perkusyjnych sylab. Hussain improwizuje na tabli, a jęczące skrzypce Rajagopalan nie ustępują ekspresji gitarze lidera.

W dzisiejszej muzyce Shakti tradycja subkontynentu indyjskiego w sposób naturalny miesza się z dusznym bluesem, rytмами flamenco, afrykańskimi pulsacjami, celtyckim folkliem i... euforycznym postbopem. Centralnym utworem na płycie jest ponad 10-minutowa „Giriraj Sudha”. To tradycyjna pieśń wywodząca się z muzyki Carnatic. Charakteryzuje się ona skomplikowanymi melodiami, a w warstwie słownej zawiera nauki o świecie. © ©



★★★★★
FLEETWOOD MAC
„RUMOURS: LIVE”
RHINO

Zapis koncertu z 1977 r. Pół roku

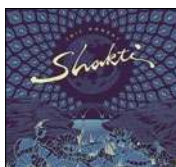
wcześniej ukazała się płyta „Rumours”, która rozeszła się do dziś w ponad 45-milionowym nakładzie. Nagrania ukazują zespół, którego brytyjsko-amerykańska inkarnacja dopiero się rozkręca. Niebawem wszystkie stadiony będą w jego władaniu.



★★★★★
WILCO
„COUSIN”
DBPM

Jeden z czołowych obecnie amerykań-

skich zespołów powierzył produkcję albumu Cate Le Bon, która zagrała dodatkowo na klawiszach. Urzekające melodie oraz nastrojowy smutek w głosie Jeffa Tweedego w połączeniu z „wypięgłymi” zgrzytami współgrają idealnie. Dla ambitnych smutasów. © ©



★★★★★
SHAKTI
„THIS MOMENT”
ABSTRACT LOGIX



Krzysztof Masłowski

**Skiba wyznał,
że z radością oczekuje,
aż Jarosław Kaczyński
umrze**

Wpuść chłama do biura, to i atrament wypije. Nie pamiętając o tej starej mądrości, ktoś kiedyś uznał osobnika Skibę za artystę. Zapewne dlatego, że ten wymachiwał kartą antykomunistyczną, na której – wężykiem, Jasiu, wężykiem – wyliczył wszystkie swoje wygłupy z czasów Pomarańczowej Alternatywy. W 2013 r. został za nie odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności. Przy czym do końca nie wiadomo, czy jedynie za to, bo niewykluczone, że i zupełnie za co innego, a mianowicie za pokazanie dupy Jerzemu Buzkowi, w roku 1999, gdy miało to miejsce, bynajmniej nie postępowemu europosłowi, ale – traf chciał – premierowi polskiego rządu.

Premier nie zachwyił się widokiem pośladek rozkosznisia, a katowickie – bo rzecz miała miejsce w Spodku – kolegium do spraw wykroczeń ukarało nawet Skibę 1200-złotową grzywną. Dziś nie do pomyślenia, o czym mogliśmy się przekonać po tym, gdy cztery lata temu w majestacie prawa sąd oczyścił tego samego typu z zarzutów postawionych mu przez TVP, która jakoś dziwnie nie chciała obsypać się popiołem, choć wesołek orzekł, że to ona jest winna śmierci prezydenta Gdańska Adamowicza. I nic dziwnego, że od razu Skiba zasiadł w Gdańskiej Radzie Kultury, a to dlatego, że kulturowy jest nad wyraz.

Życzenie śmierci

FOT. MICHAŁ ZEBROWSKI/ODINW.EAST NEWS



Teraz swą nadzwyczajną kulturę zademonstrował publicznie, dając wyraz tęsknocie do chwili, w której wrogi mu Jarosław Kaczyński zemrze. Oświadczenie to przyjęte zostało na warszawskim Torwarze, gdzie odbywał się koncert przepięknie nazwany „Klub 27 Symfonicznie”, burzliwymi oklaskami. W końcu i gadatliwego szołmena i buraczaną publikę wychował ten sam Jerzy Urban.

Jak pamiętamy, to Urbanowy tygodnik „Nie” – z którego wywodzi się dzisiejszy lewicowy demokrat, poseł Rozenek – wstawił się wprowadzeniem do publicznej debaty rynsztokowego języka. W efekcie po latach polski sąd uznał, że słowo „wypie..alać” nie jest wcale nieprzyzwoite i jak najbardziej zasługuje na to, by wypisywać je na transparentach. Inny sąd – przepraszam za wspomnienia dziś już historyczne – uznał nazwanie prezydenta Lecha Kaczyńskiego „chamem” za nieobraźliwe. W kontekście wszystkich tych „ch...”, które

dziś lecą na prezydenta Dudę w sieci i poza nią, oceny satyryka (!) Skiby, wyzywającego ministra Ziobrę od „zer” (copyright Leszek Miller), a Jarosławowi Kaczyńskiemu życzącego rychłego zgonu, mieszczą się jak najbardziej. To najzwyczajniej w świecie znak czasu.

Już 16 lat temu kabareciarz Skiba otrzymał jakże zaszczytny tytuł Antyfaszysty Roku według biuletynu stowarzyszenia Nigdy Więcej. Ponieważ, jak utrzymują biegli w temacie, przyszło nam żyć – niestety – w państwie faszystowskim, nic dziwnego, że zasłużony humorysta (chłte, chłte...) zwalcza ekipę rządzącą słowem i czynem. Zwłaszcza od czasu, gdy nie doceniono rac jego humoru wystrzelianych w programie „W tyle wizji” obmierzłego kanału TVP Info.

Ostatni popis humorysty z Big Cyca w gruncie rzeczy nie odbiega aż tak bardzo od poziomu produkcji z konsekwencją godną lepszej sprawy od dawna już prezentowanych przez zasłużonych weteranów

polskiej sceny kabaretowej. Tyle że Skiba postanowił, jak widać, nie obcyndalać się (copyright Tadeusz Konwicki) wcale i wyłożyć kawę na ławę (copyright TVN). Pewnie, co tam będzie wyluszczał z detalami, że Kaczor Dyktator zrobił czy powiedział to czy tamto: niech szczerze i już.

Wszystkie możliwe stacje telewizyjne niemal na okrągło pokazują kabaretowe skecze sprzed kilku czy kilkunastu lat, z wyjątkiem TVP, gustującej w satyrze sprzed lat kilkudziesięciu. Widz sam może ocenić, jak mają się one do nasładowych ostatnio jakże odważnych wystąpień Neo-Nówki czy Jerzego Kryszaka. Ma się rozumieć, artysta Skiba przebił teraz całą konkurencję. Zastanawiam się tylko, co jeszcze w tym towarzystwie robią taki Robert Górski z Mikołajem Cieślakiem, choć warto zauważyć, że obu panów częściej widzujemy w reklamach niż gdzie indziej.

No cóż, świat się zmienia, i to niekoniecznie na lepsze. Pamiętam, że gdy Polsat wystartował ze „Światem według Kiepskich”, na ten zaprezentowany rodzaj humoru ostro zareagował m.in. Wojciech Młynarski, w kabaretowej materii bodaj najwyższy autorytet. I co? W odpowiedzi usłyszał, że nie rozumie społecznego zapotrzebowania na rozrywkę niekoniecznie salonową, że jego czas minął, a naród domaga się właśnie Kiepskich i Paździochów. I niebawem wraz z Big Cycem Polacy wyśpiewywać zaczęli przasną piosenkę z tekstem nie kogo innego, jak rzeczonego Skiby o kiepskim świecie, kiepskich sprawach, marnym życiu i zabawach.

W kiepskim świecie Skiba robi za artystę, w normalnym nie musiałby nikogo udawać. Wszystko już zostało powiedziane i wszystko byłoby jasne. ©©

Święte Cesarstwo Unijne



Jan Fiedorczuk

Jeżeli istnieje coś takiego jak charakter narodowy, to w przypadku Niemców jego nieodzowną składową jest imperializm. Im głębiej wnikamy w historię tego wielkiego narodu, tym coraz bardziej oczywiste jest, że Niemcy nie potrafią funkcjonować w racjonalnych ramach państwa narodowego



Każdy to wie, lecz wypowiedzenie głośno tego stwierdzenia oznacza złamanie tabu: Europa stała się niemiecka – tak dekadę temu pisał słynny socjolog kosmopolita Ulrich Beck w swojej pracy „Niemiecka Europa”. Okres, który minął od publikacji tej książki, dowodzi, jak bardzo przyspieszyły wydarzenia na europejskiej szachownicy. To, co jeszcze niedawno stanowiło tabu, dzisiaj w politycznym mainstreamie jest traktowane jako oczywistość, by nie powiedzieć – banał. Anno Domini 2023 kanclerz Olaf Scholz właściwie już otwartym tekstem deklaruje to, co Angela

Merkel starała się jeszcze subtelnie sugerować – Unia Europejska ma przekształcić się w europejskie mocarstwo, a dla Niemiec nadszedł czas, aby „wziąć odpowiedzialność” za losy wspólnoty.

NIEMIECKA ODPOWIEDZIALNOŚĆ, EUROPEJSKIE TABU

W maju kanclerz wygłosił głośne przemówienie, w którym zaproponował gruntowną reformę Unii Europejskiej. W jego wizji Europa ze wspólnoty małych, suwerennych państw powinna przekształcić się w „unię geopolityczną”, czyli wielki ośrodek polityczno-gospodarczy, który

byłby zdolny dotrzymać kroku innym gigantom światowej polityki.

W jego wystąpieniu było z polskiej perspektywy co najmniej kilka interesujących wątków. Po pierwsze, zreformowana Unia musi się opierać na praworządności, gdyż rosyjska inwazja na Ukrainę miała dowieść niezbitości rządów prawa. Ostatnie lata nas nauczyły jednak, że gdy unijni urzędnicy mówią o praworządności, to niemal zawsze oznacza to uderzenie w polski rząd. Po drugie, Scholz podkreślił, że Europa musi doprowadzić do rozszerzenia wspólnoty o kolejne państwa. Po trzecie wreszcie



FOT. JOHANNES SIMON/GETTY IMAGES

samej UE, to Kijów zgodzi się bez chwili wahania.

Wystąpienie Scholza wywołało falę negatywnych komentarzy wśród polskiej prasy, trudno jednak tego wzmożenia nie traktować jako wyrazu naiwności. Wszak kanclerz Niemiec wyłożył jasno to, o czym niemieckie elity mówią już od dawna. On sam w lipcu 2022 r. opublikował tekst na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung” pt. „UE musi stać się aktorem geopolitycznym”, w którym apelował: „Nigdy więcej samolubnych blokad decyzji europejskich przez państwa członkowskie”, aby w dalszej części artykułu przekonywać, że nastał najwyższy czas, aby Niemcy „przejęły odpowiedzialność za Europę i świat w tych trudnych czasach”.

Ulrich Beck we wspomnianej książce stwierdzał, że w Niemczech unika się takich pojęć jak „władza” czy „hegemonia”, gdyż mają one negatywne konotacje historyczne. „Narodowe interesy pozostają dyskretnie ukryte za wielkimi słowami, takimi jak Europa, pokój, współpraca. Użycie formuły »władzy niemieckiej Europy« narusza tabu [...]. Można by natomiast powiedzieć, że Niemcy przejmują odpowiedzialność za Europę”.

W podobne tony co Scholz uderzał niedawno współprzewodniczący SPD Lars Klingbeil, który wzywał swój kraj do przejęcia „przewodniej roli” w UE, argumentując, że po „80 latach powściągliwości” Niemcy powinny zająć należne im miejsce, czyli przejąć przywództwo, gdyż tego od nich oczekują inne państwa Europy. Potem zaś w jego przemówieniu padły znamienne słowa: „Jako wiodąca potęga Niemcy muszą silnie promować suwerenną Europę. Niemcy mogą być silne tylko wtedy, gdy Europa jest silna”.

Wątek o „niemieckiej odpowiedzialności” dobrze oddaje, jaki ma być stosunek między Berlinem a pozostałymi państwami w nowej, zreformowanej Unii. Dzisiaj widzimy, że powojenny apel Tomasza Manna, aby jego rodacy budowali „europejskie Niemcy zamiast niemieckiej Europy”, przeszedł bez echa.

NIEMIECKA PRECYZJA

Niecałe dwa lata temu liderzy SPD, Zielonych i FDP zaprezentowali umowę koalicyjną, w której otwartym tekstem zadeklarowano, że celem europejskiej integracji ma być „federalne, europejskie

państwo związkowe, zorganizowane zgodnie z zasadą subsydiarności i proporcjonalności oraz Kartą praw podstawowych”.

Z kolei poprzedniczka Scholza, Angela Merkel, mimo że starała się unikać radykalnych deklaracji, w praktyce otaczała się współpracownikami o jednoznacznej proveniencji ideowej. To za jej rządów szefem niemieckiej dyplomacji był Heiko Maas, który jako pierwszy tak otwarcie głosił konieczność zniesienia zasady weta, uważając ją za mechanizm paraliżujący działalność Unii i prezentując wizję, którą następca Merkel ochrzcił mianem „unii geopolitycznej”. Sam Scholz, jeszcze jako wicekanclerz w rządzie Merkel, przekonywał o konieczności budowy unijnego wojska oraz stworzenia wspólnej polityki zagranicznej. Podobnie Ursula von der Leyen, jako minister obrony w rządzie Merkel, zapowiadała, że utworzenie

W podobne tony co Scholz uderzał współprzewodniczący SPD Lars Klingbeil, który wzywał swój kraj do przejęcia „przewodniej roli” w UE

unijnej armii jest długofalowym celem Niemiec. Z kolei zaraz po objęciu stanowiska przewodniczącej Komisji Europejskiej bardzo wyraźnie dała do zrozumienia, że w trakcie swojej kadencji będzie działała na rzecz przekształcenia wspólnoty suwerennych państw w scentralizowany projekt geopolityczny.

– Dlaczego nawet proste deklaracje o wartościach UE są opóźniane, tonowane lub wstrzymywane z innych powodów? Gdy państwa członkowskie twierdzą, że Unia działa zbyt wolno, odpowiadam im: śmiało! Dopuszczcie wreszcie do głosowania większością kwalifikowaną, przynajmniej w kwestiach praw człowieka i wdrażania sankcji – mówiła szefowa KE w 2020 r.

NIEMIECKA TRADYCJA

Dążenie niemieckich elit do budowy europejskiego mocarstwa wielokrotnie opisywaliśmy na łamach „Do Rzeczy”. Interesujące jest jednak, że jeżeli spojrzymy na ten temat z odpowiednio

i najważniejsze, rozszerzenie będzie możliwe dopiero po reformie Unii, czyli po zniesieniu zasady jednomyślności. Do tej pory polityka zagraniczna oraz kwestie podatkowe wymagały zgody wszystkich państw, jeżeli jednak Europa ma przetrwać, to nie może być dłużej krępowana przez suwerenne decyzje państw członkowskich. Dlatego też zbliżenie na linii Berlin – Kijów, które ostatnio obserwujemy, jest tak niepokojące. Dla Ukrainy wejście w struktury Zachodu jest celem priorytetowym i jeżeli ceną za ten akces albo przynajmniej rozpoczęcie procesu będzie zmiana ustroju

■ szerokiej perspektywy, to dostrzeżemy, że nasi zachodni sąsiedzi zmieniają narzędnia, ale imperialny cel jest od dawna ten sam. Nie mówimy tu o perspektywie lat czy dekad, ale wręcz wieków. Ten mechanizm jest tak trwały i nieustająco powracający do niemieckiej polityki, że trzeba go raczej traktować jako swoistą esencję niemieckości, a nie jej akcydentalny składnik.

W zeszłym roku nakładem wydawnictwa Pro Vita Bona ukazała się książka Magdaleny Ziętek-Wielomskiej „Niemiecki sen o imperium”, w której autorka, od lat specjalizująca się w niemieckiej myśli politycznej, wnikliwie opisuje omawiane zjawisko. Jedną z głównych tez pracy brzmi następująco: Niemcy zdruzgotane w drugiej wojnie światowej wykorzystały europejską integrację do budowy imperium. Jak czytamy w rzeczonyj pracy, „przegrana wojna zmusiła Niemców do zmiany strategii, która zaczęła przypominać tę, którą Prusy realizowały w stosunku do Niemców podczas procesu przeprowadzania tzw. zjednoczenia Niemiec”.

W obu przypadkach centralizację polityczną musi poprzedzić integracja gospodarcza. Tak jak państwem niemieckie powołały w 1834 r. Niemiecki Związek Celny, a następnie w jego ramach ujednoliciły przepisy i instytucje, co dopiero po latach zaowocowało narodzinami nowoczesnego państwa niemieckiego, tak samo teraz w ramach unijnej wspólnoty prowadzone są dobrowolne mechanizmy mające na celu ujednolicanie europejskiego rynku. I tak jak wtedy Prusy grały nieczysto, blokując, szantażując i narzucając mniejszym partnerom wspólnotowe rozwiązania, tak teraz Niemcy coraz częściej obchodzą traktaty unijne w celu „obrony wartości europejskich”. I dokładnie tak samo jak Niemcy dzisiaj przypisują sobie odpowiedzialność za losy Europy, tak Prusy przypisywały sobie odpowiedzialność za proces niemieckiej integracji. Jak przekonuje Ziętek-Wielomska, „zjednoczenie Niemiec to zarówno punkt wyjścia, jak i wzorzec zjednoczenia Europy”.

Dlatego też ledwie cztery lata po wojnie Konrad Adenauer przekonywał, że „nie ma w Niemczech idei bardziej popularnej niż idea europejska”, a kolejni niemieccy liderzy, z jakich środowisk

Niemal cały XX w. przebiegał pod znakiem kolejnych prób zdominowania Europy przez Niemcy, jednak ten imperialny trop sięga znacznie głębiej

by się wywodzili, forsowali koncept europejskiej integracji. Tylko integracja europejska mogła ich wydobyć z katastrofy drugiej wojny światowej, pomóc odbudować potencjał gospodarczy oraz otworzyć drogę do kolejnej próby zdominowania Europy. I tak za powołaniem wspólnego państwa kontynentalnego państwa mogli się opowiadać zarówno socjaliści i eurokomuniści z lewa, liberałowie z centrum, jak i niemiecka prawica, czego przykładem rewolucyjni konserwatyści pokroju Ernsta Jüngera i Edgara Junga czy tradycjonalistyczny Otto von Habsburg – następca tronu Austrii, europoseł CDU/CSU oraz lider Międzynarodowej Unii Europejskiej.

Jak wskazuje Ziętek-Wielomska, niewiele brakowało, żeby europejskie państwo powstało już w latach 50. XX w., gdy państwa członkowskie planowały powołanie europejskiej armii oraz Europejskiej Wspólnoty Politycznej z dwuizbowym parlamentem, europejskim prezydentem oraz rządem. Projekt upadł po tym, jak francuskie Zgromadzenie Narodowe odrzuciło ratyfikację traktatu o europejskiej armii, jednak samo tempo prac (siedem lat po wojnie!) oraz jednoznaczny kierunek europejskiej integracji były piorunujące.

UNIA EUROPEJSKA NARODU NIEMIECKIEGO

Właściwie cały XX w. przebiegał pod znakiem kolejnych niemieckich prób zdominowania Europy, jednak ten imperialny trop sięga znacznie głębiej. Dwudziestowieczny mediewista Kazimierz Tymieniecki w jednej ze swoich prac pisał: „Metryka urodzenia imperializmu niemieckiego [...] jest wcześniejsza aniżeli któregośkolwiek z narodów dziś istniejących na kontynencie Europy”. Historyk wskazywał na sukces imperializmu rzymskiego, co wbrew pozorom ma fundamentalne znaczenie, gdyż obrazuje,

o jak wielowiekowym zjawisku mówimy. To z kolei oznacza, że nie sposób wyplenić go w ciągu pokolenia czy dwóch.

Nie jest przypadkiem, że gdy poszczególne państwa europejskie ewoluowały w kierunku monarchii narodowych, a następnie nowoczesnych, scentralizowanych państw, Niemcy przez niemal 1000 lat funkcjonowały w ryzach Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego – imperium o ambicjach uniwersalistycznych – co doprowadziło do konfliktu z papieżem. O ile jednak w przeszłości Rzym stawiał opór imperialnym zapędom Rzeszy, o tyle dzisiaj Watykan wydaje się całkowicie kapitulować i akceptować liberalny dogmat o „niewtrącaniu się” Kościoła do polityki. A przecież współczesne „unijne cesarstwo” też ma uniwersalistyczną misję nawracania innowierców na postępową agendę.

Najciekawsza w pracy Ziętek-Wielomskiej jest konkluzja na niwie ideowej: „Niemcy po prostu nigdy nie potrafili myśleć innymi kategoriami niż imperialnymi – instytucja państwa narodowego jest im po prostu zupełnie obca, bo nigdy w całej swojej historii nie byli państwem narodowym”. I faktycznie, Niemcy przez setki lat funkcjonowali albo w formie imperialnej (Sacrum Imperium, III Rzesza), albo w formie heimatów, czyli małych regionalnych struktur. Teraz, gdy po drugiej wojnie światowej pojawiła się szansa na budowę stabilnego niemieckiego państwa narodowego, Berlin zaczął natomiast forsować wizję radykalnej integracji europejskiej, traktując ją jako dźwignię dla swojej imperialnej natury. W dodatku całość okraślił masową imigracją z krajów Bliskiego Wschodu i Afryki.

Jeżeli istnieje coś takiego jak narodowy charakter, to dla Niemców imperializm stanowi jego nieodzowną część składową. Nieco przewrotnie parafrazując Romana Dmowskiego, można stwierdzić, że imperializm nie jest dodatkiem do niemieczyny, ale stanowi jej istotę. Dlatego też tak długo, jak Niemcy będą najsilniejszym podmiotem w Europie, tak długo integracja będzie naturalnym narzędziem budowy hegemonii Berlina. Imperialny charakter tego narodu będzie ciążył w stronę budowy nowej wersji kontynentalnego mocarstwa – Świętego Cesarstwa Unijnego Narodu Niemieckiego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



KONFERENCJA

„Wolność sumienia i ideologia LGBT”

TYTUŁY PANELI:

**REWOLUCYJNE PRZYSPIESZENIE.
KTO I DLACZEGO CHCE NARZUCIĆ POLSCE
AGENDĘ LGBT?**

**TO NIC TAKIEGO? SEKS-EDUKACJA
W POLSKICH SZKOŁACH**

**WATYKAN W CIENIU TĘCZOWEJ GWIAZDY.
CZY KOŚCIÓŁ STANIE PO STRONIE
REWOLUCJI LGBT?**

**RODZINA – OSTATNI BASTION
KONTRREWOLUCJI?**

Jak wyjść z Unii, pozostając w niej



Łukasz Warzecha



Bardzo łatwo jest zakrzyknąć: „Wychodzimy z Unii Europejskiej!”. Jak pokazuje przykład brytyjski, wykonanie jest o niebo trudniejsze. A przecież Wielka Brytania miała mnóstwo atutów, których my nie mamy

Tragizm polityki polega na tym, że jest ona – a przynajmniej powinna być – sztuką realnych wyborów. Pół biedy, jeśli przychodzi wybierać pomiędzy wariantami, które są w zasadzie korzystne, a wątpliwość dotyczy jedynie tego, który jest korzystniejszy. Znacznie gorzej, gdy wybór jest pomiędzy wariantami z gruntu niekorzystnymi i pozostaje jedynie zdecydować, który przyniesie mniejsze straty. Polska przed takimi wyborami stawiała w swojej historii wielokrotnie – i zwykle wybieraliśmy najgorzej jak się dało. Niewykluczone, że w ciągu najbliższej dekady po raz kolejny trzeba będzie wybierać między złym a jeszcze gorszym, jeśli nasze członkostwo w Unii Europejskiej stanie się w oczach większości Polaków ewidentnie nieopłacalne.

Mój problem z tekstem Tomasza Cukiernika, opublikowanym w poprzednim numerze „Do Rzeczy”, nie polega na tym, że kwestionuję jego diagnozę i podsumowanie koszmarnych problemów, jakie już nam przygotowała albo przygotuje w najbliższym czasie Unia Europejska. Jest dokładnie przeciwnie: o prawie wszystkich z nich pisałem

niejednokrotnie w „Do Rzeczy” oraz innych miejscach. Bardzo obszernie zajmowałem się we wszelkich jej aspektach polityką klimatyczną UE, zmierzającą wprost do gospodarczego samobójstwa Europy, a już szczególnie szkodliwą dla Polski. Pisałem i o ETS2, i o dyrektywie EPBD o charakterystyce energetycznej budynków, i o elementach pakietu „Fit for 55”. Zajmowałem się raportowaniem ESG – czysto ideologicznym systemem sprawozdawczości dla spółek giełdowych, który narzuci im olbrzymie koszty dodatkowe. Pisałem również o imigracji.

SZKODLIWY DOGMATYZM

Tak się składa, że tuż po ukazaniu się tekstu Cukiernika opublikowałem na portalu „Do Rzeczy” tekst o kolejnym groźnym aktualnie procedowanym projekcie: Akcie o Wolności Mediów, który narzucałby krajom członkowskim rozwiązania w dziedzinie, która w żadnym wypadku nie powinna leżeć w granicach kompetencji unijnych. I tę cegiełkę mógłbym dorzucić do gmachu budowanego przez mojego redakcyjnego kolegę.

Reakcje na tekst Cukiernika były łatwe do przewidzenia. Najmniej było wśród

nich oczywiście rzeczowego odniesienia się do prezentowanych problemów. Nic dziwnego: właściwie wszystkie one są koszmarnie niewygodne dla większości polityków biorących udział w obecnym wyścigu wyborczym. Dla Zjednoczonej Prawicy, ponieważ – jak słusznie zauważył Cukiernik – to szef jej rządu zgodził się na dużą część z fatalnych dla Polski ustaleń. Dla Koalicji Obywatelskiej i jej sojuszników, ponieważ prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż ktoś tam przyzna, że unijna polityka jest dla Polski niekorzystna. Tu akurat mamy do czynienia ze szczególnym sojuszem dwóch zwykle zwalczających się bezwzględnie stron.

Najwięcej było pokrzykiwań ze strony opozycji o tym, że tekst w „Do Rzeczy” oznacza początek akcji wyprowadzania Polski z UE, przy czym tradycyjnie przypisywano ten zamiar PiS i twierdzono, że jesteśmy tylko forpcztą tego planu. Było to absurdalne nie tylko dlatego, że PiS w większości spraw – pomijając wojowniczą retorykę – płynie w głównym europejskim nurcie, lecz także dlatego, że sam zgodził się na sporą część wspomnianych regulacji. O czym zresztą Cukiernik pisze. Ba, autor tekstu odwoływał się przede wszystkim do eurosceptycznego stanowiska Konfederacji, nie PiS, ale tego również nie dostrzeżono. Zapomniano także i o tym, że projektując niedoszłe referendum konsultacyjne w sprawie zmiany konstytucji obecny prezydent, ściśle przecież związany z obozem Zjednoczonej Prawicy, chciał wpisywać członkostwo w UE do konstytucji. Jednym słowem – dorabianie PiS gęby poexitowców ma taki sam sens jak robienie z Mateusza Morawieckiego liberała, a z Włodzimierza Czarzastego zagorzałego katolika.



W tych reakcjach było – poza uwarunkowaniami kampanijnymi – mnóstwo szkodliwego dogmatyzmu. Tymczasem członkostwo w żadnej międzynarodowej organizacji czy strukturze, w tym w UE, nie jest wryte na kamiennych tablicach. Wobec czynników, które z konieczności skrótkowo opisał Cukiernik, musimy zacząć i o wariacie pożegnania się z UE rozmawiać, choćby po to, żeby pokazać naszym partnerom, że nie jest to dla nas sytuacja niewyobrażalna. Bo – o czym się w Polsce często zapomina – Polska jest potrzebna w Unii innym, w tym zwłaszcza Niemcom. Tego lewara dotychczas nigdy nie użyliśmy, a nasi przyjaciele z Zachodu trwają w miłym, niestety dotychczas prawdziwym przekonaniu, że Polacy kochają UE i nie będą chcieli jej opuszczać, nawet jeśli ta zafunduje im biedę i nędzę. Po co w takim razie w jakiegokolwiek kwestii iść nam na rękę?

RACHUNEK ZYSKÓW I STRAT

W „Do Rzeczy” wychodzimy z założenia, że w polityce tematów tabu nie ma. Absolutnie nie powinna nim być opłacalność trwania w UE. Tu do spraw, o których napisał Cukiernik, trzeba dorzucić jeszcze jedną, o której nie wspomniał: finansowy bilans netto naszej obecności w Unii. Już teraz jest on zaskakująco słaby. Z dużym zaskoczeniem policzyłem jakiś czas temu, że gdyby uśrednić pieniądze, jakie otrzymujemy w obecnej perspektywie budżetowej, po czym odliczyć od nich składkę – pomijając inne nasze zobowiązania wobec Unii – to okaże się, że rocznie otrzymujemy z unijnych funduszy jedynie 17 mld zł! Jest to oczywiście bardzo zgrub-

ny rachunek, który nie uwzględnia wielu czynników. Z jednej mamy bowiem całe mnóstwo dodatkowych kosztów, które ponosi polskie państwo, społeczeństwo i przedsiębiorcy w związku z unijnymi regulacjami. Te zaś w ciągu 19 lat naszego członkostwa stawały się coraz bardziej sklerotyczne i coraz bardziej służyły interesom niewielkich grup. Z drugiej mamy dostęp do wspólnego rynku, który oznacza trudne (ale nie niemożliwe) do policzenia korzyści.

Tymczasem obecna perspektywa budżetowa to najpewniej ostatnia, w której formalnie jesteśmy beneficjentami netto. Sytuacja po 2027 r. zmieni się radykalnie, ponieważ do świadomości Polaków dotrze, że nie tylko nie „dostajemy” już od Unii pieniędzy, lecz także jest wręcz przeciwnie: z powodu członkostwa ponosimy gigantyczne koszty w różnych dziedzinach. A proszę sobie jeszcze wyobrazić, że Polacy mieliby świadomość, że ich pieniądze płyną szerokim strumieniem poprzez brukselski budżet na stanowiącą dla nas pod każdym względem konkurencję Ukrainę, o ile faktycznie proces jej akcesji przyspieszy tak bardzo, jak chciałby to tego Niemcy.

KWESTIA ALTERNATYWY

I tu dochodzę do słabego punktu wywodów Cukiernika: kwestia alternatywy. Bardzo łatwo jest zakrzyknąć: „Wychodzimy!”. Jak pokazuje przykład brytyjski, wykonanie jest o niebo trudniejsze. A przecież Wielka Brytania miała mnóstwo atutów, których my nie mamy: położenie geograficzne, broń jądrową (tak, to też liczy się do statusu, nawet w czysto politycznych negocjacjach), autentycznie szczególne relacje z USA, londyńskie city, mocną walutę i wiele więcej. Zatem jej pozycja negocjacyjna była o wiele mocniejsza, niż byłaby nasza.

Łatwo jest powiedzieć, że moglibyśmy przecież znaleźć się w Europejskim Obszarze Gospodarczym, ale poza unijnymi strukturami – jak Norwegia czy Islandia. Tyle że oba te państwa nigdy członkami UE nie były, a łatwiej jest wejść do EOG z zewnątrz niż pozostać w nim, wychodząc

ze struktur politycznych Unii. Oba też mają nieporównywalne z Polską położenie geograficzne (trzecim krajem EOG jest również dość komfortowo położony i bogaty Liechtenstein). Nie można też zapominać, że jeżeli chce się we wspólnym rynku uczestniczyć nawet z zewnątrz, to i tak trzeba przyjąć dużą część porządkujących go norm. Chyba że jest się Szwajcarią, którą ze średnim wynagrodzeniem na poziomie ponad 30 tys. zł stać na splendid isolation, czyli pozostawanie i poza UE, i poza EOG.

Jest wreszcie czynnik, o którym Cukiernik również nie wspomniał, a który ma ogromne znaczenie: opinia społeczna. W tej chwili – na co słusznie wskazują politycy Konfederacji – podejmowanie tematu wystąpienia z Unii nie ma żadnego sensu, ponieważ polska opinia publiczna jest wciąż w większości niemal fanatycznie prounijna. Nie tylko ta jej część, która zapamiętała sprzyja opozycji. To jednak może się zacząć zmieniać właśnie wówczas, gdy do Polaków dotrze za kilka lat, jak dramatycznie koszty zaczęły przeważać nad korzyściami. I z myślą o tym momencie, który nadejdzie niemal na pewno, już dzisiaj powinniśmy toczyć dyskusje takie jak ta, którą podjęliśmy w naszym tygodniku.

Czy jednak nawet wówczas może zostać potraktowany poważnie wariant wystąpienia z UE? Jest przecież jeszcze problem wpadnięcia w swoistą próżnię polityczną, w naszym położeniu istotny. No i nakładające się na to pytanie o kompetencje polskiej klasy politycznej, bo sterowanie państwem średnich rozmiarów i zamożności, pozostającym poza UE, jest znacznie bardziej wymagającym zadaniem. A może szansą dla nas jest to, co kiedyś już pojawiało się w politycznym obiegu, a co do niego teraz wróciło za sprawą opublikowanego niedawno raportu niemiecko-francuskiej grupy roboczej, przedstawiającego możliwe i pożądane kierunki rozwoju UE: Europa różnych prędkości? Kiedyś to sformułowanie wywoływało w Polsce niemal panikę, ale było to w czasach inaczej jeszcze wyglądającej Unii oraz niedługo po naszym do niej przystąpieniu, kiedy ogromnie obawialiśmy się marginalizacji. Dziś może się okazać, że takie pozostanie poza centrum, ale wciąż w ramach luźniejszej politycznej struktury jest optymalnym rozwiązaniem. Aczkolwiek, jak to niemal zawsze bywa, diabeł tkwić będzie w szczegółach.

Rada ds. Społecznych Konferencji Episkopatu Polski opublikowała dokument „Vademecum wyborcze katolika”. W dokumencie czytamy m.in., że „udział w wyborach jest obowiązkiem sumienia katolika”, „katolicy opowiadają się bezwarunkowo po stronie prawa do życia od poczęcia do naturalnego kresu”, „z determinacją zabiegają o ochronę praw rodziny, opartej na monogamicznym małżeństwie osób przeciwnej płci”, „stoją na straży zagwarantowania prymatu rodziców w wychowaniu swoich dzieci”, „bronią wolności sumienia i wolności religijnej, stanowiącej »serce praw człowieka«, »sprzeciwiają się budowaniu świata »tak, jakby Boga nie było«, »są zaangażowani na rzecz wewnętrznego i zewnętrznego pokoju, będącego podstawowym warunkiem realizacji dobra wspólnego«, »troszczą się o etyczny kształt procesów gospodarczych, sprzeciwiając się »ekonomii, która zabija«”.

Na zakończenie dowiadujemy się, że „kwestie te stanowią zbiór zasad, które powinny być uwzględnione podczas podejmowania decyzji wyborczych”. „Właściwie ukształtowane sumienie chrześcijańskie nie pozwala nikomu przyczyniać się przez oddanie głosu do realizacji programu politycznego lub konkretnej ustawy, które podważają podstawowe zasady wiary i moralności”.

WIELE WĄTPLIWOŚCI

Muszę przyznać, że dokument ten wzbudził we mnie wiele wątpliwości. Po pierwsze, nie rozumiem, dlaczego udział w wyborach miałby być obowiązkiem sumienia katolika. Dorastałem w czasach PRL i wielokrotnie miałem możliwość udziału w wyborach w owych czasach. Nigdy z tej możliwości nie skorzystałem. Nie miałem i nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia. Być może biskupi uważają, że ówczesna demokracja była demokracją fikcyjną, a obecnie mamy do czynienia z demokracją prawdziwą. Kiedy przyglądam się kampanii wyborczej, polegającej na wzajemnym obrzucaniu się błotem, i dostrzegam znaczenie propagandy mediów masowych, które są tubami wyborczymi dwóch głównych partii, mam poważne wątpliwości co do tej „prawdziwości”.

Kolejne wątpliwości pojawiają się, kiedy czytam o postawach definiujących



Czy katolik może wierzyć w demokrację?



Mariusz Dzierżawski

Bożek demokracji nie toleruje konkurencji, również w dziedzinie moralnej. Dlatego bezwzględnie zwalcza każdą religię odwołującą się do porządku obiektywnego, a głównymi wrogami są chrześcijaństwo i jego system dogmatyczny



FOT. ADBESTOCK

plici”. W czasach, kiedy płcie mnożą się jak króliki, może ono oznaczać wszystko. Zastanawiam się, co powstrzymało autorów od określenia małżeństwa jako związku mężczyzny i kobiety.

Wątpliwości pogłębia podkreślanie w dokumencie wolności sumienia i wolności religijnej, „stanowiącej serce praw człowieka”. Zapewne biskupi definiują te wolności inaczej, ale w powszechnym rozumieniu, również wielu ludzi uważających się za katolików, oznaczają one wolność od wszelkich nakazów zewnętrznych, również nakazów Kościoła. Prawa człowieka są zaś ostatnio bardzo pojemne i zawierają zdaniem wielu, a przede wszystkim ONZ i innych organizacji międzynarodowych, wolność zabijania najsłabszych i wolność realizowania wszelkich zachcianek seksualnych.

Trudno zrozumieć, co w kontekście polskich wyborów oznacza termin „ekonomia, która zabija”. Czy zdaniem autorów w Polsce działają partie, które głoszą zabójczą ekonomię?

NOWY BOŻEK

Największą wadą tego poradnika wyborczego jest jego rozbieżność z codzienną rzeczywistością. O fundamentalnych zasadach moralnych biskupi przypominają sobie przy okazji wyborów i wzywają do ich przestrzegania. Kiedy jednak trwają publiczne kampanie na rzecz upowszechniania zabijania albo parady nawołujące do rozwiązłości, biskupi dyplomatycznie milczą, bo zabranie głosu może spowodować ataki na księży i kościoły. Z kolei politycy „podpinający” się pod Kościół przypominają sobie o nauczaniu moralnym w czasie kampanii, aby po zdobyciu głosów katolickiego elektoratu natychmiast o nim zapomnieć.

Wpływać na poziom moralny społeczeństw można przez codzienne nauczanie i świadectwo życia. Chrześcijaństwo robili to przez setki lat w systemach niedemokratycznych i zmienili ludy, wśród których działali. Wykorzenili niewolnictwo, wprowadzili systemy prawne opierające się na fundamentalnej równości i godności każdego człowieka, małżeństwo i rodzinę uczynili wspólnotą życia i miłości. Głosili nauczanie moralne „w porę i nie w porę”. Gdyby Kościół zajmował się agitacją polityczną, nic by nie osiągnął.

Demokracja, jakkolwiek wywodząca się ze starożytnej Grecji, upowszechniła się stosunkowo niedawno. Czynnikiem, który przyczynił się do kariery demokracji w ostatnich stuleciach, było niewątpliwie, pochodzące z chrześcijaństwa, przekonanie o równej godności wszystkich ludzi. Jednak demokracja zachodnia, wywodząca się z chrześcijaństwa, postanowiła odciąć się od swoich korzeni. Od ponad półwiecza obserwujemy atak na moralność opartą na Dekalogu, zakwestionowanie przykazań „Nie zabijaj” i „Nie cudzołóż”. Musiało się to skończyć atakiem na pierwsze przykazanie „Nie będziesz miał cudzych bogów przede Mną”. Nowym bożkiem stała się demokracja, rozumiana jako procedury wyborcze. Nowa moralność opiera się na tym, co uchwalą rozmaite ciała demokratyczne, choć często ich związek z jakimikolwiek wyborami jest iluzoryczny. Współczesna demokracja jest bowiem całkowicie kontrolowana, za pomocą mediów masowych i sił policyjnych, przez możnych tego świata. Ci, którzy odwołują się do ludu i jego pragnień, nazywani są populistami i bezwzględnie zwalczani.

SÓL, KTÓRA TRACI SMAK

Bożek demokracji nie toleruje konkurencji, również w dziedzinie moralnej. Dlatego bezwzględnie zwalcza każdą religię odwołującą się do porządku obiektywnego, a głównymi wrogami są chrześcijaństwo i jego system dogmatyczny. Demokracja integralna może rozpatrzyć postulaty moralne grup religijnych, o ile uznają one wyższość demokracji i oddadzą jej pokłon. To właśnie obserwujemy na dzisiejszym Zachodzie.

Chrześcijaństwo antyczne odmówiło oddawania czci boskiej cesarzowi. Zapłaciło za to 300 latami prześladowań i... zwyciężyło. Katolicy afrykańscy i azjatyccy, pod wodzą niezłomnych biskupów, znoszą prześladowania i czynem pokazują, że należy bardziej słuchać Boga niż ludzi. Nie ma wątpliwości, że zmierzają do zwycięstwa. Kościół niemiecki postanowił złożyć hołd demokracji. Stał się solą, która straciła smak.

Dokąd zmierzają inne Kościoły Zachodu? Dokąd zmierza Kościół polski?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

katolików. Podobno opowiadają się oni bezwarunkowo po stronie prawa do życia. Czytając to zdanie, mam wrażenie dysonansu poznawczego. Wielu polityków i innych znanych osób publicznie opowiada się za aborcją. Widywani są podczas Mszy Świętych i przystępują do Komunii. Nie słyszałem, aby biskupi upominali takich polityków. Z rzadka zdarza się kapłan, który odważa się upomnieć, ale spotyka się wówczas z surową reprimendą biskupa. Kiedy pół roku temu był w Polsce Joe Biden, media podały, że uczestniczył we Mszy Świętej i przystąpił do Komunii. Żaden z biskupów nie odniósł się do tego, chociaż aktualny prezydent USA uważa aborcję za „prawo człowieka” i popiera wszelkie dewiacje ukrywające się za skrótem LGBTQ+.

Kolejne zdziwienie wywołuje sformułowanie o „małżeństwie osób przeciwnych

Ludobójstwo bez ofiar



Pomnik w miejscu, w którym funkcjonowała szkoła rezydencjalna w Kamloops. FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES



Krystian Kratiuk

Wiele wskazuje na to, że ogromna burza wywołana dwa lata temu rzekomym odnalezieniem „masowych dziecięcych grobów” w Kanadzie to zwykły humbug. Konsekwencje tego kłamstwa pokazują jednak, jak łatwo jest dziś wywołać rewolucję, jeśli tylko zwrócona jest przeciwko Kościołowi i cywilizacji Zachodu

W 2021 r. niczym grom z jasnego nieba gruchnęła iście przerażająca wiadomość – oto kanadyjscy misjonarze tworzyli placówki edukacyjne, do których siłą ściągali indiańską młodzież, by ją tam... mordować. Tak, rzecz jasna w wielkim skrócie, wyglądała ówczesna narracja.

Informacja o „odkryciu masowych grobów na terenie szkoły rezydencjalnej” w Kanadzie wywołała ogromny repertuar reakcji – oto premier Justin Trudeau natychmiast nakazał opuścić flagi państwowe na terenie całego kraju. Organizowano

wielkie manifestacje pod kościołami, gdzie składano pluszowe zabawki oraz dziecięce bućki. Tego typu protesty zwoływano też pod wieloma kanadyjskimi placówkami dyplomatycznymi jak świat długi i szeroki. Kanadyjscy biskupi ze wstydem przepaszali za ten „niewyobrażalny dramat” i postarali się, aby do ich kraju przybył sam papież, by potępić rzekome praktyki Kościoła. Rząd ustanowił nowe święto narodowe – Dzień Prawdy i Pojednania. W tym czasie w Kanadzie zdążyło jeszcze spłonąć i zostać zaatakowanych w inny sposób kilkadziesiąt kościołów, co lewicowi publicyści komentowali pełnymi hipokryzji hasłami typu: „Potępiamy przemoc, ale całkowicie rozumiemy ten gniew”.

A JAK BYŁO NAPRAWDĘ?

Podczas przeprowadzanych za pomocą radaru badań geologicznych w 2021 r. w Kamloops, na terenie jednej z byłych szkół rezydencjalnych, odkryto tzw. anomalie i odbicia. Sarah Beaulieu, zatrudniona do tego zadania antropolog z Uniwersytetu w Fraser Valley, stwierdziła wówczas autorytatywnie, że zdalne czujniki wykryły anomalie wskazujące na szczątki dzieci. Dodała przy tym, że starsi członkowie Tk'emlúps te Secwépemc – reprezentujący tzw. Pierwsze Narody Kanady – od lat opowiadali o masowych pochówkach dzieci rzekomo wykonanych przez chrześcijańskich

księży i zakonnice w licznych szkołach regionu.

Propagandowa machina ruszyła – nie było miejsca na świecie, do którego nie dotarłaby informacja o katolickich zbrodniach na dzieciach. Mało kto zwracał uwagę, że badania przeprowadzono georadarem, w związku z czym... nikt jeszcze nie widział na oczy żadnych szczątków żadnych dzieci. Mimo tego krążyły już konkretne liczby zamordowanych, które z początkowych przewidywanych 215 ofiar w Kamloops wzrosły do 600 tylko w tym miejscu, a w całej Kanadzie do... 40 tys.

Nikt nie wyobraża sobie, że w takiej sytuacji można by nie rozpocząć śledztwa. Jak donosił „New York Post”, prokurator uzyskał zgodę rdzennych mieszkańców na profesjonalne poszukiwanie szczątków ich krewnych – a więc na eks-humacje. Jednak już z końcem sierpnia sami rdzenni mieszkańcy przyznali, że... na terenie wykrytych za pomocą georadarów „anomalii i odbić” nie znaleziono żadnych szczątków ludzkich.

Żadnych. Słownie – ani jednego szczątki ani jednego dziecka czy dorosłego.

OKROPNI „NEGACJONIŚCI”

Skoro jednak użyty był tylko georadar (który nie jest w stanie wskazać, że to, co jest anomalią, jest szczątkami ludzkimi), skoro nie było wykopalisk, skoro do tej

pory nie ma żadnych dowodów, to może powinno się nieco powściągnąć narrację o zbrodniach Kościoła? – zaczęli w pewnym momencie pytać co bardziej dociekliwi publicyści, politycy, a nawet uczeni. Wszystkich ich, jak nietrudno zgadnąć, wrzucono do worka „negacjonistów szkół rezydencjalnych”. W Kanadzie to dziś taka sama, wypychająca poza nawias debaty kategoria, jak „antyszczepionkowcy”, „płaskoziemcy” czy „negacioniści Holokaustu”. Popularny polityk James C. McCrae, niegdyś prokurator generalny, musiał np. zrezygnować z zasiadania w rozmaitych publicznych forach po tym, jak opinia publiczna dokonała na nim linczu – odważył się bowiem przypomnieć, że nie ma dowodów na mordy, skoro nie ma ofiar.

Co bardziej wstrząśnięliwi wyznawcy historii o krwawych kapłanach i zakonnicach czekających tylko na to, by móc poznać się nad indiańskim dzieckiem i zakopać je w sadzie pod jabłonią, zmienili jednak nieco narrację. Teraz większy nacisk zdają się kłaść na to, że samo istnienie szkół rezydencjalnych, w których rzeczywiście edukowano dziesiątki tysięcy młodych potomków rdzennych mieszkańców tych ziem, było zbrodnią przeciwko Indianom. Zaczęto używać zwiewnej frazy o „ludobójstwie kulturowym” – bo nawet jeśli nikogo systemowo nie mordowano, to z całą pewnością „systemowo mordowano tubylczą kulturę”, oddzielając dzieci od rodzin i kształcąc je nie w dżungli, ale w szkole, lecząc nie dymem i ziołami, ale lekarstwami, i wychowując nie po pogańsku, ale po chrześcijańsku.

Informacje o tym, że system szkół rezydencjalnych z internetami stworzony został i był prowadzony przez samo państwo kanadyjskie, a nikt oprócz duchownych katolickich i protestanckich nie był w stanie kierować tego typu placówkami (gdyż w tamtych czasach panowały takie, a nie inne systemy edukacji i struktury wykształcenia), do nikogo nie trafiały. Przepraszają nie mieli państwo czy protestanci, ale koniecznie katolicy, a najlepiej papież. Dodatkowo Kościół miał oddać cały majątek Indianom i wypłacić odszkodowania za „krzywdy kolonializmu”. Nikt nie chciał też słuchać o tym, jaki rzeczywisty wpływ na zaniedbaną, zapuszczoną, pozbawioną osiągnięć medycyny, niewykształconą i żyjącą w biedzie (ale, a jakże, „w zgodzie z naturą”) populację

kanadyjskich Indian miały szkoły dające im przygotowanie cywilizacyjne, ogładę i podstawowe wykształcenie.

Gwoli ścisłości należy przyznać, że w latach poprzedzających wyjątkowo brzemiennego w skutkach fake newsa o masowych grobach w Kamloops rzeczywiście na terenach dawnych szkół rezydencjalnych znaleziono oznakowane, a także nieoznakowane cmentarze, na których spoczywały także ciała indiańskich dzieci. Wtedy do sprawy podchodzono jeszcze jednak bez tak wielkich emocji jak po roku 2021, więc do wielu ludzi docierało jeszcze, że zdecydowana większość grobów to mogiły osób zmarłych wskutek chorób, w tym chorób zakaźnych.

A dlaczego część tych cmentarzy nie była oznakowana krzyżami? O to należałoby już pytać raczej sprawujących dziś władzę na tych terenach oraz plemiona, w których ponoć „wciąż żyje pamięć o masowym odbieraniu im dzieci i przymusowym umieszczaniu w internatach”, co przecież zarządził nie Kościół, a kanadyjskie państwo. Jednak o to, gdzie podziały się krzyże z tych mogił, Indian dzisiaj nikt nie zapyta – z powodów, które nam wydają się oczywiste, ale pozostają skrywane pod eleganckim logo poprawności politycznej.

MEACULPISM STAREGO ŚWIATA

Najbardziej emblematyczna dla całej tej sprawy pozostaje jednak postawa Kościoła katolickiego, ostatniej instytucji Starego Świata, która rzeczywiście mogłaby przypomnieć, po co istniały szkoły rezydencjalne i do czego powołano pracujących w nich duchownych. Kościół mógłby przypomnieć o tym, w jakich warunkach żyły indiańskie dzieci, zanim państwo zdecydowało się wziąć je na wychowanie. Katolicy mogliby głośno powiedzieć, czego nauczyli setki tysięcy nieucywilizowanych ludzi. Pokazać świadectwa tych, którzy zdobywszy wykształcenie, mogli potem wychować swoje dzieci i wnuki zarówno w szacunku do kultury pochodzenia, jak i chociażby w umiejętności czytania i pisania oraz w dostępności do medycyny. Jednak Kościół instytucjonalny już dawno zrezygnował z takiej możliwości. Dziś katolicy hierarchowie i publicyści wolą bić się w piersi nawet za takie grzechy, których nikt nigdy nie popełnił.

„Myślę o tragedii, doznanej przez wielu z was, wasze rodziny, wasze wspólnoty; o tym, czym podzieliliście się ze mną na temat cierpienia, które znosiście w szkołach rezydencjalnych. [...] upamiętnianie jest słuszne, bo zapomnienie prowadzi do obojętności, a jak powiedziano, »przeciwieństwem miłości nie jest nienawiść, lecz jest nim obojętność... przeciwieństwem życia nie jest śmierć, lecz obojętność na życie lub śmierć«. Upamiętnianie drugoczących doświadczeń, które miały miejsce w szkołach rezydencjalnych, porusza, oburza, rodzi ból, ale jest konieczne” – mówił w Kanadzie w 2022 r. papież Franciszek. Zdjęcie Ojca Świętego wpatrzonego w taflę kanadyjskiego jeziora wraz z informacjami o przeprosinach obiegło świat. Myliłby się jednak ten, kto uznałby, że zostały one przez wszystkich przyjęte. »Przeprosiny są niepełne i niewystarczające, bo papież przeprosił, ale za udział chrześcijan w tym dziele zniszczenia, ale uniknął wskazywania czy pokazania roli Kościoła katolickiego jako instytucji w tym okrutnym dziele” – czytaliśmy nawet w polskich mediach.

Hierarchowie Kościoła od dziesiątków lat wołają więc głośno „moja wina”, w piersi biją się także wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób mogą być powiązani z dawną cywilizacją Zachodu, w szczególności biali, heteroseksualni politycy. W ten sposób, owszem, biorą udział w morderstwie – ale nie morderstwie indiańskich dzieci, tylko zabijaniu prawdy o przeszłości świata, o naszej przeszłości. Stają się współnikami wściekłych antyreligijnych morderców cywilizacji, zgromadzonych pod znakiem cancel culture. Co akurat w kontekście Indian nie może dziwić. W końcu dzisiejszy świat, tak jak dzisiejsza administracja Watykanu, zmierza w kierunku afirmacji antycywilizacyjnych rozwiązań – rdzenni mieszkańcy obu Ameryk są hołubieni za „życie w zgodzie z naturą”. A współczesny człowiek Zachodu tę naturę rzekomo niszczy samym swoim istnieniem.

O tym zaś, że niektóre plemiona zamieszkujące ziemię, o których mowa, jeszcze do niedawna składały ofiary z ludzi albo żywiły się ludzkim mięsem, nikt już nie wspomina. Bo tak czy owak, wszystko, co złe, bez względu na to, czy się zdarzyło czy nie, to mea culpa. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

Był to szczyt potęgi muzułmańskiego imperium osmańskiego, sułtan Sulejman Wspaniały ogłosił się „panem nad panami”, „rozdawcą koron monarchom świata”, „cieniem Boga na ziemi” i „władcą całej ziemi”. Zamierzał więc dosłownie podbić cały świat, co po części już mu się udało. Przy czym podbić oznaczało „nawrócić” na islam lub zniszczyć. Rozszerzanie podbojów postępowało dynamicznie, Afryka i Azja szybko się poddawały, przyszedł czas i na Europę, która jednak rozdarła przez reformację i liczne wewnętrzne spory nie miała sił i czasu, by stawić czoła muzułmanom. Przykładem takiej dramatycznej sytuacji była wyspa Rodos: muzułmanie zdobyli ją mimo tego, że joannici bronili się dzielnie, a wielki mistrz zakonu słał do władców Europy listy z prośbą o pomoc. „Tysiąc pięciuset ludzi mogło ocalić Rodos, ale żaden z chrześcijańskich władców nie ruszył palcem; wszyscy oni byli zbyt zajęci zabijaniem się nawzajem!” – pisał wtedy pewien francuski szlachcic.

Rzeczywiście, w Europie nie wszystkich obchodziło to, że muzułmanie są coraz bliżej, a niektórzy jej władcy wprost sprzyjali Turkom i robili z nimi interesy (skąd my to znamy?). Musiało jednak dojść do konfrontacji między potęgą islamu a światem chrześcijańskim. Oprócz tych, którzy dialogowali z Turkami, byli też tacy, którzy trzeźwo oceniali sytuację: widząc, co może nastąpić, na alarm biją Watykan, a także księstwa Wenecji, Genui, Malta czy Toskania: róbmy coś!

ZAGROŻENIE

Nie chodzi tylko o to, że po triumfalnym marszu sułtana na Rzym bazylika św. Piotra mogła zostać przerobiona na stajnię dla jego koni (o czym marzył jeden z wezyrów). W imperium osmańskim obowiązywała przecież „teologia świętej wojny”, w imię której należało po prostu zabijać tych, którzy nie chcieliby przyjąć islamu. Upadały pod tureckimi mieczami kolejne obszary, wyspy, regiony. Gdy Turcy już zagarnęli Cypr, a w Nikozji zamieniono katedrę na meczet, władcy Europy zgodzili się wreszcie na realizację idei papieża o utworzenie tzw. Ligi Świętej, w której skład weszły od razu m.in. Hiszpania i Wenecja, potem swoje okręty dodały także Królestwo Neapolu, Sycylii, potem Krety, Zakynthos czy Korfu. Niestety, nie



Starcie dwóch światów



ks. prof. dr hab. Adam Rybicki

We wprowadzeniach do liturgii na 7 października dowiadujemy się, że Święto Matki Bożej Różańcowej ustanowił papież na pamiątkę bitwy pod Lepanto. Zarówno osoba papieża, jak i nazwa miejscowości wskazują na Włochy, tymczasem Lepanto znajduje się w... Grecji i nazywa się Nafpaktos. Bitwa rozegrała się 7 października 1571 r., przy pięknej słonecznej pogodzie, jej najzacieklejsza część trwała „zaledwie” cztery godziny. Jak do niej doszło?

udało się do Ligi dołączyć Polski: nawet gdy Polska już wtedy nazywana była „przedmurzem chrześcijaństwa”, a nuncjusz apostolski nagabywał króla Zygmunta Augusta, ten tłumaczył się chorobą i niechęcią naszej szlachty do wszelkich wojen. Poza tym kilkanaście lat wcześniej zawarliśmy z Turcją traktat pokojowy, a Sulejman Wspaniały pisał do naszego króla takie słowa: „Bóg daj, aby wszystko dobro z obóch stron się działo, ażeby się wszelka miłość między nami mnożyła”.

Flota Ligi Świętej wreszcie powstała, wszystkie galery, galeony i inne statki (ponad 250) spotkały się latem 1571 r. w Messynie – była to najpotężniejsza flota, jaka kiedykolwiek wpłynęła na zachodnio-europejskie wody. Dowódcą został 24-letni, temperamentny Don Juan d’Austria. Inni dowódcy poszczególnych jednostek mieli

już duże doświadczenie w walkach z Turkami, doradzali oni dowódcy w sprawach strategii. Ruszyli więc wszyscy razem, aby znaleźć i rozbić turecką armadę. Zwiad doniósł, że zgromadziła się ona w zatoce Lepanto, więc z Messyny, przez Korfu, skierowali się w to miejsce. Turcy nie wierzyli ani w potęgę militarną Ligi, ani w ogóle w możliwość zjednoczenia się pokłóconych europejskich księstw i ich władców. Dalej łupili kraj za krajem, wyspę po wyspie. Jeszcze gdy Liga formowała się w Messynie i czekała na dowódcę, Turcy zajmowali tak dzisiaj lubiane przez polskich turystów wyspy Korčulę czy Hvar, aż – niszcząc po drodze, co się dało – dotarli do Zadaru.

BITWA

W zatoce Lepanto 7 października zwały się ze sobą najpotężniejsze



Fragment obrazu „Bitwa pod Lepanto”,
Andrea Vicentino, 1595–1605

FOT. DOMENA PUBLICZNA

rzeczywiście odrosła – po stu latach Turcy staną aż pod Wiedniem.

NASZE BITWY – JEJ ZWYCIĘSTWO

Jednak Lepanto miało jeszcze inne znaczenie. Dowódca, Don Juan d'Austria, miał w swojej kajucie pierwszą przywiezioną do Europy kopię obrazu Maryi z Guadalupe. Doświadczeni marynarze po bitwie zaświadczyli, że przyczyną zwycięstwa była nie przewaga militarna, lecz cud, ponieważ południowo-wschodni wiatr, który pchał galery tureckie i utrudniał wiosłowanie statkom chrześcijańskim, nagle zmienił kierunek i dał przewagę statkom Ligi. Było to właśnie po gorliwej modlitwie do Matki Bożej przed obrazem z Guadalupe. Modlili się dowódcy i marynarze. Sam Don Juan d'Austria widział w wizerunku z Guadalupe apokaliptyczną Niewiastę, która depcząc półksiężyc, jest jednocześnie mieczem i tarczą chrześcijan.

Gdy do Wenecji dotarła wieść o zwycięstwie, miasto oszalało: rozzwoniły się dzwony, kupcy wykładali miejskie place szkarłatnym aksamitem, wypuszczono dłużników z więzień, w nocy pojawiły się wspaniałe iluminacje i sztuczne ognie podziwiane przez roztańczonych tłum w maskach. Natomiast w Stambule wielki wezyr Mehmed „zaczął skubać się po brodzie, płakać i lamentować jak kobieta” – zresztą przerażenie ogarnęło cały Stambuł, bo obawiano się, że chrześcijańskie wojska teraz zaatakują stolicę.

Gdy papież Pius V dowiedział się o zwycięstwie, omal nie dostał zawału z radości, nie mógł spać kilka nocy, aż obawiano się o niego (był już starszy, zmarł pół roku później). Jako dominikanin, zakochany w Maryi i Różańcu, wiedział też, że zwycięstwo jest owocem jego wielkiej krucjaty różańcowej i mocy wstawiennictwa Maryi: wiedząc o zbliżającej się bitwie, wezwał on cały chrześcijański świat do Różańca w intencji odparcia nawały muzułmańskiej. Gdy na morzu trwała walka, rzymskimi ulicami ciągnęły się modlitewne pochody bractw różańcowych. Papież ten po 150 latach zostanie ogłoszony świętym. To właśnie jemu i jego następcom zawdzięczamy to, że mamy dziś obowiązujące w całym Kościele Święto Matki Bożej Różańcowej, a cały miesiąc październik stał się miesiącem poświęconym tej potężnej modlitwie.

Różaniec dzięki temu naprawdę „trafił pod strzechy” na całym świecie, stając się „modlitwą zwycięzców”, to znaczy tych wszystkich, którzy tu, na ziemi, toczą rozmaite walki i odnoszą rany, ale wierzą, że te wszystkie zmagania w Chrystusie są już wygrane. W 1917 r. w Fatimie, w obliczu nadchodzących wojen, Maryja zapewni, że ostatecznie Jej Niepokalane Serce zwycięży (zatriumfuje), ale trzeba odmawiać Różaniec.

Tak więc spojrzmy na Lepanto tak jak św. Jan Ewangelista, który opisywał pewne wydarzenia w taki sposób, aby pod ziemskimi rzeczywistościami wskazać ich drugie, duchowe, niewidzialne oblicze: u Jana opis rozmnożenia chleba jest zapowiedzią Eucharystii, uzdrowienie niewidomego poprzedza ukazanie się Jezusa jako światłości świata, wesele w Kanie jest obrazem Godów Baranka itd. Może więc bitwa pod Lepanto, trochę zapomniana, ale jednak rzeczywista i prawdziwa, niech nam przypomni i da nadzieję, że w ferworze naszych codziennych walk, zmagani, upadków i zranień z różańcem w rękę jesteśmy już zwycięzcami. Może to nie Don Juan d'Austria wykorzystał obraz z Guadalupe, aby zwyciężyć bitwę, lecz Bóg wykorzystał bitwę, aby ukazać swoje triumfujące oblicze – a przez to umocnić ludzi zmagających się z rozmaitymi trudnościami. Miasto Lepanto nie mówi nam tylko o bitwie i zwycięstwie pod Lepanto: tamta bitwa już się skończyła. Jednak to wydarzenie sprzed wieków mówi nam o walkach, które dalej trwają. I o zwycięstwach, które mocą Bożą wciąż się dokonują.

Warto jeszcze wspomnieć ciekawostkę: na bitwę zaciągnął się Miguel de Cervantes, autor sławnej powieści o Don Kichocie. Chociaż miał tego dnia gorączkę, to rzucił się do walki, dostał kulę w pierś i w rękę, w której do końca nie odzyskał czucia. Napisał jednak potem we wstępie do „Nowel przykładowych”, że chociaż rana ta „wygląda na szpetną, to jednak on uważa ją za piękną, ponieważ otrzymał ją w najbardziej pamiętnej i podniosłej sytuacji, jaką oglądały minionie wieki, a wieki przyszłe nie mogą mieć nadziei, że ujrzą podobne wydarzenie”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z książki Marcina Pielesza pt. „Lepanto 1571. Różańcowe zwycięstwo”, Wydawnictwo eSPe, Kraków 2017. Również wszystkie cytaty pochodzą z tej pozycji.

morskie armie. Setki galer stworzyły kłębowisko w huku armat, szczeru mieczów i zbroi, gruchocie taranowanych kadłubów, przy grzechocie rusznic i krzykach pełnych wściekłości, przekleństw i modłów o ratunek. Przy zbliżeniu statków następował natychmiastowy abordaż, czyli wejście na pokład wroga i walka wręcz. Gdy jednemu z żołnierzy Ligi granat rozrywa dłoń, każe ją sobie odrąbać, nasadza na kikut wypatroszonego kurczaka i wraca do walki z okrzykiem: „Niech prawa ręka pomści lewą!”. Co chwilę rozbłyskują płomienie, które natychmiast ogarniają przesyczone smołą liny i drewno. Morze, czerwone od krwi, szybko pokrywa się ciałami, płaszcami, turbanami, tarczami, wiosłami, skrzyniami i innymi łupami wojennymi. Walka pełna jest szybkich zwrotów akcji, zwycięstwo zdaje się przechylać to na jedną, to na drugą stronę. Ostatecznie flota turecka pada. Świadkowie podają, że ostatni walczący rzucają w chrześcijańskich żołnierzy cytrynami.

Może politycznie ani strategicznie walka nie miała jakiegoś decydującego znaczenia – flota imperium osmańskiego nie została doszczętnie rozbita – wprost przeciwnie, szybko została odbudowana. Wezyr Mehmed powie: „Gdy zabraliśmy wam Cypr, to tak, jakbyśmy odcięli wam ramię. Gdy wy pobiliście nas pod Lepanto, to tak, jakbyście spalili nam brodę. Ucięte ramię nie odrośnie, a osmalona broda odrośnie jeszcze bujniejsza”. Broda



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Dekonspiracja powstania

Najważniejszym atutem wybuchu powstania w Warszawie powinno być całkowite zaskoczenie Niemców. Dlatego jego decydenci wcześniej zakładali, że mobilizacja może być zarządzana tylko raz i już nie będzie można jej odwołać ze względu na chaos i dekonspirację, co byłoby fatalnym skutkiem zmiany terminu. Ponadto powstanie miało wybuchnąć w nocy, gdy nie będzie ludności cywilnej na ulicach, aby nie powodować niepotrzebnych, dodatkowych strat. W dodatku przewidywaną godziną miała być pora nocnych zmian wart, gdy czujność Niemców byłaby wyraźnie osłabiona.

Stało się jednak inaczej. Zarządzona i przeprowadzona mobilizacja 28 lipca 1944 r. nie została wykonana. W ten sposób dokonała się dekonspiracja przygotowań i części sił przeznaczonych do wybuchu. Jednak niemiecki wywiad (dysponujący również agenturą w szeregach polskich) i tak wiedział o przygotowaniach znacznie wcześniej. Mówią o tym konkretne meldunki wywiadu KG AK – Niemcy już tydzień wcześniej, czyli od nocy z 24 na 25 lipca czynili odpowiednie przygotowania, m.in. uzbrajając cywilnych obywateli Rzeszy i nakazując im nocne zejścia nie do piwnic, ale do wcześniej przygotowanych schronów oraz obserwację ulic z bram zamieszkałych przez nich kamienic.

Jako Godzinę „W” wyznaczono godz. 17, gdy panował największy ruch uliczny, związany z powrotami z pracy, zakupami itd. Miało to ułatwić powstańcom, wmieszanym w tłum, przemieszczanie się po ulicach z bronią. Ale ludność cywilna, całkowicie zaskoczona, na ogół oddalona od miejsca zamieszkania, była pierwszą ofiarą podjętych wówczas działań.

Od 28 lipca Niemcy postawieni byli w stan gotowości. Pilnowali przede wszystkim mostów (jako arterii komunikacyjnych) oraz obiektów użyteczności publicznej, wzmacniając ich załogi, co spowodowało, że w momencie wybuchu powstańcy nie byli w stanie ich opanować. Następnej nocy, z 28 na 29 lipca, Niemcy byli już przekonani, że powstanie się rozpocznie i byli do niego przygotowani, na miarę swoich możliwości.

O powstanie, jego przygotowanie i przeprowadzenie toczyły będziemy ciągłe spory. Będziemy szukać winnych i analizować, dlaczego tyle było nieudolności, chaosu (a może i czegoś więcej) i dlaczego znaczne zapasy broni, zbieranej przez kilka okupacyjnych lat, nie zostały wykorzystane. I dlaczego, mimo że decyzje zapadły, do ostatniej prawie chwili broń była wysyłana poza Warszawę, skoro była tak bardzo potrzebna na miejscu.

Ale wszelkie tego typu spory muszą być prowadzone w poszanowaniu poświęcenia ochotników do walki z Niemcami. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kapitulacja

Ostatnie dni września były właściwie czekaniem na kapitulację (2 października 1944 r.). Trwały wprawdzie cały czas zacięte walki, ale wszyscy wiedzieli, że powstanie już długo nie potrwa.

„Przez trzy dni trwało zawieszenie broni – wspominała Barbara Bobrowska stacjonująca w ruinach Poczty Głównej. – Przyszli wtedy do nas żołnierze niemieccy, to byli właściwie chłopcy. Byli bardzo mili, świetnie nam się rozmawiało. Jak my żeśmy się doskonale rozumieli! [...] Jeden z nich opowiadał o sanitariuszce, czy też łączniczce, którą widział w czasie walk, biegła, z opaską na ramieniu, a on nie mógł, nie chciał do niej strzelić. Widziałam tę jego bezradną twarz i do dziś tego człowieka pamiętam. Pierwszy raz widziałam, że Niemiec to może być człowiek”.

Następnego dnia w odległości 150 metrów od polskich stanowisk spacerowali hitlerowscy żołnierze bez broni! Powstańcy dostali bowiem rozkaz niereagowania na ruchy przeciwnika.

„Nagle ledwo od naszych stanowisk ujrzałem rzecz nie do wiary – relacjonował porucznik Zbigniew Blichewicz (»Szczerbak«). – Tuż przy ulicy Świętokrzyskiej Szkoły również defilowały przed stanowiskami powstańców i oto jakiś Szwab, wykrzykując coś, zbliżał się do linii polskich, ciągle drąc się radośnie. Na to wyskoczył akowiec

i za chwilę dwaj śmiertelni wrogowie podali sobie ręce, wrzeszcząc teraz już razem wniebogłosy”.

Inna sprawa, że relacje pomiędzy Niemcami i powstańcami po kapitulacji mogły faktycznie zaskakiwać. Były one co najmniej poprawne, tak jakby nie było dwóch miesięcy krwawych walk i ponad stu tysięcy ofiar.

„Nasze patrole chodziły normalnie z bronią – opowiadał Zbigniew Dębski z batalionu »Kiliński« – również po terenie zajęty przez Niemców [...]. Nie spotykaliśmy się z oznakami wrogości. Niemcy byli raczej pełni uznania, że tyle czasu stawialiśmy im opór. Zachowywali się wobec nas zupełnie przyzwoicie.

Niektórzy koniecznie chcieli dokonać transakcji polegającej na wymianie lub kupnie naszej broni. Jeden z Niemców zaproponował mi złotego schaffhausena (markowy zegarek) za moją Błyskawicę, inny chciał się zamienić z kolegą, oferując nowiutkiego schmeisera za jego Stena. W obu przypadkach nie skorzystaliśmy z okazji.

Charakterystyczne było, że nie spotkaliśmy ani SS-manów, ani żołnierzy z RONA. Tych pierwszych, pochodzących z elitarniej jednostki SS Hermann Goering, wycofano prawdopodobnie na front, gdzie byli w tym momencie bardziej potrzebni”.

To wiele tłumaczyło, zapewne w innym przypadku nie byłoby tak spokojnie. ©©



ZA DUŻA NA MUZEUM GŁODU?

Na Ukrainie awantura i proces. Bloger Klim Bratkowski skrytykował wygląd szefowej Muzeum Wielkiego Głodu. „Widziałeś, jak wygląda pełniąca obowiązki dyrektora generalnego Muzeum Hołodomoru Lesia Gasidzhak? To jest jakaś kpina z pamięci o Hołodomorze” – napisał Bratkowski na portalu społecznościowym. Dyrektor złożyła pozew do sądu. Domaga się pół miliona hrywien (ok. 60 tys. zł) za naruszenie jej godności i reputacji biznesowej. Według Gasidzhak pozew to także wsparcie dla innych kobiet, które padają ofiarą hejtu w sieci.

FOT. M. KOPCOWA

10 TYS. KARY, GDY PIES CZEKA PRZED SKLEPEM

Hiszpanie są dumni ze swojej nowej ustawy mającej zapewnić zwierzętom „dobrostan”. Od teraz pod groźbą wysokiej kary nie można zostawić psa samego w domu na dłużej niż dobę, a innych zwierząt na dłużej niż trzy dni. Niestety, przepisy poszły dość daleko. Przywiązanie psa przed sklepem, żeby poczekał na właściciela robiącego zakupy – kara do 10 tys. euro. Pozostawienie psa w samochodzie, nawet na chwilę i gdy temperatura mu nie zagraża, także będzie karane. Zaginięcie zwierzęcia trzeba zgłosić lokalnym władzom do 48 godzin.

ŻĄDA WIĘKSZYCH MIEJSC DLA OTYŁYCH

Jae'lynn Chaney z amerykańskiego Vancouver to podróżniczka i blogerka, która o sobie pisze „plus size”. Właśnie złożyła petycję, by Federalna Administracja Lotnictwa w USA „chroniła klientów o dużych rozmiarach”. Chaney skarży się, że

pasażerowie odmawiają siadania w samolocie obok osób otyłych. Jej zdaniem tacy pasażerowie powinni mieć zapewnione dodatkowo dwa lub trzy wolne miejsca, by mogli komfortowo siedzieć.

CHINY ZABIERAJĄ MISIE

Między USA a Chinami stosunki nie są najlepsze. Chińczycy aktualnie wypożyczają różnym ogrodom na świecie 65 niedźwiedzi panda. Amerykanom dzierżawy nie przedłużyli. Narodowe zoo w Waszyngtonie musi zwrócić trzy pandy do końca listopada.

WIELKIE WŁOSKIE WESELE ZA DARMO?

Czterdziestolatek i 25-latką zaplanowali swoje wesele w lokalu we włoskim regionie Lacjum. Wybrali menu za 8 tys. euro. Po imprezie z udziałem 70 osób zniknęli i nie uregulowali rachunku. Karabinierzy ustalili, że przekroczyli granicę z Niemcami, prawdopodobnie są już w Polsce. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Cywilizacja duchów

Nagoro. Tak nazywa się niewielka japońska miejscowość, która niegdyś tętniła życiem, a dziś znana jest raczej jako Wioska Lalek lub Dolina Lalek. Po upadku lokalnej fabryki część młodszych mieszkańców uciekła w poszukiwaniu zatrudnienia. Starsi stopniowo zaś wymierali.

Zapewne nikt by już o tym miejscu nie pamiętał, gdyby nie Ayano Tsukimi, która po powrocie z Osaki w rodzinne strony nie mogła pogodzić się z wyludnionym miastem starców. Stworzyła więc ok. 400 lalek, których zadaniem jest nie odstraszać wróbli, lecz

walka z samotnością i zapewnienie wyludnionych przystanków autobusowych, szkół etc.

Podobnie jest na placu zabaw w Ichinono. Dwoje dzieci na hulajnogach, dziewczynka na drewnianej huśtawce i dziecko na rowerku. Żadne z dzieci nie jest prawdziwe. Jak opisuje „Financial Times”, mieszkańcy Ichinono stworzyli 60 lalek, aby wypełnić lukę po zmarłych. Szmaciani mieszkańcy już dominują, bo w wiosce zostało 53 żywych. W Ichinono stał się jednak cud: na świat przyszło pierwsze od dwóch dekad niemowlę, szybko zyskując status supergwiazdy.

Mieszkańcy Zachodu, których wizja lalek zastępujących żyjących Japończyków często przeraża, idą tą samą drogą. Choć kryzys demograficzny szybko się pogłębia, to lewicowe media wciąż kreują rzeczywistość, w której małżeństwo czy rodzicielstwo wyglądają bardzo mało atrakcyjnie. Niedawny sondaż Pew Research Center pokazał, że dla młodych Amerykanów najważniejsza jest kariera (71 proc.). Na posiadanie dzieci jako bardzo ważny element życia wskazało 26 proc. pytanym, na małżeństwo 23 proc. Czas kupować szmatki...



Robert Fico i członkowie partii Smer, która wygrała wybory na Słowacji

FOT. ZUZANA GOGOVA/GETTY IMAGES

Jakie faktycznie jest jednak znaczenie wyborów z 30 września dla Słowacji, ale przede wszystkim dla Polski i – szerzej – Unii Europejskiej?

Zacznijmy od garści podstawowych faktów. Przedterminowe wybory wygrała socjaldemokratyczna partia Smer, która zapewniła sobie 42 miejsca w 150-osobowej Radzie Narodowej, czyli parlamencie Słowacji. Drugie miejsce przypadło liberalno-lewicowemu ugrupowaniu Progresívni Slovensko (32 mandaty), a po trzecie miejsce sięgnęła jeszcze jedna partia socjaldemokratyczna Hlas (27), założona i kierowana przez Petera Pellegriniego, wieloletniego bliskiego współpracownika Ficy. Zajęcie podium tylko przez partie lewicy trudno interpretować inaczej, jak swoistą czerwoną wyborczą kartkę dla szerokiej koalicji prawicowo-centrowych partii, która rządziła w ostatnich latach na Słowacji. Koalicji coraz bardziej ze sobą skłóconej w miarę upływu czasu, coraz słabiej radzącej sobie z problemami ekonomicz-

Słowacja już wybrała



Maciej Szymanowski

To jest katastrofa! To jest super! – tak najkrócej dałoby się przedstawić najczęstsze reakcje towarzyszące wynikom wyborów parlamentarnych na Słowacji, które rozstrzygnęła na swoją korzyść socjaldemokratyczna partia Smer Roberta Ficy, który tym samym ma wszelkie szanse stać się po raz czwarty premierem

mi państwa czasów pandemii, a następnie z wysoką inflacją. Nawiasem mówiąc, wyższą niż w Polsce pomimo przynależności kraju do strefy euro, co z uporem maniaka godnym lepszej sprawy jest od wielu miesięcy wmawiane Polakom.

CIEŃ SPRAWY KUCIAKA I PROROSYJSKIE INKLINACJE

Może wspomniane problemy gospodarcze czy toczone pod Tatrami z prawdziwie góralskim temperamentem polityczne spory, w tym z prezydent Zuzaną Čaputová, nie musiały skończyć się takim pogromem dla prawicy, gdyby jednak jeszcze nie inne fakty. Do dzisiaj nie udało się np. pociągnąć nikogo do odpowiedzialności za głośne morderstwo dokonane na młodym dziennikarzu śledczym Jánie Kuciaku i jego narzeczonej Martinie w lutym 2018 r., co w atmosferze wybuchłego skandalu nie kto inny, jak ówczesny premier Fico, przypłacił dymisją. Co gorsza, zmiany na stanowiskach kolejnych śledczych, a nawet uruchomienie specjalnych nowych instytucji do walki z korupcją polityczną skończyły się kompromitującymi wynikami. Prędzej czy później uchylanymi przez sądy aresztowaniami, a nawet kolejną szokującą śmiercią – tym razem komendanta głównego policji, który odszedł z tego świata w niejasnych okolicznościach przypominających scenariusz hollywoodzkich kryminałów. Aresztowany gen. Milan Lučanský był najpierw widziany w więzieniu ze śladami pobicia, co tłumaczono oficjalnie jego nieszczęśliwym potknięciem się na schodach, następnie miał próbować powiesić się we własnej celi, aby ostatecznie nagle umrzeć w jednym ze szpitali w Preszowie.

Ponadto, wbrew temu, co często twierdzi się w Polsce, to wcale nie węgierskie, ale słowackie – obok austriackiego i bułgarskiego – społeczeństwo wykazuje najsilniejsze prorosyjskie inklinacje w regionie. Do tego dosyć nieudolnie wyjaśniana, a udzielana na dużą skalę pomoc humanitarna oraz wojskowa Ukrainie przez rząd w Bratysławie bardzo pomogły partii Smer i samemu Fice w budowaniu pozycji na hasłach odwołujących się do potrzeby koncentrowania swoich wysiłków na rozmowach pokojowych oraz lepszym traktowaniu

bytowych potrzeb samych Słowaków. Ogólnie spadająca w społeczeństwie akceptacja dla działań rządzącej koalicji wywindowała z kolei popularność wspomnianych już partii lewicowych oraz dwóch mniejszych, tym razem prawicowego charakteru, to jest chadeckiej KDH i ugrupowania narodowców spod znaku SNS, które ostatnie lata spędziły poza parlamentem w ogóle.

Nie wchodząc w dalsze szczegóły, jak wynika z politycznych uwarunkowań i prostej arytmetyki, przyszła rządowa większość będzie musiała być oparta o minimum dwie z lewicowych partii, które zajęły miejsca na podium. Kiedy ta ukonstytuuje się, więcej będzie można powiedzieć o kierunkach działania przyszłego słowackiego rządu. W każdym razie już pierwszego roboczego dnia po ogłoszeniu wyborczych wyników Robert Fico został desygnowany przez panią prezydent do rozpoczęcia rozmów o składzie przyszłego rządu.

Już sama możliwość pojawienia się na Słowacji stabilnego gabinetu po blisko dwóch latach w zasadzie permanentnych kryzysów rządowych jest pozytywnym. Zwłaszcza w dość rozchybotanym politycznie, a także gospodarczo życiu większości środkowoeuropejskich państw.

JAKIE POGLĄDY MA FICO?

O osobie wielokrotnego premiera Słowacji można oczywiście napisać wszystko i wielu tak ochoczo czyni, patrząc chociażby na tytuły artykułów, które ukazały się w ostatnich dniach w polskiej prasie, poza tym, że bez wątpienia jest postacią dysponującą wielkim politycznym doświadczeniem, wolną od jakiegokolwiek ideologicznego zacietrzewienia, twardo stąpającą po ziemi. To ostatnie dobrze widać chociażby na przykładzie jego wielokrotnie wyrażanego sprzeciwu wobec świadczenia dalszej pomocy wojskowej Ukrainie. Jednocześnie nie sposób znaleźć nigdzie zapowiedzi, że jako premier zakaze słowackim zakładom zbrojeniowych sprzedawać Kijowowi broni.

Jak się wydaje, wiele słów krytyki kierowanych pod adresem Ficy jest związanych z czymś innym. Jak to w jasny sposób ujął on w niedawno udzielonym wywiadzie dla dziennika „Postoj”, nie wykluczałby konieczności opuszczenia UE przez Słowację, o ile zostanie znie-

sione prawo weta: „Nie mamy w takim razie co dalej robić w UE”. Fico przeciwny jest też wprowadzeniu mechanizmu przymusowej relokacji w UE, za to jest zwolennikiem stosowania siły na granicach w przypadku pojawienia się na nich nielegalnych migrantów.

Z polskiego punktu widzenia nie bez znaczenia jest też to, że Fico dał się już wcześniej poznać i dalej deklaruje swoje wielkie przywiązanie do podtrzymywania, a nawet intensyfikacji współpracy państw w Europie Środkowej. Jako premier nie tylko znormalizował, lecz także podniósł stosunki z Węgrami do dobrosąsiedzkiego poziomu nieodnotowywanego chyba od samych początków XX w. Jest też wielkim zwolennikiem współpracy wyszehradzkiej, zawsze mocno podkreśla jej wymiar polityczny – jako miejsce konsultacji i dyskusji o własnych problemach czy planach, a także uzgadniania wspólnych stanowisk w sprawach dotyczących NATO czy UE.

Także w ostatniej kampanii wyborczej wielokrotnie podkreślał, że okresy słabszej współpracy wyszehradzkiej jak ten, z którym mamy do czynienia dzisiaj, zawsze oznaczały osłabienie siły i możliwości realizacji nie tylko interesów regionu, lecz także każdego państwa V4 bez wyjątku. Mając też na myśli wymiar bezpieczeństwa państw i obywateli, w tym w kontekście tzw. presji migracyjnej.

Czy się to komuś podoba czy nie, państwa wyszehradzkie mają wiele wspólnych interesów, ponieważ są bardzo podobne do siebie pod wieloma względami kulturowymi, społecznymi, a nawet ekonomicznymi. Podobny poziom PKB/per capita; struktura produkcji; trendy inflacyjne. Przez zagranicznych inwestorów też w zasadzie są traktowane jak jeden rynek. Poza wszystkim innym Grupa Wyszehradzka jest sama w sobie demonstracją politycznej dojrzałości tworzących ją narodów. Pokazaliśmy, że ponownie potrafimy sami organizować się w tej części Europy.

Dlatego warto będzie śledzić wydarzenia rozgrywane się w najbliższych tygodniach czy miesiącach – wybory prezydenckie – na Słowacji nie tylko z tego powodu, że łączy nas z tym krajem dłuższa wspólna granica niż np. z Niemcami czy Ukrainą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Author jest dyrektorem Instytutu Felczaka w Warszawie.



Maciej Pieczyński

Braki kadrowe sprawiają, że coraz więcej Ukraińców objętych jest obowiązkiem służby wojskowej. Mobilizacji podlegają teraz kobiety pracujące w służbie zdrowia, osoby z zaburzeniami psychicznymi, chorzy na wirusowe zapalenie wątroby, a nawet nosiciele wirusa HIV

Od września w kamasze mogą pójść nie tylko ludzie w pełni zdrowi. Obecnie mobilizacja obejmuje również tych, którzy przechorowali gruźlicę albo wciąż chorują na wirusowe zapalenie wątroby. Powołania do wojska mogą nie uniknąć także osoby z zaburzeniami psychicznymi, a nawet nosiciele wirusa HIV. Poborowi chętnie korzystali z odroczenia służby z uwagi na stan zdrowia. Odpowiednie zaświadczenie od lekarza było łatwym sposobem uniknięcia wyjazdu na front. Prawdziwą plagą były fikcyjne zwolnienia. Nagle okazało się, że bardzo wielu Ukraińców płci męskiej między 18. a 60. rokiem życia ma „prawdopodobnie jedną nerkę”. Taka, dość enigmatyczna zresztą, diagnoza wystarczyła, aby nie pójść do wojska.

Sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ołeksij Daniłow zapowiedział publikację listy nazwisk lekarzy, którzy wystawiali takie fałszywe zaświadczenia. Oczywiście wystawiali nie za darmo. To zaś kolejny dowód na to, że korupcja na Ukrainie wciąż jest bardzo poważnym, godzącym także w bezpieczeństwo państwa i obywateli problemem. Kijów postanowił te łagodne przepisy zaostriżyć, tym razem jednak przesadził w drugą stronę. Istnieje poważne ryzyko, że ubocznym skutkiem walki z korupcją w wojskowych komisjach lekarskich, a więc z także z uchyłaniem się zdrowych poborowych od służby, będzie wysyłanie na front realnie chorych ludzi. Na łamach tygodnika „Dzerkało Tyżnia” przed tym zagrożeniem ostrzegał prawnik Wołodymyr



Mobilizacja

Romanczuk. W przypadku większości chorób, które jeszcze do niedawna wykluczały powołanie do wojska, objawy na pierwszy rzut oka nie są widoczne, co z drugiej strony ułatwia ich symulowanie. Zdaniem Romanczuka trzeba uściślić przepisy dotyczące spisu chorób i przeciwwskazań do służby w wojsku.

CHORY? A NA CO?

Ołeksandr Maruszczak z portalu telewizji TSN zapytał o te kontrowersyjne zmiany samych lekarzy, również tych, którzy na co dzień podejmują decyzję o tym, czy dana osoba z medycznego punktu widzenia nadaje się do wojska. Przypominają oni, że poborowy może być zdolny, niezdolny lub częściowo zdolny do służby, może też być odesłany na leczenie. W zależności od tego, z jak poważną chorobą się zmaga. Do tego dochodzą niuanse. W stosownym dokumencie lekarz uściśla, w których forma-

cjach poborowy może służyć, a w których nie. „Osoba z lekkimi zaburzeniami psychicznymi może służyć na tyłach, zajmując się np. robotą papierkową. Albo w strefie przyfrontowej remontować sprzęt wojskowy” – argumentuje w rozmowie z TSN przewodniczący Wojskowej Komisji Lekarskiej w dzielnicy desniańskiej w Kijowie Jurij Mendżeres.

Z kolei Tetiana Szewczenko, prawniczka Centrum Konsultacyjno-Diagnostycznego w tej samej stołecznej dzielnicy, tłumaczy, dlaczego „niegroźne” dla sił zbrojnych są inne choroby: „Jeśli gruźlica została wyleczona, to taki człowiek nie zagraża otoczeniu. Może też służyć bez ryzyka dla własnego zdrowia. Co do wirusowego zapalenia wątroby, to są przecież różne jego typy. Wszystko zależy od przebiegu choroby. Każdy przypadek rozpatrywany jest osobno”.

Co zrozumiałe, najwięcej kontrowersji budzi mobilizacja nosicieli wirusa HIV.

Reklama zachęcająca do służby. Coraz więcej Ukraińców się od niej uchyla

FOT. NINA LIASHONOK/UKRINFORM/EAST NEWS



czy branka?

Podczas działań bojowych taki człowiek może zostać ranny. Istnieje więc ryzyko, że może zarazić innych żołnierzy, szczególnie podczas transportu do szpitala lub transfuzji krwi. „W ramach badań przed komisją poborową musi wykonać test na HIV. Jeśli wynik będzie pozytywny, to komisja odnotowuje ten fakt w dokumentacji” – zaznacza Mendżeres. W sytuacji, gdy nosiciel HIV zostanie zmobilizowany, trafi na front i zostanie ranny, za bezpieczeństwo jego towarzyszy broni odpowiada jednostka, w której służy. A dokładniej – służby medyczne tej jednostki. Lekarze na froncie będą więc musieli nie tylko leczyć rannych, lecz także zapobiegać zakażeniom.

Kijów jest zmuszony sukcesywnie zwiększać liczbę osób podlegających mobilizacji. Od 1 października pobór w pewnym sensie obejmie również kobiety. Na froncie już teraz walczą tysiące Ukrainek. Tyle że na ochotnika. Teraz powołania do

wojska mogą się spodziewać absolwentki studiów medycznych czy farmaceutycznych oraz lekarki konkretnych specjalizacji w wieku od 18 do 60 lat. Nie oznacza to jednak, że od razu mają trafić na front walk z Rosją. Na razie mają obowiązek stawić się w wojskowych komendach uzupełnień, aby następnie przejść przeszkolenie wojskowe. Formalnie nie są więc objęte mobilizacją, a jedynie rejestracją. Ten fakt mocno akcentowała była już minister obrony Hanna Malar, zdając sobie sprawę z tego, jak hasło „mobilizacja kobiet” może zadziałać na opinię publiczną. Co istotne, lekarki objęte mobilizacją zachowują prawo do wyjazdu za granicę. Tego komfortu nie mają poborowi mężczyźni. Oprócz nich ograniczone prawo do przekraczania granicy mają również urzędnicy państwowi czy parlamentarzyści, w tym także kobiety.

Sam fakt częściowego objęcia Ukrainek obowiązkiem służby wojskowej

pokazuje, z jakimi problemami mierzy się obecnie Kijów. Publicysta Mychajło Dubynianski uważa wręcz, że to symboliczna zapowiedź dylematów cywilizacyjnych, przed którymi już teraz staje jego kraj. Swoje przemyślenia zawarł w opublikowanym na blogu Ukraińskiej Prawdy felietonie pod wiele mówiącym tytułem „Wojna i gender”. Jak zauważa Dubynianski, po 24 lutego 2022 r. ukraińskie społeczeństwo w pewnym sensie podzieliło się na dwie części. Kobiety pozostały w paradygmacie liberalnym, zgodnie z którym wolność jednostki jest ważniejsza niż obowiązek wobec państwa i narodu. Mogły swobodnie wybierać, czy pozostać w kraju ogarniętym wojną czy też wyjechać na Zachód w poszukiwaniu lepszego życia. Tymczasem mężczyźni zostali przez okoliczności zmuszeni do funkcjonowania w paradygmacie konserwatywnym, który wspólnotę stawia ponad jednostką.

Dubynianski pisze z pozycji lewicowo-liberalnych, dlatego nie ukrywa, że bliżej mu do tego pierwszego zestawu wartości. „Konserwatywny zwrot” uważa za przykry obowiązek, regres, archaizm, konieczny dla uratowania kraju przed zagładą. Pośrednio krytykuje Polskę za ochronę życia poczętego. Jednocześnie przypomina, że jeszcze w połowie XX w. zakaz aborcji był normalną praktyką również w krajach demokratycznego Zachodu. Wówczas od „prawa wyboru” ważniejsza była odbudowa demografii, zniszczonej przez dwie wojny światowe.

Gdy umilkną działa, Ukraina też będzie musiała uzupełnić straty w ludziach. W jaki sposób? Możliwości są dwie. Konserwatywna lub liberalna. Pierwsza oznacza pójście drogą Polski. Czyli zakaz aborcji, a w konsekwencji – wejście w konflikt z Unią Europejską. Druga oznacza pójście drogą „światłego” Zachodu. Czyli odtworzenie demografii poprzez przyjęcie migrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki. Dubynianski preferuje tę drugą opcję. Nie wyjaśnia jednak, dlaczego owi migranci w ogóle mieliby być zainteresowani przyjazdem na zrujnowaną wojną Ukrainę.

Lewicowy publicysta przy okazji dotyka bardzo ważnego zagadnienia, związanego z odpowiedzią na pytanie: Kto powinien być objęty obowiązkiem wobec ojczyzny? Dubynianski przyznaje,

■ że kiedyś obowiązek ten dotyczył obu płci. Mężczyźni musieli walczyć na wojnie, kobiety zaś musiały rodzić dzieci. Dubynianski poważnie obawia się, że Ukraina po wojnie jednak wróci do tego paradygmatu i pójdzie drogą Polski.

MILE WIDZIANI

Rejestracja wojskowa kobiet nie jest jedyną zmianą w przepisach mobilizacyjnych, która weszła w życie z początkiem października. Władze w Kijowie zwiększają kontrolę nad poborowymi. Każdy objęty obowiązkiem służby wojskowej obywatel Ukrainy musi teraz informować odpowiednią komendę uzupełnień o ewentualnej zmianie miejsca zamieszkania. Ma na to siedem dni od momentu przeprowadzki. Wezwanie do wojska mogą otrzymywać mężczyźni w wieku od 18 do 60 lat, którzy są z jednej strony pod względem zdrowotnym zdolni do służby, z drugiej zaś nie należą do żadnej z grup, które z tej służby są zwolnione.

Jesiennej mobilizacji podlegają trzy konkretne grupy poborowych. Po pierwsze, mężczyźni w wieku od 18 do 60 lat, zdolni lub w ograniczonym stopniu zdolni do służby wojskowej ze względu na stan zdrowia podczas stanu wojennego, o ile mają doświadczenie bojowe. Po drugie, mężczyźni od 27. do 60. roku życia, zdolni lub w ograniczonym stopniu zdolni do służby wojskowej ze względu na stan zdrowia podczas stanu wojennego, o ile nie mają doświadczenia bojowego. Po trzecie, mężczyźni w wieku od 18 do 60 lat, którzy dotąd nie figurowali w rejestrze jako zdolni do służby, ale wojskowa komisja lekarska zdecydowała, że jednak mogą zostać zaciągnięci do armii w warunkach wojny.

Już we wrześniu na Ukrainie rozszerzona została lista kategorii osób, które mogą podlegać mobilizacji. Uproszczone zostały także wymagania dotyczące zdrowia fizycznego tych, którzy mieliby służyć w wojskach desantowo-szturmowych i piechocie morskiej. Graniczny wiek dla mobilizacji pozostał niezmienny. Służba wojskowa nie dotyczy mężczyzn powyżej 60. roku życia. Na ochotnika do wojska mogą za to pójść trzy grupy osób. Po pierwsze, kobiety do 60. roku życia, zdolne do służby pod względem stanu zdrowia. Po drugie, poborowi w wieku od 18 do 27 lat, którzy wcześniej nie od-

bywali terminowej służby wojskowej. Po trzecie, z własnej woli do armii mogą się zaciągnąć nawet niepełnosprawni oraz ci, którzy z powodów rodzinnych otrzymali odroczenie służby. Mają oni jednak prawo służyć w miejscu zamieszkania.

Ukraińscy politycy prześcigają się w kolejnych pomysłach na poszerzenie mobilizacji. Na początku września w Radzie Najwyższej zarejestrowano projekt ustawy, która przewiduje odebranie prawa do odroczenia służby dla studentów powyżej 30. roku życia. Propozycja ta wynika z tego, że po 24 lutego 2022 r. nad Dnieprem kilkakrotnie wzrosła liczba młodych ludzi zainteresowanych zdobywaniem wyższego wykształcenia. Co oczywiste, ten trend nie ma nic wspólnego z zamiłowaniem do nauki. Młodsi Ukraińcy w studiowaniu właśnie dostrzegli łatwy sposób na uratowanie się przed wysłaniem na front. Projekt wydaje się więc z punktu widzenia państwa

W Internecie zaczęło pojawiać się coraz więcej nagrań pokazujących, jak pracownicy komend uzupełnień wręczają wezwania w wątpliwy, czasem nielegalny sposób – na stokach narciarskich, w pociągu albo wprost na ulicy

sensownym rozwiązaniem. Ponadto część prawników uważa, że takie rozwiązanie byłoby sprzeczne z konstytucją. Jak argumentują, ustawa zasadnicza nawet podczas stanu wojennego gwarantuje obywatelom Ukrainy prawo do zdobywania wykształcenia. Poza tym prawo nie działa wstecz. Dlatego też, nawet jeśli kontrowersyjna ustawa zostanie prze głosowana i wejdzie w życie, nie uratuje studentów, tylko przyszłych studentów.

Pod koniec września do parlamentu trafił projekt nowelizacji ustawy o obowiązku wojskowym i służbie wojskowej, który zakłada zniesienie ograniczeń wiekowych na dobrowolne przechodzenie służby wojskowej. Autorami projektu są Ołeksandr Jur-

czenko z prezydenckiej partii Sługa Narodu oraz Anatolij Burmicz ze zdelegalizowanej prorosyjskiej Platformy Opozycyjnej „Życie” (po wybuchu wojny członkowie tej partii stali się nieformalnymi sojusznikami ekipy Zełenskigo, deklarując lojalność wobec państwa). Gdyby proponowana zmiana weszła w życie, armia mogłaby przyjmować w swoje szeregi również ochotników powyżej 60. roku życia, o ile byliby zdrowi i dysponowaliby odpowiednim doświadczeniem i przygotowaniem do służby. Autorzy projektu swój pomysł motywują chęcią walki z „dyskryminacją ze względu na wiek”. Argumentują, że armia w ten sposób mogłaby zyskać starszych, ale za to zmotywowanych i doświadczonych żołnierzy.

CORAZ MNIJ OCHOTNIKÓW

Jednym z wyzwań Sił Zbrojnych Ukrainy jest cyfryzacja Ministerstwa Obrony. Już 2017 r. Rada Najwyższa zadecydowała o powstaniu elektronicznego rejestru poborowych i rezerwistów. Ma on w założeniu zawierać zebrane w jednym miejscu dane osobiste na temat obywateli Ukrainy objętych obowiązkiem służby wojskowej. W tym – ich numery telefonów, adresy e-mailowe, informacje o stanie cywilnym, wykonywanej pracy itp. Jednak z powodów technicznych rejestr utworzono dopiero w marcu 2022 r. Przy czym utworzono tylko teoretycznie. W praktyce Ministerstwo Obrony wciąż nie może z rejestru korzystać, ponieważ wciąż jest on uzupełniany. Według stanu na początek października 2023 r. w bazie danych znalazło się prawie 90 proc. nazwisk.

Żeby zmobilizować poborowych, trzeba mu najpierw dostarczyć wezwanie. A z tym bywa trudno. W pierwszych miesiącach wojny Ukraińcy sami chętnie szli na front. Mniej więcej od ubiegłej zimy w Internecie zaczęło pojawiać się coraz więcej nagrań pokazujących, jak pracownicy komend uzupełnień wręczają wezwania w wątpliwy, czasem nielegalny sposób – na stokach narciarskich, w pociągu albo wprost na ulicy. Zdarzały się przypadki pobicia poborowych. Coraz więcej Ukraińców uchyla się od służby. Wciąż niewypłeniona korupcja sprawia, że za odpowiednią opłatą można nie tylko uniknąć pójścia na front, lecz także uciec za granicę. Nic nie wskazuje na to, by ten trend miał się odwrócić.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

28 września prezydent Republiki Arcach Samwel Szahramanian, wybrany na to stanowisko raptem 18 dni wcześniej, podpisał dokument o likwidacji tego nieuznanego międzynarodowo państwa z dniem 1 stycznia 2024 r. Arcach to historyczna ormiańska nazwa Górskiego Karabachu. Tak te ziemie nazywały się w starożytności, gdy pod rządami Tigrana Wielkiego Armenia rozkwitała jako imperium. W 2017 r. historyczną nazwę przywróciły władze Górskiego Karabachu. Upokarzający akt rozwiązania państwa podpisany został, by ludność mogła swobodnie wyjechać (choć i tak nie dotyczy to wszystkich), bo Arcach już od grudnia 2022 r. jest otoczony przez siły azerbejdzańskie. Stało się tak za przyzwoleniem Rosji, choć według podpisanego w listopadzie 2020 r. porozumienia kończącego wojnę 44-dniową rosyjscy żołnierze, tzw. mirotwórcy, mieli gwarantować bezpieczeństwo Ormianom w Arcachu.

W ciągu zaledwie kilku dni Arcach opuściło ponad 100 tys. osób, czyli niemal wszyscy jego mieszkańcy. Nie mieli wyjścia, gdyż żaden Ormianin nie mógłby się czuć bezpieczny w państwie, w którym nie dość, że nienawiść do Ormian jest normą, to w dodatku panuje tam jeden z najbardziej bezwzględnych reżimów totalitarnych. Azerbejdżan rządzony jest przez dynastię Alijewów, założoną przez ojca obecnego prezydenta. Hajdar Alijew rozpoczynał swoją karierę jeszcze w latach 40. w NKWD, po czym został wieloletnim szefem KGB Azerbejdżanu, następnie komunistycznym przywódcą Azerbejdżańskiej SRR, wreszcie wicepremierem ZSRS. Odsunięty od władzy w ramach gorbaczowskiej pieriestrojki powrócił jako „ojciec narodu” po ogłoszeniu przez Azerbejdżan niepodległości. Jego syn Ilham, wykształcony w Moskwie, odziedziczył władzę według azjatyckich zasad despoty „republikańskiej”, a w 2017 r. uczynił swoją żonę Mehriban wiceprezydentem. Według międzynarodowych raportów prawa człowieka czy wolność mediów są w Azerbejdżanie na jednym z najgorszych poziomów na świecie.

Trudno zatem, by Ormianie mieli uwierzyć, że reżim Alijewów zagwarantuje im, iż nie zostaną poddani represjom na tle

Zagłada Arcachu



Witold Repetowicz

Wrzesień 2023 r. przejdzie do historii Ormian jako data największej od 1920 r. tragedii tego narodu – zagłady Arcachu. To kolejna, po Armenii Zachodniej i Nachiczewanie, historyczna ziemia Ormian, z której zostali oni wygnani przez panturecki imperializm. I podobnie jak w 1920 r. stało się to w wyniku układów turecko-rosyjskich, a nad Armenią wisi jeszcze większa groźba: okupacji Sjunika

etnicznym, politycznym i religijnym, skoro nawet sami Azerowie nie mogą liczyć na przestrzeganie ich podstawowych praw. Nawiasem mówiąc, kilkunastu azerbejdżańskich dysydentów zostało uwiecznionych za to, że protestowali przeciwko agresji ich kraju na ziemię Ormian. Jednakże zdecydowana większość Azerów przesiąknięta jest nacjonalistyczną ideologią, której nierozdzielną częścią jest nienawiść do Ormian, pochwała popełnianych na nich zbrodni i zaprzeczanie prawa Armenii do istnienia jako państwa. Już dzieci w przedszkolu uczą się tego, że Ormianin to wróg i należy go zabić. Azerbejdżańskie władze, rozpoczynając operację przejmowania kontroli nad Arcachem, wysłały zresztą bardzo cyniczny komunikat, w którym z jednej strony „zachęcały” mieszkańców Arcachu do pozostania i tworzenia „wieloetnicznego Azerbejdżanu”, a z drugiej strony zapowiedziały, że postawią przed sądem każdego, kto

działał na szkodę Azerbejdżanu. Można wątpić, czy choć jeden Ormianin z Arcachu nie podpada pod tę kategorię.

Poza tym i tak nikt nie mógłby przecież liczyć na uczciwy proces. Kontynuując swoją farsę, Azerbejdżan uruchomił dla Ormian portal dotyczący „reintegracji”. Tyle że w Arcachu zostali tylko ci, którzy już nie mogą z niego wyjechać, gdyż i tak zostaną aresztowani przez Azerów. Los ten spotkał już kilka osób, w tym trzech generałów. Były minister spraw zagranicznych Dawid Babajan nie wytrzymał psychicznej presji i sam oddał się w ręce azerskie.

Historia mordów na Ormianach jest bardzo długa. Już kilka lat po dokonanych w 1915 r. przez upadające imperium osmańskie ludobójstwo doszło do opisywanej przez Żeromskiego w „Przedwiośnie” rzezi Ormian w Baku. W marcu 1920 r. Azerowie wymordowali też 20 tys. ormiańskich mieszkańców Szuszi, historycznego serca Górskiego

■ Karabachu. Ci, którzy nie zostali wybici, ratowali się ucieczką, czego skutkiem było to, że Ormianie, dominujący wcześniej w tym mieście, całkowicie zniknęli stamtąd na kolejne 72 lata. W lutym 1988 r., w odpowiedzi na żądania Ormian w Górskim Karabachu, by to terytorium, mające wówczas status obwodu autonomicznego, przyłączyć do Armeńskiej SRR, Azerowie urządzili w Sumgaicie pierwszy z nowej serii pogromów, mordując ok. 200 Ormian. Wydarzenie to uznawane jest za bezpośredni powód rozpoczęcia walki zbrojnej karabaskich Ormian przeciwko Azerom. Później nastąpiły masakry w Gandzi, Baku i Maradze, a także wspólna operacja sowiecko-azerbejdżańska o kryptonimie Pierścień, której celem było wygnanie wszystkich z Karabachu. To, co nie wyszło wówczas, gdyż w międzyczasie ZSRS padł, nastąpiło obecnie.

ZABICIE SIEKIERĄ ŚPIĄCEGO

W ramach popełnianych zbrodni Azerowie często odcinali głowy ofiarom (często jeszcze żywym). Takie przypadki miały miejsce m.in. w czasie wojny w 2020 r. Z kolei w lutym 2004 r., w czasie ćwiczeń zorganizowanych przez NATO na Węgrzech w ramach Partnerstwa dla Pokoju, uczestniczący w nich azerbejdżański porucznik Ramil Sapiro zamordował w nocy śpiącego armeńskiego oficera Gurgena Margariana, zarabując go siekierą. Jedynym powodem zbrodni było to, że ofiara była Ormianinem. Sapiro został skazany przez węgierski sąd na dożywocie, po czym w 2012 r. dokonano jego ekstradycji do Azerbejdżanu, gdzie miał dalej odsiadywać wyrok. Zamiast tego już na lotnisku został powitany jako bohater, a następnie wielokrotnie wychwalany przez władze za swój „heroiczny” akt patriotyzmu: zabicie siekierą śpiącego.

Nazywanie Ormian z Arcachu „separatystami” i porównywanie go do innych nieuznawanych państw stworzonych na obszarze byłego ZSRS jest absurdem. Tym bardziej popisem historycznej ignorancji jest mówienie o „powrocie” Arcachu do Azerbejdżanu. Ziemia ta nigdy wcześniej nie była bowiem częścią niepodległego państwa o nazwie Azerbejdżan, a mieszkańcy (ani ich przodkowie) nie byli nigdy obywatelami takiego państwa. Nie osiedlili się również na tym

Demonstracja w obronie Ormian w Brukseli, 1 października 2023 r.

FOT. THIERRY MONASSE/GETTY IMAGES



terenie w ramach jakichś ruchów migracyjnych, lecz mieszkali tam od starożytności. Świadczą o tym bogata kultura materialna Ormian i niemal zupełny brak takowej, jeśli chodzi o Azerów.

Jednym z najstarszych zabytków są ruiny Tigranakertu, jednej ze stolic założonych przez Tigrana Wielkiego w I w. p.n.e. Po całym obszarze rozsiane są też chaczmary, czyli kamienne krzyże, które Ormianie ustawiają wszędzie tam, gdzie żyją. Pochodzą one z różnych epok. Jednak w zasadzie można powiedzieć, że pochodziły, bo z tych terenów, które Azerowie już przejęli, zostały one usunięte i podobny los spotyka armeńskie cmentarze oraz klasztory. A w Arcachu jest ich bez liku. Do najważniejszych należą Dadivank, Gandzasar i Amaras. Ten ostatni powstał w IV w., choć ze względu na zniszczenia spowodowane najazdem Mongołów w XIII w., Tamerlana w XIV w., a następnie Turków w XVI w. obecny jego kształt jest w zasadzie efektem XIX-wiecznej odbudowy. Według średniowiecznych źródeł klasztor miał być założony przez samego św. Grzegorza Oświeciciela, który w 301 r. doprowadził do przyjęcia przez Armenię

chrześcijaństwa (jako pierwsze państwo na świecie). Znajduje się tam również grób św. Grigorisa (wnuka św. Grzegorza Oświeciciela). Przede wszystkim jednak w V w. mieszkał tu ormiański uczony mnich Mesrop Masztots, który właśnie w tym miejscu stworzył ormiański alfabet.

Klasztor w Gandzasar pochodzi natomiast z XIII w., choć wzmianki o pobycie ormiańskich mnichów w tym miejscu pochodzą jeszcze z X w. Założony został przez ormiańskiego władcę księstwa Chaczen Hasana-Dżalala Dawłę. Było to jedno z pięciu ormiańskich państw wasalnych powstałych w średniowieczu na terenie Arcachu (obejmowały nie tylko cały obszar późniejszego Górskiego Karabachu, lecz także część terenów przyległych), a jego stolicą było Szuszi. Początkowo zależały one od bagratyjskiego królestwa Armenii, a po jego upadku w XI w. podlegały różnym władcom, by w XVI w. stać się lennem perskim. Gandzasar od czasu swego powstania odgrywał rolę centrum ormiańskiego chrześcijaństwa w Arcachu. Natomiast Dadivank był miejscem wiecznego spoczynku książąt Chaczen. Tradycja ormiańska przypisuje jego założenie św.



jest znany, gdyż obcokrajowcy (nie mówiąc już o Ormianach) nie są dopuszczani do tych obiektów.

WYNARADAWIANIE MNIEJSZOŚCI

Azerbejdżan twierdzi, że jest „wieloletniczy i wieloreligijny”, ale fakty mówią zupełnie co innego. Mniejszości narodowe Lezginów i Tałyszów skarżą się na etniczny ucisk i wynaradawianie (oczywiście takie głosy pojawiają się na emigracji, bo w kraju skutkują od razu uwięzieniem), a pozostałe grupy etniczne są niewielkie i tureckiego pochodzenia. Pod względem religijnym Azerowie są muzułmanami szyitami, ale ich zamiłowanie do odcinania ormiańskich głów nie ma podłoża religijnego, lecz etniczne, a bestialstwo to długa tradycja narodowa. To samo dotyczy niszczenia klasztorów i chaczkarów. Wynika to z tego, że kojarzą się one z Ormianami. Dlatego właśnie w historycznie ormiańskim Nachiczewanie, przekazanym Azerbejdżańskiej SRR w 1920 r. w wyniku układów turecko-sowieckich, nie pozostał ani jeden Ormianin (choć w 1920 r. stanowili oni tam 40 proc. populacji) i zniszczono tysiące chaczkarów, z których najstarsze pochodziły z IX w. Większość śladów po Ormianach zatarta została również w Armenii Zachodniej, która według projektu amerykańskiego prezydenta Woodrowa Wilsona miała po pierwszej wojnie światowej wejść w skład niepodległej Armenii. Krótkotrwała państwowość I Republiki Armenii została jednak zniweczona przez układy bolszewickiej Rosji z Ataturkowską Turcją w 1920 r., a Armenia Zachodnia została wówczas podarowana przez Rosjan Turkom.

Ilham Aliejew przyjął jednak nową strategię i zaczął forsować całkowicie ahistoryczną tezę, że chrześcijańskie klasztory w Arcachu to nie dziedzictwo ormiańskie, lecz „albańskie”. Albania Kaukaska istniała między II w. p.n.e. a VIII w. n.e., a granicą między nią a Armenią była rzeka Kura, przepływająca na wschód od będącego wówczas częścią Armenii Arcachu. Dopiero w V w. na ok. 300 lat Arcach został przyłączony do Albanii, która następnie zniknęła z mapy na długo przed pojawieniem się na Kaukazie Turków. Na skutek islamizacji Albańczycy przenieśli się na tereny zamieszkałe przez Ormian, z którymi się mieszała, i jeszcze w XX w. ślady po ich dziedzictwie były zacierane

przez żywioł turecki z równą zaciętością co po dziedzictwie ormiańskim. Aliejew chce jednak obecnie uchodzić za tolerancyjnego władcę („prezydenta”), więc nakazał grupie swoich funkcjonariuszy robić za „Kościoł albański”, a zagranicznym delegacjom pokazuje, że są u niego kościoły. Na co dzień puste i zamknięte na cztery spusty.

Na przejmowanych przez Azerbejdżan terenach usuwa się wszelkie niesakralne ślady po Ormianach, w tym wszelkie napisy po ormiańsku. Również chaczkary i większość klasztorów podzielił los tych, które zniszczone zostały w Nachiczewanie. Kilka kluczowych, takich jak Dadivank, Gandzasar i Amaras, być może przetrwa, ale zapewne przejdą najpierw gruntowny „remont”, polegający na usunięciu śladów po Ormianach (czyli de facto zostaną całkowicie zdewastowane), a następnie zostaną przekazane nieistniejącemu „Kościołowi albańskiemu”.

Na przejmowanych przez Azerbejdżan terenach usuwa się wszelkie niesakralne ślady po Ormianach

Nie ma wątpliwości, że opuszczenie przez Ormian Arcachu, po ponad 2 tys. lat zamieszkiwania tych terenów, to czystka etniczna popełniona przez Azerbejdżan i to, że wyjeżdżają oni „dobrowolnie”, tego nie zmienia. Jednak zamiary Azerbejdżanu, Turcji i Rosji wymierzone w Armenię nie kończą się na tym i bardzo wątpliwe, by szybko doszło do normalizacji stosunków między Armenią a Turcją i Azerbejdżanem, gdyż państwa te próbują wymusić na Armenii stworzenie korytarza eksterytorialnego przez Sjunik. Rosja to popiera, bo to ona miałaby „zabezpieczać” ten korytarz. De facto oznaczałoby to rosyjsko-turecką okupację Sjunika i w rezultacie utratę niezależności przez Armenię, odcięta w ten sposób od granicy z Iranem. Premier Armenii Nikol Paszynian nie zgadza się na to i stara się przeorientować Armenię na Zachód. Dlatego Rosjanie chcą go obalić. Gniew uchodźców z Arcachu ma w tym pomóc.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Dadiemu, jednemu z uczniów św. Tadeusza Apostoła, który miał chrystianizować te tereny już w I w. Pierwsze wzmianki o klasztorze pochodzą z IX w., a obecna struktura powstała w XIII w.

Dziś w tych świątyniach nie ma już ormiańskich duchownych. Dadivank znalazł się na terenach przejętych przez Azerbejdżan już w 2020 r., ale pozostali w nim duchowni mieli być chronieni przez „mirotwórców”. We wrześniu wszyscy duchowni ormiańscy w Arcachu usłyszeli jednak od Rosjan, że nie są w stanie zapewnić im bezpieczeństwa, a jeśli Azerowie będą chcieli któregoś z nich uprowadzić, to Rosjanie reagować nie będą. Jednym z ostatnich ewakuowanych do Armenii był o. Hovhannes, który w 2020 r. deklarował, że będzie bronił klasztoru Dadivank (którego był przeorem) do końca z Biblią w jednym ręku i karabinem w drugim. Azerowie uderzyli dronem w jego dom znajdujący się w pobliżu klasztoru, w wyniku czego został ciężko ranny. Ocenia się, że w Arcachu jest ponad 4 tys. ormiańskich zabytków, w tym 370 świątyń. W 2020 r. Azerowie przejęli kontrolę nad 1450 zabytkami, w tym 161 świątyniami. Ich los nie

Masowa migracja może zniszczyć UE



FOU, ADRIEN STUCK

Jedynie drastyczne kroki ze strony państw członkowskich UE i samych instytucji unijnych są w stanie zaradzić problemowi masowego napływu migrantów do Europy. Kontynuowanie obecnego kursu może się zakończyć dezintegracją projektu unijnego – to najważniejsze wnioski płynące z konferencji „The Decade of Move – Challenges and the Stakes of Irregular Mass Migration in Europe” („Dekada ruchu. Wyzwania i stawki nieregularnej migracji masowej w Europie”) zorganizowanej w Budapeszcie przez Instytut Felczaka oraz węgierski Instytut Badań nad Migracjami

Nielegalna imigracja w ogromnej mierze zaważy w najbliższych latach na losach UE i Europy. Jeżeli jednak Polska i Węgry, które zademonstrowały swoją siłę na ostatnim szczycie UE, blokując przymusowy mechanizm relokacyjny, zyskają kilku sojuszników wśród państw członkowskich, to ten czynnik ryzyka dla Unii zostanie wyeliminowany” – powiedział na początku konferencji prof. Maciej Szymanowski, dyrektor Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka.

Doktor Ralph Schoellhammer, politolog i ekspert do spraw migracji z Webster University Vienna, podkreślił w swoim wystąpieniu, że sprawnie działające państwo wielokulturowe to mit. Badacz przypomniał, że Austro-Węgry były krajem do pewnego stopnia wielokulturowym, ale mimo to każdy rozumiał, że jedna kultura była tam dominująca. – W tym państwie istniała wyraźna hierarchia kultur. Był to kraj wieloetniczny, ale w swojej istocie nie był on wielokulturowy. Zazwyczaj mylimy te rzeczy. Nie

da się zbudować spójnego społeczeństwa, które jest wielokulturowe. Można mieć dobrze działające społeczeństwo wieloetniczne czy wieloreligijne, ale nie wielokulturowe – podkreślał dr Schoellhammer.

Badacz z Wiednia tłumaczył, że nie da się kultury sprowadzić do błahych symboli, jak choćby tradycyjne jedzenie, co często widzi się na Zachodzie. – Kultura to głęboko zakorzenione poglądy, rzeczy, w które ludzie wierzą w sposób intuicyjny. Przykładem może być tu choćby to, jak mężczyzna traktuje kobietę, albo to, jak wychowujemy dzieci. To jest sedno kultury. Nie da się zbudować dobrze funkcjonującego państwa, w którym jedna część społeczeństwa mówi, że kobiety muszą chodzić zakryte od stóp do głów, muszą być skromne, a druga część uważa, że powinny być wyzwolone seksualnie. Takie społeczeństwo nie będzie w stanie dobrze funkcjonować – powiedział Schoellhammer, porównując sytuację w krajach Europy Zachodniej

do... Iraku. – Od 2003 r. mówiono nam, że niemożliwa jest koegzystencja w jednym kraju szyitów, sunnitów i Kurdów, że Irak trzeba podzielić. A jednak ci sami ludzie mówią nam dziś, że przykładowo w Amsterdamie może obok siebie współistnieć część miasta z małżeństwami jednopłciowymi i wyuzdaną pornografią obok społeczności głęboko fundamentalistycznych muzułmanów i to nie będzie rodziło żadnych problemów... Coraz bardziej widać w Europie, że taki model nie działa. Podział kulturowy jest dużo ważniejszy niż podziały etniczne – powiedział badacz.

ODRZUCANIE NASZYCH WARTOŚCI

Z kolei Nicolas Monti, współzałożyciel paryskiego Obserwatorium Migracji i Demografii, podkreślił w swoim wystąpieniu, że według sondaży już 67 proc. Francuzów obawia się tzw. wielkiej wymiany, czyli zastąpienia populacji rodzimej przez imigrantów – przede wszystkim z krajów muzułmańskich. Jak podkreślał Nicolas Monti, „wielka wymiana” przestaje być traktowana jako „teoria spiskowa” i staje się w oczach Francuzów realnym problemem.

– Imigracja do Francji zagraża spójności narodu i coraz wyraźniej to widać – powiedział Monti, przywołując potężną falę zamieszek, która przetaczała się latem przez ulice francuskich miast.

– Wielkim problemem jest asymilacja czy nawet integracja tych ludzi do kultur narodowych. Jest to wręcz właściwie niemożliwe. Zamiast tego widzimy w Europie tworzenie równoległych społeczeństw. Ci ludzie wręcz odrzucają europejskie wartości. Według badaczy silna tożsamość muzułmańska to obiektywna przeszkoda na drodze do zaakceptowania europejskich wartości, szczególnie lewicowych wartości promowanych dziś przez europejskie instytucje – mówił prof. Tomasz Grzegorz Grosse, europeista z UW. – Radykalizacja, zamieszki, rewolucje, wojny domowe – to perspektywy stojące przed Europą. Imigracja to wielkie zagrożenie dla integracji europejskiej. Jeżeli bowiem Bruksela, Berlin i Paryż będą naciskały na forsowanie mechanizmu relokacji, to będzie to oczywiście wbrew woli wyborców w takich krajach jak Polska czy Węgry – powiedział prof. Grosse.

O perspektywie włoskiej opowiadał w czasie konferencji Piotr Kowalczyk, który od ponad 20 lat jest korespondentem polskich mediów na Półwyspie Apenińskim i obserwował z bliska, jak narasta problem migracyjny.

– Włoskie matki są najstarsze w Europie. Włochy potrzebują w związku z tym imigrantów i pracowników. Ale odpowiedź na problemy demograficzne nie jest migracją nielegalną, tylko kontrolowana i legalna – powiedział Piotr Kowalczyk, przypominając, że obecnie szacuje się, że we Włoszech żyje ok. 600 tys. nielegalnych imigrantów, o których państwo włoskie właściwie nic nie wie. Dziennikarz podkreślił, że ci ludzie nierzadko są wciągani do świata włoskiej przestępczości, stając się ofiarami mafii. – Problemy we Włoszech spowodowane są przez nielegalną imigrację, a trudności te dodatkowo potęgują regulacje dublińskie, które zakładają, że jeżeli migrant przekracza granicę UE w danych państwie unijnym, to staje się on problemem

W 2020 r. do UE dostało się nielegalnie 125 tys. osób. W ciągu pierwszych ośmiu miesięcy 2023 r. liczba ta zwiększyła się do 232 tys.

tego konkretnego państwa – powiedział Piotr Kowalczyk.

Prowadzący debatę Róbert Gönczi zapytał panelistów, czy Europa zna pozytywne przykłady integracji imigrantów. Doktor Schoellhammer wskazał, że świetnym przykładem są... sami Europejczycy, którzy zmieniają miejsce zamieszkania i pracy w ramach UE, dobrze się integrując. Jeżeli natomiast chodzi o przybyszów spoza Europy, to pozytywnymi przykładami są m.in. imigranci z Ameryki Łacińskiej, którzy szczególnie widoczni są w Portugalii i Hiszpanii, a także m.in. Wietnamczycy we Francji, a także Irańczycy przyjeżdżający do Niemiec. Eksperci zgadzali się ze sobą, że co do zasady jednak głębokie różnice kulturowe między muzułmanami a mieszkańcami Europy sprawiają, że integrowanie takich imigrantów jest niezwykle trudne

i zazwyczaj kończy się budową tzw. równoległego społeczeństwa.

HARACZ DLA DYKTATORÓW

W trakcie drugiego panelu eksperci zastanawiali się z kolei nad największymi wyzwaniami stojącymi przed UE jako całością w kontekście obrony wspólnych granic.

Witold Repetowicz, ekspert do spraw terroryzmu, znawca Bliskiego Wschodu, podkreślił, że Europa powoli dostrzega ten problem. – Teraz nawet Niemcy przeszli ewolucję od „Witamy uchodźców” do „Trzeba zatrzymać migrację”. Olaf Scholz oskarża Polaków o sprowadzanie migrantów, co nie jest zresztą prawdą, bo tzw. afera wizowa to głównie propaganda, a równoległe niemieckie organizacje pozarządowe wysyłają statki na Morze Śródziemne, by pomagać łodziom płynącym z Tunezji do Włoch – mówił Witold Repetowicz.

Zdaniem eksperta istnieją jedynie trzy odpowiedzi na kryzys migracyjny. Pierwsze to próba porozumienia się z państwami afrykańskimi, które mogą powstrzymać migrantów. Jest to jednak polityka obarczona ryzykiem. Żądania reżimów będą bowiem rosły. Druga odpowiedź to efektywna ochrona granic. – To oznacza jednak działanie w sposób brutalny i oczywiście będą się z tym wiązały ofiary. Nie da się tego wdrożyć szybko, ponieważ Europa nie jest na taką politykę gotowa pod względem psychologicznym. Trzecie rozwiązanie to po prostu kapitulacja: poddanie się presji migracyjnej – powiedział Witold Repetowicz.

Viktor Marsai, dyrektor wykonawczy Instytutu Badań nad Migracjami, przedstawił liczby, które obrazują skalę wyzwania stojącego przed Europą. O ile w 2020 r. do UE dostało się nielegalnie 125 tys. osób, o tyle jedynie w ciągu pierwszych ośmiu miesięcy 2023 r. liczba ta zwiększyła się do 232 tys. Na tak skokowy wzrost wpływają regionalna niestabilność, m.in. w Libii i Sudanie, zmiany klimatyczne, a także nieprawdziwe wyobrażenia na temat sytuacji w Europie, które powielane są w mediach społecznościowych. Ten ostatni mechanizm wykorzystywany jest przez gangi przemytnicze oraz państwa chcące destabilizować sytuację w Europie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jacek Przybylski

Drugi wyścig kosmiczny nabiera tempa. Do grona kosmicznych mocarstw – USA, Chin oraz Rosji – w sierpniu dołączyły Indie, które z powodzeniem wysłały lądownik na Księżyc. A wkrótce grono to ma powiększyć się o Japonię, Koreę Południową i Izrael. Wyobraźnię przedsiębiorczych Ziemiaków z różnych państw, w tym z Polski, coraz mocniej rozpalają m.in. surowce warte miliardy dolarów

Był rok 1957, gdy dwa śmiertelnie sobie wrogie mocarstwa – USA i ZSRS – oficjalnie rozpoczęły zaciętą rywalizację o to, kto szybciej podbije kosmos. Wówczas to z kosmodromu Bajkonur wyrzuty został Sputnik 1. W 1958 r. Amerykanie wyrzuty Explorera 1, na co Sowoci odpowiedzieli wysłaniem w kosmos pierwszego człowieka: Jurija Gagarina. 20 lipca 1969 r. amerykański astronauta Neil Armstrong został pierwszym człowiekiem w historii, który postawił stopę na Księżycu. Pierwszy wyścig kosmiczny zakończył się symbolicznie w roku 1975 wspólną amerykańsko-sowiecką misją Apollo-Sojuz. Kosmiczne sukcesy rozpalają zaś wyobraźnię nie tylko Amerykanów i Rosjan. Mimo krótkiej przerwy w zimnowojennej rywalizacji przemysł kosmiczny stale się rozwijał. Kolejne kraje tworzyły własne agencje kosmiczne, wysłały na orbitę satelity etc. Obecnie obserwujemy już bowiem drugi wyścig kosmiczny, który może być dużo bardziej zacięty niż jego pierwsza odsłona.

WSZYSCY CHCĄ NA KSIĘŻYC

24 sierpnia 2023 r. należący do Indii lądownik księżycowy Chandrayaan-3 bezpiecznie osiadł na Srebrnym Globie. Niezwykle skomplikowanie lądowa-

Kosmiczna gorączka złota



Księżyc kryje w sobie ogromne zasoby metali ziem rzadkich, które mogą zrewolucjonizować np. ziemską energetykę FOT. ADOBE STOCK



nie w trudnym terenie przebiegło bez żadnych trudności. To szczególny sukces, bo indyjski lądownik jako pierwszy w historii podboju kosmosu wylądował w okolicach bieguna południowego, dowodząc kunsztu indyjskich naukowców. Wcześniej próbę lądowania w tym rejonie podjęli Rosjanie, ale lądownik Łuna 25 – który wystartował 11 sierpnia 2023 r., jako pierwszy od 47 lat rosyjski statek kosmiczny mający za zadanie wylądować na Srebrnym Globie – rozbił się na powierzchni Księżyca, zanim zdążył przetestować najnowsze rosyjskie technologie. Nie bez powodu właśnie w tym miejscu lądować chcą również przy najbliższej okazji Amerykanie, aby przeprowadzić badania księżycowej powierzchni w rejonie, który wcześniej NASA wskazało jako miejsce, gdzie mogą występować ogromne zasoby lodu wodnego. Łód wodny może być wykorzystany na potrzeby astronautów. „Można go również wykorzystać do ochrony astronautów przed szkodliwym promieniowaniem kosmicznym, a wodę można wykorzystać do paliwa raketowego” – tłumaczył „National Geographic” David Kring, planetolog z Lunar and Planetary Institute.

Zgodnie z planem z lądownika Chandrayaan-3 wyjechał na powierzchnię Księżyca niewielki łazik, który przez dwa tygodnie sprawnie wykonywał zadane eksperymenty i zbierał niezbędne próbki. I widać wyraźnie, że Indie coraz sprawniej zajmują miejsce zajętej wojną na Ukrainie Rosji w kosmicznym wyścigu.

Od wielu miesięcy trwa już szkolenie indyjskich kosmonautów, którzy mają wziąć udział w pierwszej załogowej indyjskiej misji na orbitę okołozemską. Pierwszych Hindusów w kosmos zabrać ma indyjska kapsuła o nazwie Gaganyaan, którą w kosmos wyniesie indyjski system nośny GSLV Mark 3. Jeśli wszystko się uda, to Indie chcą również w ciągu kilku lat rozpocząć budowę narodowej stacji orbitalnej. Na początek ISRO Space Station miałyby się składać z dwóch modułów i być gotowa na przyjęcie do trzech astronautów na okres 15–20 dni. Jeśli plan się powiedzie, to już ok. 2030 r. Indie mogą stać się czwartym krajem w historii ludzkości – po Rosji, USA i Chinach – który samodzielnie stworzył

własny statek kosmiczny i zbudował własną stację kosmiczną.

Indie postanowiły również dokładnie zbadać Słońce – w tym celu 2 września 2023 r. wystrzeliły sondę Aditya-L1, która ma wykonywać wiele obserwacji najważniejszej dla ludzkości gwiazdy. Rosjan w kosmicznym wyścigu mocno wyprzedzają już również Chińczycy.

Lista państw, które chcą wylądować na Księżycu, szybko się wydłuża. W zeszłym miesiącu z Centrum Kosmicznego Tanegashima w południowej Japonii wystartowała rakieta H-IIA z „inteligentnym lądownikiem księżycowym”. Lądowanie na Księżycu zaplanowane jest na początek 2024 r. i ma być wyjątkowo spektakularne. Niewielki statek badawczy SLIM (Smart Lander for Investigating Moon) zwany jest w skrócie „Snajperem”. Ma bowiem przetestować eksperymen-

**Do końca
obecnej dekady
na Księżycu
chcą być również Polacy**

talną technologię precyzyjnego lądowania i znaleźć się na powierzchni Księżyca dokładnie w promieniu 100 m od wybranego przed startem celu. Celem tym jest zaś wnętrze krateru Shioli na terenie Mare Nectaris. Nie wiadomo, czy tym razem ambitny cel zostanie osiągnięty, bo poprzednie dwie próby lądowania Japończyków na Srebrnym Globie kończyły się fiaskiem. Na razie wszystko idzie zgodnie z planem. Lądownik przesłał już do Japońskiej Agencji Kosmicznej (JAXA) zdjęcia Ziemi, testując jednocześnie kamery potrzebne do lądowania w snajperskim stylu.

Ambitne kosmiczne plany mają też władze Korei Południowej. Cytowany przez „The Korea Herald” prezydent Yoon Suk-yeol zapowiedział w zeszłym roku, że celem jego kraju jest lądowanie bezzałogowej sondy na Księżycu w 2032 r. i na Marsie w roku 2045 (datę wybrano symbolicznie, bo właśnie wówczas kraj świętować będzie 100-lecie rocznicę odzyskania niepodległości spod japońskiej okupacji). Na początku obecnego roku

■ izraelski rząd ogłosił, że NASA pomoże wylądować na Srebrnym Globie także Izraelowi. Misja Beresheet-2 planowana jest na 2025 r., ale problemy z finansowaniem programu mogą ją opóźnić.

Do końca obecnej dekady na Księżycu chcą być również Polacy. Tak przynajmniej zadeklarował w ubiegłym miesiącu prof. Grzegorz Wrochna, prezes Polskiej Agencji Kosmicznej (POLSA). „Kilkanaście miesięcy temu Polska Agencja Kosmiczna ogłosiła nabór koncepcji na narodową misję kosmiczną. Otrzymaliśmy wiele zgłoszeń. Najciekawszym celem okazał się Księżyc – z jednej strony stosunkowo łatwo dostępny, ale z drugiej strony bardzo ciekawy także ze względu na plany innych agencji kosmicznych” – powiedział prof. Wrochna w rozmowie z PAP.

BILIARDY NA SREBRNYM GLOBIE

Drugi wyścig kosmiczny nie służy wyłącznie pogłębianiu wiedzy naukowej. Wiadomo, że nasza cywilizacja – od smartfonów i smartwatchy, przez wydajne komputery, do nowoczesnego sprzętu medycznego – potrzebuje miedzi, aluminium, żelaza, metali ziem rzadkich etc. Zasoby niektórych surowców na Ziemi mogą się wyczerpać w ciągu najbliższych kilku dekad. I tu z pomocą potencjalnie przychodzi Srebrny Glob, bogaty w substancje niezbędne dla energetyki, przemysłu elektronicznego etc.

Już trwają też przygotowania do wydobywania na Księżycu helu-3, a więc izotopu nazywanego kosmicznym pierwiastkiem, który ma całkowicie odmienić ziemską energetykę. Hel-3, wykorzystany jako paliwo w reakcji fuzji termojądrowej, ma bowiem pozwolić na produkcję naprawdę czystej energii – nie tylko bez emisji dwutlenku węgla, lecz także bez wytwarzania odpadów radioaktywnych. Cenny izotop znajduje również zastosowanie w nauce, w medycynie, komputerach kwantowych, w detektorach sprawdzających bezpieczeństwo – np. na lotniskach, a także w badaniach bezpieczeństwa żywności. Najlepsze jest zaś to, że choć wartościowego pierwiastka na Ziemi jest niewiele, to – jak tłumaczy Europejska Agencja Kosmiczna – Księżyc został zbombardowany ogromnymi ilościami helu-3. Szacuje się, że zasoby izotopu na Srebrnym Globie wynoszą

miliony ton. Naukowcy liczą więc na to, że cennego kosmicznego pierwiastka wystarczy ludzkości na co najmniej 250 lat. Co najmniej, bo księżycowy hel-3 – dzięki wiatrowi słonecznemu – jest na Księżycu surowcem odnawialnym.

Naturalny satelita Ziemi kryje też inne metale ziem rzadkich, takie jak skand (wykorzystywany w przemyśle lotniczym i kosmicznym), itr (stopy metali, ceramika, luminofory) oraz 15 lantanowców, które ludzkość wykorzystuje m.in. do produkcji laserów, światłowodów, wyświetlaczy ciekłokrystalicznych, magnesów, kliszy rentgenowskich etc.).

NASA oficjalnie przyznaje, że Księżyc kryje w sobie niewykorzystane zasoby warte kilkanaście miliardów (sic!) dolarów. Narodowa Agencja Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej ukuła już nawet termin „księżycowa gorączka złota”, a nawet prezentuje infografikę stworzoną przez serwis 911 Metallurgist, przedstawiającą, jak w uproszczeniu mogłoby się odbywać wydobywanie cennych surowców na naturalnym satelicie Ziemi. Dzięki występującej na Księżycu wodzie – w roku 2008 indyjska misja Chandrayaan-1 wykryła cząsteczki wody w ryzalicie, czyli najbardziej zewnętrznej warstwie Księżyca, a od tego czasu kolejni badacze potwierdzali, że Księżyc wodę ma od dawna, a być może nawet od zawsze – możliwa jest na nim długoterminowa obecność człowieka. Woda jest też cennym źródłem wodoru i tlenu, a więc kluczowych pierwiastków do produkcji paliwa rakietowego.

Jak miałoby wyglądać wydobywanie surowców z Księżyca lub budowa na nim stałych baz, umożliwiających działalność gospodarczą na wielką skalę? Tego dokładnie nie wiadomo. Wiadomo, że stała obecność człowieka na Księżycu nie będzie łatwa, choćby ze względu na istotne wahania temperatury, która w ciągu dnia sięga w pełnym słońcu 127 st. C, a podczas nocy spada do minus 173 st. C. Do tego doba księżycowa istotnie różni się od ziemskiej (noc na Srebrnym Globie trwa nieco ponad dwa ziemskie tygodnie). Na szczęście zespół naukowców z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles już w ubiegłym roku odkrył, że na Księżycu znajdują się jaskinie, doły oraz tunele lawowe, w których temperatura może wynosić ok. 17 st. C, czyli



Indyjski lądowiec Chandrayaan-3
Vikram kilka sekund przed szczęśliwym
lądowaniem na powierzchni Księżyca

FOT. NEWSCOM/PAP

stałe utrzymywać się na optymalnym poziomie dla funkcjonowania organizmu człowieka. Co więcej, jaskinie mogłyby zapewniać pewną ochronę przed promieniowaniem słonecznym (na księżycową egzosferę liczyć niestety nie można), a także dawać schronienie przed spadającymi meteoroidami etc.

Do przetrwania załogi bazy przydałaby się uprawa żywności i zapewnienie mieszkańcom odpowiedniej ilości tlenu. Elementy potrzebne do budowy bazy kosmonauci mogliby wydrukować za pomocą zaawansowanych drukarek 3D. Tak czy owak potrzebne materiały trzeba by jednak na Srebrny Glob dostarczyć. Wprawdzie aby się tam dostać z Ziemi, trzeba pokonać trasę liczącą przeciętnie 384 400 km, ale sukcesywnie przybywa firm, które oferują kosmiczny transport, więc ceny lotów muszą spadać. Konkurencja rośnie również w innych dziedzinach – np. NASA przy budowie lądowników księżycowych również korzysta z usług prywatnych firm.

Oczywiście tradycyjnych górników nikt na Księżyc przywozić nie będzie. Do wydobywania surowców potrzebne będą więc bezzałogowe ekspedycje górnicze. To potencjalnie bardzo opłacalny biznes. Nie tylko dla Amerykanów, Chińczyków czy Hindusów. Już w 2021 r. historyczny list intencyjny na dostawę z Księżyca 500 kg cennego helu-3 podpisał z amerykańską firmą US Nuclear Corp. krakowski start-up Solar System Resources Corporation. Wartości porozumienia co prawda nie ujawniono, ale cena rynkowa tego izotopu wynosiła dwa lata temu 16,6 mld dol. za tonę. Krakowski start-up deklarował dwa lata temu, że zamierza wydobyć pół tony helu-3 do 2028 r.

Tego typu firmy mogą mieć ogromny potencjał. Zarabiać można bowiem



nie tylko na księżycowych surowcach. Wyjątkowo cenne złoża na przedsięwzięciach śmiałków czekają również na asteroidach.

KTO UKRADNIE KSIĘŻYC?

Jak zauważyli Jan Osburg i Mary Lee z RAND Corporation, zakończona w ubiegłym roku sukcesem bezzałogowa misja Artemis 1 stanowiła pierwszy krok w kierunku ustanowienia stałej obecności człowieka na Księżycu i w kierunku eksploatacji potencjalnie ogromnych złóż niezwykle cennych zasobów nie tylko na Srebrnym Globie, lecz także w innych miejscach przestrzeni kosmicznej. W kwietniu 2023 r. NASA wspólnie z kanadyjską agencją kosmiczną CSA ogłosiły już skład misji Artemis II – pierwszego od ponad pół wieku, czyli od misji Apollo 17 z 1972 r., załogowego lotu w kierunku Księżyca. Misja amerykańsko-kanadyjskiej załogi na pokładzie statku Orion ma trwać ok. 10 dni, podczas których astronauta – ubrani w o wiele nowocześniejsze i wygodniejsze skafandry kosmiczne niż wykorzystywane dotąd na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej – sprawdzą najnowsze systemy podtrzymywania życia w warunkach lotu kosmicznego poza bliskie otoczenie Ziemi. Załoga znajdzie się w odległości 10 300 km od powierzchni Księżyca. Start misji Artemis II zaplanowano na listopad 2024 r. Jeśli wszystko się powiedzie, to NASA wyśle misję Artemis III, czyli pierwszą od ponad pół wieku załogową misję na Księżyc. Teoretycznie start planowany jest na lata 2025–2026, ale zapewne ulegnie on przesunięciu (nie wiadomo np., czy lądownik Starship HLS będzie już wówczas gotowy). W połowie września NASA we współpracy z „National Geographic” pokazała unikalny obraz

przedstawiający obszar potencjalnych miejsc lądowania astronautów w ramach misji Artemis III, która może pozwolić ludzkości wkroczyć w erę przełomowych odkryć naukowych. NASA planuje jednocześnie misję Artemis IV, której celem również będzie przetransportowanie kosmonautów na powierzchnię Srebrnego Globu.

Stworzenie baz na Księżycu – otwierających drzwi nie tylko do ekspansji gospodarczej na naturalnym satelicie Ziemi, lecz także do dalszego podboju kosmosu, w tym urealnianych plany potencjalnej kolonizacji Marsa – mają poza Amerykanami również Chiny. W roku 2019 – tym samym, w którym doszło do udanego lądowania misji Czang’e-4 w kraterze von Kármána w obszarze basenu Biegu na Południowego-Aitken, i tym samym, w którym łazik Yutu 2 pobił rekord długości trwania misji łazika na powierzchni Księżyca – Chińczycy oficjalnie ogłosili, że najpóźniej do roku 2050 zamierzają ustanowić specjalną strefę ekonomiczną między Ziemią a Księżycem. Według wstępnych szacunków władz w Pekinie ma ona przynosić 10 mld dol. zysku rocznie. Przedstawiciel Chińskiej Narodowej Agencji Kosmicznej publicznie zachwalał zaś wówczas wielki potencjał gospodarczy nowego „regionu”. Pierwszą misję załogową na Księżyc Chiny planują wykonać do 2030 r. i – jak ujawnił Zhang Hailian, zastępca głównego konstruktora w China Manned Space Agency (CMSA) – będzie ona miała za zadanie zbadać m.in., w jaki sposób najlepiej zbudować księżycową stację badawczą. Uruchomienie regularnych transportów między Ziemią a jej naturalnym satelitą Chiny planują do roku 2040.

Chińczycy regularnie wykonują już trwające miesiącami wyprawy do orbitalnej stacji Tiangong, która została umieszczona na orbicie w kwietniu 2021 r. i jest stale zasiedlona przez załogi.

Zgodnie z Traktatem kosmicznym z 1967 r. żadne państwo nie może poddawać kosmosu swojej suwerenności i jurysdykcji. Niektórzy prawnicy twierdzą jednak, że nie można zakazać obejmowania poszczególnych części Srebrnego Globu przez podmioty prywatne, wykorzystujące Księżyc do działalności komercyjnej. W 2015 r. Kongres przyjął „Ustawę o konkurencyjności wystrzeli-

wania rakiet w przestrzeni komercyjną”, stanowiącą wprost, że obywatele USA „są uprawnieni do wszelkich uzyskanych zasobów z asteroidów lub zasobów przestrzeni kosmicznej [...] zgodnie z obowiązującym prawem, w tym międzynarodowymi zobowiązaniami Stanów Zjednoczonych”. Jak zauważyli wspomniani eksperci RAND Corporation, aby ustanowić precedens w tym kontekście, NASA wybrała już cztery prywatne firmy do zbierania próbek z Księżyca i sprzedaży ich NASA. Za przykładem Amerykanów poszły już kolejne kraje – m.in. Luksemburg, Zjednoczone Emiraty Arabskie i Japonia – które również uchwały własne jednostronne prawa dotyczące wydobycia surowców kosmicznych.

Układ księżycowy z 1979 r. stanowi z kolei, że badanie i wykorzystywanie Księżyca powinny być prowadzone dla dobra i w interesie wszystkich krajów. Dodatkowo Księżyc i inne ciała niebieskie mogą być wykorzystywane wyłącznie pokojowo. Teoretycznie obowiązuje też zakaz umieszczania na nich broni masowej zagłady czy zakładanie na Księżycu baz wojskowych, budowa fortyfikacji etc. Układ z 1979 r. ratyfikowała jednak tylko garstka państw i nie ma w tym gronie żadnego z kluczowych mocarstw. Można sobie więc wyobrazić, że wraz z postępującym podbojem kosmosu coraz bardziej zacięte będą spory o „strefy bezpieczeństwa” i to, jak dzielić prawa do miejsc występowania wody i cennych surowców. Międzynarodowe prawo kosmiczne wymagać więc będzie zapewne pilnej nowelizacji...

KOSMICZNE SIŁY ZBROJNE

Rzadkie izotopy i nowe kosmiczne technologie mogą być wykorzystywane przez kolejne mocarstwa do zwiększania ich wpływów na Ziemi. Aby bronić swych interesów w kosmosie, Amerykanie nie tylko mają oddzielne Siły Kosmiczne, lecz także stworzyli w ubiegłym roku Narodowe Centrum Wywiadu Kosmicznego (NSIC). Misja NSIC polega m.in. na monitorowaniu przestrzeni kosmicznej, ochronie infrastruktury orbitalnej Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników oraz gromadzeniu informacji o kosmicznych zdolnościach innych państw. Nie wiadomo, jak będą wyglądać przyszłe kosmiczne wojny. © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Przyszłość
przejadamy dziś

Co rząd PiS – na wstępie swych rządów – obiecywał Polakom w sprawie inwestycji?

Otóż obiecywał – i to, jak zapewniał, w pełni świadom kolosalnego znaczenia inwestycji dla przyszłości Polski – ich znaczące, liczone w relacji do PKB, zwiększenie. Zwiększenie w ciągu pięciu lat, czyli do roku 2020, ze słuszenie uznanego przez siebie za stanowczo zbyt niski poziomu, który odziedziczył w 2015 r. po „rujnującym Polskę” rządzie Platformy i PSL, do znacznie wyższego – o co najmniej dwa, a najlepiej – i to był prawdziwy cel – o pięć punktów procentowych.

Zaraz na początku urzędowania nowy rząd przyjął w tym celu ogłoszony z pompą „Plan na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju”. Przy tej okazji ówczesny wicepremier, a od sześciu lat w pełni władny premier Mateusz Morawiecki przedstawił swą słynną prezentację w PowerPoincie, a ówczesna szefowa rządu Beata Szydło zapowiedziała: „Chcemy, ażeby ten program budował naszą gospodarczą potęgę w następnych latach”. Niecały rok później rząd zaakceptował zaś – będącą rozwinięciem tego planu – „Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju”.

A jak udało się zrealizować to kluczowe dla pomyślnej przyszłości Polski zobowiązanie? No cóż – wystarczy przytoczyć liczby, żeby mieć wyobrażenie, czy rząd nie zmarnował czasu w tej

zasadniczej dla przyszłości Polski sprawie, czy go jednak zmarnował.

Otóż w 2015 r. Polska mogła się smucić inwestycjami na poziomie zaledwie nieco ponad 20 proc. PKB, a dziś... Dziś, mimo że od tamtej, pamiętnej deklaracji szefów rządu – deklaracji, przypomnijmy, kluczowej dla przyszłości Polski – minęło już nie pięć, a osiem lat – nie ma mowy nie tylko o inwestycjach na poziomie 25 proc. PKB ani 22 proc. PKB; nie ma bowiem mowy nawet o inwestycjach na owym fatalnym poziomie z 2015 r., czyli na poziomie nieco ponad 20 proc. Dziś inwestycje w Polsce wprost szorują po dnie, nie przekraczając poziomu 17 proc.

Czyż jednak mogło być inaczej, skoro rządy PiS na inwestycje postawiły tylko werbalnie – dla picu, a realnie od samego początku skoncentrowały się na rozdawnictwie publicznych pieniędzy? Na tych wszystkich „500+”, „800+”, „13. i 14. emeryturach+”, „300+”, „bonach wakacyjnych+”, „matkach+”, „babciach+”, „dziadkach+”, „lekach+”, „mieszkaniach+”, „wakacjach kredytowych+”, „kredytach hipotecznych 2 proc.+”, „darmowych autostradach+” itd., itp.

A, jak wiadomo, jeśli pieniądze się konsumuje, to się ich nie inwestuje. Dlatego ten cały rozdawniczy program „plus” dla przyszłości Polski oznacza wielki „minus”. Oznacza rozdawanie dziś pomyślnej przyszłości Polski. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Tracę
nadzieję

Kodeks wyborczy mówi: „W dniu głosowania oraz na 24 godziny przed tym dniem prowadzenie agitacji wyborczej, w tym zwoływanie zgromadzeń, organizowanie pochodów i manifestacji, wygłaszanie przemówień oraz rozpowszechnianie materiałów wyborczych jest zabronione”. W innym zaś miejscu wyjaśnia, że „agitacją wyborczą jest publiczne nakłanianie lub zachęcanie do głosowania w określony sposób, w tym w szczególności do głosowania na

definiującego, co właściwie jest zabronione: mowa jest przecież jedynie o nakłanianiu do głosowania w określony sposób. Mimo to wiele mediów i osób publicznych w odruchu przesadnej ostrożności w ogóle przestaje mówić i pisać o polityce. Mimo że kary nie są ogromne – grzywna może wynieść do 20 tys. zł. A przecież omawianie konkretnych problemów czy nawet ocenianie dokonań rządu jako żywo nie jest nakłanianiem do głosowania „w określony sposób”.

Kodeks wyborczy zabrania także publikowania sondaży podczas ciszy wyborczej i tu zastrzega, że przepis ten obowiązuje na terenie RP – jednak nie ma już takiego zastrzeżenia przy zakazie prowadzenia agitacji. Wynikałoby z tego, że obowiązuje on – no właśnie: gdzie? Mój ulubiony przykład to agitowanie na Facebooku, mającym siedzibę w Kalifornii, przez osobę siedzącą w kawiarni w Czechach 100 m od polskiej granicy. I co wtedy, szanowna Państwowa Komisjo Wyborcza? Oczywiście to nie PKW uchwała nonsensowne przepisy. Ona najwyżej będzie musiała się zmierzyć z tego typu przypadkami.

Piszę od lat o tym, że ciszy wyborczej nie da się obronić na gruncie logiki i zdrowego rozsądku. Powoli tracę już jednak nadzieję, że za mojego życia ten cyrk się skończy. ©©

Piszę od lat o tym, że ciszy wyborczej nie da się obronić na gruncie logiki i zdrowego rozsądku

kandydata określonego komitetu wyborczego”.

Te dwa przepisy są podstawą absurdu, który od lat pojawia się przed kolejnymi wyborami. I od lat odtądowujemy ten sam chocholi taniec: znów wskazujemy, do jakiego stopnia cisza wyborcza jest absurdalna, sprzeczna z logiką, zdrowym rozsądkiem, a przede wszystkim zakłada traktowanie obywateli jak idiotów – i nadal nic się nie dzieje.

Proszę przy tym zwrócić uwagę na treść przepisu,

**DOBRZE SKONSTRUOWANE KŁAMSTWO JEST
W DUŻEJ MIERZE ZBUDOWANE Z FAKTÓW***

**NIE ZAŚMIECAJ SOBIE GŁOWY.
WŁĄCZ REPUBLIKĘ O 19:00.**



DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

Codziennie o 19:00 zapraszamy na główne wydanie
serwisu informacyjnego do Telewizji Republika.



Zapraszają: **Piotr Kieraga, Jacek Sobala i Magdalena Bałkowiec**



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

*cytat amerykańskiej pisarki Lionel Shriver, laureatki prestiżowej nagrody Orange Prize.

CUPRA LEON SPORTSTOURER VZ

Gdyby wszystkie rodzinne kombi miały pod maską silnik o mocy 310 KM, to nie potrzeba byłoby rządowych zachęt do posiadania dzieci. Jak się chce, to się sposób znajdzie. Konstruktorzy hiszpańskiej marki Cupra starali się zaś znaleźć sposób na to, jak przyciągnąć do siebie klientelę, która jest już nieco zbyt dojrzała i odpowiedzialna, by rozbić się po mieście pomarańczowymi hot hatchami, ale wciąż zbyt młoda i zbyt lubiąca frajdę z jazdy, aby postawić na kombi w wydaniu „nudne i praktyczne” lub po prostu kupić SUV-a.

Leon Sportstourer, czyli hiszpańskiej krwi szybki kombiak, do redakcyjnego garażu trafił w miedzianym kolorze w wersji z dwulitrowym benzynowym silnikiem TSI. Auto o mocy 310 KM ze sprawnie redukującą bieg automatyczną, siedmiobiegową skrzynią DSG i napędem na cztery łapy od zera do pierwszej setki rozpędza się w zaledwie 4,9 s. Niektórzy nie muszą nawet wsiadać za kółko – wystarczy, że spojrzą na ten wynik, żeby na ich twarzy pojawił się uśmiech. Zapewniam, że siedząc za kierownicą i wciskając pedały gazu, ten uśmiech staje się jak najbardziej uzasadniony. Oczywiście żonie można próbować wytłumaczyć, że tak szybkie auto jest w rodzinie potrzebne nie po to, aby pokazać młodzieńcom w tuningowanych pokrakach, kto tu jest samcem alfa, ale po to, aby spokojnie i bezpiecznie

wyprzedzać ciężarówkę na drodze nad morze. Jak kocha, to uwierz...

Sportową atmosferę w kabinie budują kubelkowe fotele, które dobrze podtrzymują ciało kierowcy i pasażera, gdy nie chce się zbyttno zwalniać na serpentynach. Podczas jazdy na romantyczną randkę włączyć można oświetlenie ambientowe. A co z emocjami na stacji benzynowej? Płakać nie ma powodu. Średnie spalanie podczas testu w mieście, na trasie oraz na autostradzie wyniosło 9,4 l/100 km. Tylko na trasie da się zejść nawet poniżej 7 l/100 km, a na autostradzie trzymać się okolic 8,5 l-9 l/100 km.

Słabą stroną testowanej Cupry jest system infotainment, który nie dość, że wymaga trochę czasu, aby go poznać, to jeszcze nawet wówczas trudno tego flegmatyka polubić. Warto więc przypomnieć hiszpańskim konstruktorom, że akurat ten model jest

przeznaczony dla tych, którzy nie lubią długo czekać, aż coś się łaskawie odwieś. Bardzo fajne są za to umieszczone za kierownicą cyfrowe zegary.

Ceny Cupry Leona Sportstourer w wersji VZ (to skrót od słówka „veloz”, które w języku miłośników korridy i flamenco oznacza po prostu „szybki”) zaczynają się od 169,7 tys. zł (wówczas auto oferowane jest z dwulitrowym silnikiem o mocy 245 KM). Za 300 koników pod maską trzeba zapłacić minimum 179,5 tys. zł. Wersja o mocy 310 KM zaczyna się zaś od 195,2 tys. zł. Oczywiście wystarczy dodać system BeatsAudio, 19-calowe felgi i miedziany lakier, aby cena na fakturze przekroczyła 200 tys. zł. Sporo, ale konkurencja jest przecież jeszcze droższa, a rodzinie przydałby się praktyczny kombi z bagażnikiem o pojemności 620 l. To kolejny argument dla żon. Nie musicie dziękować. ☺☺



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ROUTER ZTE MC888 PRO

Szybka transmisja danych, dobre wykorzystanie dostępnego pasma 5G/LTE, wydajne Wi-Fi 6, cicha i stabilna praca, kompaktowy rozmiar i banalnie prosta obsługa – to największe zalety wydajnego routera MC888 Pro chińskiej firmy ZTE.

Stacjonarne routery 5G stają się coraz popularniejsze. Zwiększa się bowiem dostęp do tej technologii u operatorów, a jednocześnie na urządzenia do obsługi sieci 5G nie trzeba już wydawać kilku tysięcy złotych. Na wsiach i w tych rejonach miast, w których nie ma jeszcze dostępu do sieci światłowodowej, router 5G może zaś znacząco podwyższyć jakość cyfrowego życia lub wydajność zdalnej pracy. I to bez wizyty techników, przekopywania ogródka i wiercenia w ścianach.

Niewielkich rozmiarów smukły biały router nie rzuca się niepotrzebnie w oczy, a jednocześnie zapewnia zaskakująco dużą przepustowość. Testowany model może pobierać dane 5G z maksymalną prędkością 1,7 Gb/s. W razie potrzeby router może też wykorzystywać połączenie 4G LTE kat. 19.

Obsługa urządzenia jest banalnie prosta. W zasadzie wystarczy włożyć kartę nanoSIM z dostępem do sieci 5G, podłączyć sprzęt do gniazdka i podłączyć smartfon/kompu-

ter/tablet do routera za pomocą dwuzakresowego Wi-Fi. Zaletą jest standard Wi-Fi kat. 6 (do 3600 Mb/s), dzięki któremu jakość Internetu jest bardzo dobra nie tylko w pomieszczeniu, w którym stoi router, lecz także nawet dwa pokoje dalej. Dzięki technologii Easy Mesh w razie potrzeby można też łatwo rozbudować sieć Wi-Fi. Technologia NFC One Touch umożliwia z kolei wyjątkowo proste uzyskanie dostępu do sieci – wystarczy włączyć NFC w smartfonie, przyłożyć go do routera i nie trzeba nawet przepisywać żadnego hasła. Jest nawet miejsce na podłączenie telefonu IP.

Urządzenie oferuje możliwość podłączenia kilkudziesięciu urządzeń oraz oddzielną sieć dla gości. Dodatkowo router został wyposażony w dwa gigabitowe porty LAN, dzięki którym można cieszyć się szybszym Internetem po podłączeniu komputera za pomocą kabla. Można też oczywiście podłączyć do routera inteligentny telewizor, drukarkę etc. Sercem routera ZTE MC888 Pro jest wydajny procesor nowej generacji Qualcomm X62.

Ewidentną wadą jest brak złącz dla anteny zewnętrznej. ZTE chwali się jednak, że wbudowana w router antena daje zysk do 10 dBi, co teoretycznie pozwala postawić urządzenie nawet daleko od okna bez widocznej straty dla transferu (czego bym jednak i tak nikomu nie zalecał). Cena: 1573 zł. ☺☺



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Śmierć zajezdnika pod Zborowem



JACEK KOMUDA

Jacek Dydyński to jeden z moich bohaterów, postać zarówno historyczna, jak i literacka, aczkolwiek przyznaję, że dorobiłem mu dużą część historii w oparciu o wspomnienia innych szlachciców i rębajłów. Zginął w bitwie pod Zborowem 15 sierpnia 1649 r., być może z ręki zdradzieckiego Kozaka, aczkolwiek przebieg wydarzeń wskazuje na śmierć z ręki Tatara.

Kim był stolnikowie sanocki z Niewistki, niechaj przypomnę za Władysławem Łozińskim. Otóż w dawnej Rzeczypospolitej, „jak był specjalista prawnik do prawa, tak być musiał specjalista – rębacz do »lewa«. Takim specjalistą był np. Jacek Dydyński z Niewistki w Sanockiej Ziemi, rodzaj zajazdowego kondotiera, który oddawał się na usługi braci szlachty, potrzebującej jego szabli i doświadczenia. Lisowczyk,

zaprawiony w dobrej szkole, ćwiczony na czatach, zasadzkach i podjazdach, śmiały, ale bardzo ostrożny i przebiegły, lis szczywany, co się zowie, tylko do terminu wierny,

po terminie gotów przejść do partii przeciwnej. Służył młodym Stadnickim, synom Diabła Łańcuckiego, ale sparzył się na tym, bo kiedy ich po swojemu porzucił, doznał bardzo przykrego odwetu; od Stadnickich przeszedł też do ich śmiertelnego wroga Konstantego Korniaкта, służył Stanisławowi Krasickiemu w zajeździe starostwa Dolińskiego i przerzucił się wkrótce do obozu jego przeciwników”. Ja osobiście, tworząc język neosarmacki naszych czasów, nazwałem go zajezdnikiem.

Dydyński był typowym przedstawicielem dawnej szlachty – obrońcą swobód i wolności, a cho-



FOT. DOMENA PUBLICZNA

ciaż wojował z sąsiadami prawem i „lewem”, to jednak w czasie wojny znaleźć go można było w szeregach wojska Rzeczypospolitej. W 1649 r., kiedy trwała wojna z kozakami Bohdana Chmielnickiego i wspierającymi ich Tatarami, trafił w szeregi chorągwi pospolitego ruszenia Zygmunta Przedwojewskiego, skarbnika lwowskiego. Pospolite ruszenie gromadziło się wówczas bardzo wolno skutkiem późnego rozesłania wici przez króla Jana Kazimierza. Ostatecznie pod koniec lipca jedynie 3–4 tys. szlachty znalazło się w armii ciągnącej z odsieczą na Zbaraż. Z tego ok. 700–800 ludzi stanowiła szlachta przemyska, tyle bowiem spisano panów braci na popisie pod Medyką 30 lipca.

12 sierpnia pod Złoczowem pospolite ruszenie przemyskie i lwowskie przybyło do obozu królewskiego. Następnie wojsko królewskie ruszyło na Zborów, próbując przepłynąć się przez rzekę Strypę. Nikt jednak nie wiedział, że w pobliżu, pod Dąbrową, znajduje się ogromna armia kozacko-tatarska pod dowództwem chana Islama Gereja i Bohdana Chmielnickiego. Pogoda była fatalna, toteż rozpoczęta 15 sierpnia rano przeprawa po dwóch mostach i grobli trwała długo. Najpierw przeszły na wschodni brzeg rzeki wojska króla, piechota i artyleria. Natomiast oddziały pospolitego ruszenia lwowskiego, przemyskiego i wojewody krakowskiego podążały wolnym marszem w stronę Zborowa, rozciągając się w długą kolumnę koło Meteniowa,

ok. 6–7 km na północny zachód od Zborowa. Wówczas Tatarzy niespodziewanie zaatakowali znajdujące się na przeprawach oddziały dowodzone przez Krzysztofa Koryckiego, który poprosił o pomoc szlachtę przemyską i lwowską.

Jak pisze Mirosław Nagielski, pospolite ruszenie wsparte zaciężną dragonią i piechotą spełniło swoje zadanie, pozwalając pozostałym oddziałom pozostającym przy królu sforsowanie rzeki i odparcie Tatarów po drugiej stronie Strypy, a także usypanie tam wałów obronnych. Jednak poniosło ogromne straty. W tym starciu, prawdopodobnie rozgrywającym się na polach w okolicach Meteniowa nad Strypą, zginął Dydyński; łącznie ze szlachty przemyskiej i lwowskiej poległo ok. 200 osób.

Postawa pospolitaków była bardzo różna. Jak podaje Artur Goszczyński, stolnik lwowski Stanisław Kowalski okrył się nieśmiertelną sławą, broniąc chorągwi: „Gdy mu prawą rękę uciąto, lewą ręką utrzymywał chorągiew, a gdy mu i tę nieprzyjaciel uciął, pod się chorągiew wrzucił, wielu ranami zadanych poległ, chorągiew, trupem padłszy, przed nieprzyjacielem obronił”. Znalazło się jednak wielu takich, którzy ratowali się ucieczką, a w nocy z 15 na 16 sierpnia pod wpływem plotek o ucieczce króla zaczęła uchodzić z obozu szlachta. Jacka Dydyńskiego nie było już jednak wśród żywych.

Listę strat podaje rejestr strat chorągwi Przedwojewskiego wymieniający 96 szlachciców przemyskich – zarówno poległych, jak i rannych. Przynajmniej jedna trzecia pospolitaków walczących w tym oddziale poniosła śmierć, a pozostali zostali ranni lub utracili wozy, żywność oraz konie. Cześć ich pamięci! ©

I RZECZYPOSPOLITA

Zborów



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Grzyb nie byle jaki

W dzieciństwie zazwyczaj na początku jesieni wraz z rodzicami i bliskimi z naszej rodziny jeździliśmy na grzybobranie. Była to znakomita okazja do spotkań rodzinnych i towarzyskich. Od początku września, kiedy to zaczynał się sezon na grzyby, spędzaliśmy weekendy na wyjazdach do lasów w okolicach Tarnowskich Gór. Wyjazdy raz były udane, raz mniej, ale prawie zawsze mieliśmy w koszyku sporą garść małych złotych kurek, idealną, aby trudy porannego wstawania wynagrodzić sobie solidną porcją przepysznej jajecznicy na kurkach, posypanej świeżą natką pietruszki i podaną wraz z maślanymi tostami z czosnkiem.

Kurka to grzyb nie byle jaki. Jest cennym uzupełnieniem diety. Zawiera aminokwasy oraz składniki mineralne. Aby odróżnić kurkę od jej niejadalnego odpowiednika, trzeba zwrócić szczególną uwagę na kolor – ma być jasnożółty, a kapelusze ma mieć średnicę do kilkunastu centymetrów. W smaku kurki są lekko ostre, nieco pieprzowe. Mają silne właściwości przeciwpasożytnicze. Nie mają robaków, ponieważ zawierają hitinmannozę, substancję, której pasożyty nie lubią. Ponadto mają białko, błonnik i beta-karoten, witaminę z grupy B, a przede wszystkim witaminę B1. Kurki zawierają również związki fenolowe o silnych właściwościach przeciwutleniających. Mają właściwości przeciwnowotworowe, znajdując zastosowanie w prewencji chorób cywilizacyjnych.

Ich zastosowanie w kuchni jest ważne nie tylko ze względu na walory smakowe i aromatyczne, lecz także dlatego, że grzyby te są silne i twarde, dzięki czemu możemy je mrozić, marynować, dusić – to

nasze ulubione zastosowanie – oraz suszyć. Należy pamiętać o podstawowych zasadach przy obróbce kurek, nie należy ich długo moczyć, ponieważ bardzo łatwo chłoną wodę, należy je smażyć w wysokiej temperaturze, ale zbyt długa obróbka termiczna sprawia, że twardnieją. Naszym ulubionym daniem jest tradycyjny sos kurkowy albo wspomniana wcześniej jajecznica na kurkach. Idealnie kurki sprawdzą się jako dodatek do dań mięsnych, makaronów czy risotto. Kurki lubią wino białe, dlatego warto dodać odrobinę podczas przygotowywania dań z kurkami, świetnie też smakują posypane świeżo startym parmezanem.

Sos kurkowy

- 1/2 kg świeżych kurek • 1 duża cebula • 2 ząbki czosnku • 1/3 kostki masła • 1/2 łyżeczki soli, pieprz • 1/3 szklanki białego wina wytrawnego • 150 ml śmietanki słodkiej • parmezan do posypania • natka pietruszki

Kurki czyszcimy z piasku, wkładamy do miski, posypujemy solą i zalewamy wrzątkiem, mieszamy. Po chwili wyjmujemy, kroimy na drobne kawałki. Na patelni rozgrzewamy masło, dodajemy cebulkę pokrojoną w kosteczkę, podsmażamy, dodajemy kurki, podsmażamy, dodajemy przeciśnięty przez praskę czosnek. Następnie dodajemy śmietankę, a na koniec parmezan i natkę pietruszki. Podajemy z grzankami. Smacznego! ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Trzeba jakoś wyglądać

Królowej Elżbiety nie zapamiętaliśmy jako ikony mody, ale elegancji i osobistego stylu nie sposób jej było odmówić. A cóż rzec o królowej konsorcie Camilli, żonie Karola III? Właściwie trudno rzecz cokolwiek, na tyle jest ona pozbawiona wyrazistości. Przynajmniej była. Ciężkawa sylwetka, anachroniczna fryzura, niemodne, ale solidne suknie, w których widać, że jej wysokość źle się czuje, dając odczuć, iż przeciwdeszczowa kurtka Barbour i kalosze, czyli strój do pracy w ogrodzie, odpowiadają jej najbardziej. Nie ma tu szans na karierę w fashion, ale coś zrobić można, żeby podnieść wartość wizerunkową żony, było nie było, króla The United Kingdom.

Trzeba tylko wziąć paru fachmenów czy też parę fachmerek. Tak też zrobiono kosztem pewnego nadszarpnięcia budżetu pałacu Buckingham. Na początek włosy. Przy tej pozycji paniom nie wypada się farbować, zresztą siwizna jest modna. Ale nawet siwiznę można lekko „obudzić” i nadać jej ciepły, maślany odcień, który wydobędzie lepiej blask niebieskich oczu jej wysokości. Tako rzekła Jo Hansford – fryzjerka, której magiczny grzebień i nożyczki dotykały włosów Angeliny Jolie i Gwyneth Paltrow.

Wprawdzie kiedyś, w czasach, czyli w roku 2006, magazyn „Tatler” umieścił panią Parker Bowles wśród

najelegantszych kobiet świata, ale cóż, lata minęły, zmarszczek i kilogramów przybyło, a świadomości, co jest modne, jakby ubyło. Zaaplikowano zatem apdejtowanie sylwetki. Nie żeby ktoś zrzucił królowej otyłość, ale parę centymetrów w biodrach mniej to zawsze miła rzecz.

Seanse u kosmetyczki Deborah Mitchell sprawiły, że ziemista cera (papierosy, niestety!) nabrała nieco blasku, a nawet jakby czegoś na kształt opalenizny. O którą w angielskim klimacie nie tak łatwo. Poza kosmetyczką także joga oraz zrównoważona dieta bio. Żeby efekt był naprawdę widoczny, zalecono królowej Camilli kilka pobytów w holistycznej klinice dr. Mathai w Indiach. Masaże, kosmetyka twarzy, medytacja, naturopatia (cokolwiek to oznacza).

Zatrudniony został Bruce Oldfield, ulubiony krawiec lady Diany, który przyznał gazecie „Daily Mail”, że popętnił suknię koronacyjną królewskiej małżonki (w kolorze kości słoniowej, z kwiatami angielskich pól, wyhaftowanymi złotą i srebrną nitką). Teraz pod jego auspicjami ubrania jej wysokości mają być bardziej pastelowe, stonowane, łagodniejsze i krótsze.

Sądząc po zdjęciach ze spotkania królewskiej pary z państwem Macronami w Paryżu, kuracja jednak nie pomogła. Katastrofa ubraniowa królowej Camilli trwa nadal. ©



DEKAMERONKI

Xronawirus

JERZY KARWELIS

Jest coś takiego, że wirus się niby skończył, ale ultrasi z obu stron wciąż trzymają się tematu. Pośrodku siedzi obojętna publika i nie chce wiedzieć, że wirus co prawda cudownie zniknął po pierwszej rakiecie wysłanej na Kijów, ale że konsekwencje trzyletniego eksperymentu zbierają swoje żniwo.

Właśnie ONZ, z dużym udziałem naszej polskiej delegacji (mamy przecież nową panią minister od pandemii), w ramach ofensywy traktatowej jest na końcowym etapie przekazywania władzy nad krajami w ręce WHO. Dostosowuje się do tego naszą nowelizację regulacji dotyczących obowiązkowych szczepień i terapii (jak będziesz fikał, że nie chcesz, to idziesz w pasy na 24 godziny i i tak cię strzykną). Władza się dużo dowiedziała o społecznym przyzwoleniu – teraz, kiedy strach już może nie wystarczyć, trzeba się będzie odwołać do czystego przymusu. Ale naród drzemie w przysbie jak zając, ekscytując się sennymi majakami poboczności wyborczych. Nikt o powyższe nie zapytał kandydatów, ale powód jest jasny – w domu powieszzonego nie mówi się o stryczku.

Właściwie wszystko już wiadomo, że z tym COVID-19 to ściema była. I – pomyślałem sobie – jak się lud znów da nabrać na ten sam numer, to znaczy, że sam sobie na to zasłużył. Ileż można powtarzać ten sam trick prestigitatorski, demaskować potem,

jak się ten królik wirusa znalazł w cylindrze pandemii, a potem to powtarzać w nieskończoność, licząc na „wow” publiczności? A takich prób było i jest wiele, zmienia się tylko umaszczenie królika.

Mieliśmy już polio, krakeny, cuda-wianki, ale teraz jest apogeum. Choroba X. I teraz najlepsze – WHO ogłosiła, że nadchodzi. Nie wiadomo, na czym ma polegać, jakie są objawy, charakter choroby, ale wiadomo, że jest siedem razy (dokładnie siedem – wyliczyli) bardziej zakaźna niż koronawirus. Wiadomo na pewno, że może zabić nawet 50 mln ludzi. Ale to nie koniec – ogłoszono już rozpoczęcie prac nad szczepionką przeciwko śmiertelnemu X (laboratoria Porton Down w hrabstwie Wiltshire, Wielka Brytania). Powtórzmy: nikt tego na oczy nie widział, modele matematyczne (znowu Ferguson?) już zabijają miliony, robią więc szczepionkę. Ale na co? A co za różnica? Te na COVID-19 działały, jak działały, to czemu się martwić, jak zadziałają te w wersji na wirusa, którego nie ma? W laboratoriach Wuhan użłośliwiano wirusy, by zrobić na nie szczepionkę. Dziś jesteśmy o krok dalej – wirus nie jest już potrzebny, by uśmiercić miliony, ale po to, by wyprodukować szczepionkę na coś, co istnieje. Mnie się marzy szczepionka na coś, co naprawdę istnieje. Na głupotę. Nawet za cenę niepożądanych odczynów poszczepiennych. ©©



#WARTO

Przed szkodą i po szkodzie

JAN POSPESZALSKI

Poślizg w kwestii tzw. postępu, który Polska ma wobec Zachodu, może mieć błogosławione skutki. Zanim bowiem na własnej skórze doświadczymy efektów nowinek cywilizacyjnych, możemy je obserwować u innych i wyciągnąć wnioski. Niestety, mimo że czarno na białym widzimy tragiczne konsekwencje, zazwyczaj uparcie małpujemy przychodzące z zewnątrz rozwiązania, pakując się jak tamci w nie-szczęścia.

Przykładem jest akcja „Laptop dla czwartoklasisty”. Zbiega się to w czasie z doniesieniami o decyzjach kolejnych krajów Zachodu, które wprowadzają regulacje ograniczające dostęp uczniów do sieci i elektroniki. W książce „Epidemia smartfonów”, wydanej w 2019 r. (jeszcze przed zamykaniem szkół i zdalnym nauczaniem), Manfred Spitzer, niemiecki psychiatra i neurobiolog, profesor na Harvardzie, przytacza argumenty na rzecz natychmiastowego ograniczenia dzieciom dostępu do elektroniki i Internetu. Obok masy zatrważających danych obrazujących negatywny wpływ nowoczesnej elektroniki na rozwój neurobiologiczny dzieci przytacza np. francuskie badania, z których wynika, że z każdym milionem euro, wydanym przez rząd Francji na cyfryzację szkół i nauczania, coraz bardziej obniżały się wyniki uczniów. Możemy sobie wyobrazić, jak dalece te procesy nasiliły się podczas tzw. walki z pandemią.

W ostatnich tygodniach władze Szwecji zapowiedziały wycofanie się z użytkowania klawiatur w szkołach podstawowych, na rzecz przywrócenia nauki... kaligrafii. 2 października Gillian Keegan, brytyjska sekretarz stanu do spraw edukacji, ogłosiła wprowadzenie zakazu używania telefonów komórkowych w szkołach. Decyzja poprzeczona była wielomiesięczną, poważną debatą. Również rząd Holandii zapowiedział, że od 1 stycznia 2024 r. będzie obowiązywał zakaz używania tabletek, smartwatchów i smartfonów w szkołach. Podobne rozwiązania wprowadza Grecja, a w Portugalii za korzystanie na lekcji ze smartfona grozi konfiskata. We Francji zakaz używania dotyczy nie tylko uczniów, lecz także nauczycieli.

Ktoś powie: „Wszystko fajnie. Ale co ma darmowy laptop do smartfonu?”. Otóż ma. To nie jest tylko wielkość i charakter urzędzenia, to kwestia uzależnienia od wirtualnego świata. Im później dzieci wkroczą na dobre w ten świat, tym łatwiej im będzie budować relacje, tym mniej będą narażone w dorosłym życiu na samotność. Szkoła, dając sprzęt, autoryzuje dzieciakom wirtualną rzeczywistość, wskazując ją jako coś pożądanego. Ogranicza też autonomię rodziców, bo dziecko traktuje laptop jako swoją wyłączną własność, co może utrudniać rodzicom racjonalne dostępu do niego. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Ja nie pamiętam

Mamy to! Stop. Nasze problemy z demografią zostaną wkrótce całkowicie zażegnane! Stop. We wzroście ludności niestety nie pomógł program „500+”, lecz oto przybył on, Donald Demograf, Donald Rozmnożyciel, by dać nadzieję. Stop. Na Marszu Miliona Serc według policji, Owsia i optymistycznych komentatorów było do 200 tys. ludzi. Stop. Donald Demograf i obwieścił, że było pięć razy więcej, a lud uwierzył i przyklasnął – i tak zostało! Stop. Według nieoficjalnych informacji Wielki Demograf otrzymał wiele zaproszeń z oddziałów położniczych celem pomnażania noworodków. Stop. Można? Można. Stop.

Marszałek Senatu Tomasz Grodzki ma nowe kłopoty. Stop. Prokuratura twierdzi, że pan marszałek jako lekarz zorganizował fundację, która wyciągała od chorych ludzi pieniądze, żeby mogli być operowani. Stop. Przeciwno Grodzkiemu ma świadczyć 236 świadków, ale zarzutów postawić mu nie można, ponieważ chroni go immunitet. Stop. Myślę, że Grodzki powinien teraz zapowiedzieć z dwa albo trzy orędzia na temat reżimu w Polsce. Stop. Dość tych prześladowań!

Czołowy dziennikarz śledczy „Gazety Wyborczej”, Wojciech Czuchnowski, przedstawił wyniki własnych wnikliwych dociekań: mur na granicy polsko-białoruskiej można przepiłowić piłą i zdemolować szlifierką.

Stop. Reklamując swój ważki materiał krótkim filmikiem, pokazał nawet, czym można to zrobić. Stop. Ponieważ redaktor nie jest, niestety, biegły jako majster-klepka, zamiast szlifierki kątowej zaprezentował urządzone do polerowania papierem ściernym powierzchnie gładkie, czym naraził się w Internecie na przezwiska typu „Wojtek Polerka”. Stop. Wojtku, jesteśmy z Tobą!

Zgrzyt w pewnej, takiej wydaje mi się, że chyba może i rodzinie, kto wie. Stop. Otóż najbardziej znany gej w Polsce, Robert Biedroń, zaapelował do kobiet: „Jeżeli facet chce głosić na Konfederację, to nie idźcie z nim do łóżka”. Stop. Te słowa zdecydowanie nie przypadły do gustu radykalnej feministce Kai Szulczewskiej, która publicznie odpowiedziała: „Polecam Robertowi Biedroniowi, żeby przestał pouczać kobiety. Dla większości normalnych kobiet seks to nie jest waluta, tym bardziej do handlu politycznego. Radzę Biedroniowi przestać mierzyć nas swoją miarą. Jak traktuje seks w ten sposób, to niech sam nie sypia z facetami głoszącymi na Konfederację. Ewentualnie, jak już musi kogoś pouczać, to niech poucza innych gejów (ciekawe czy będą zadowoleni). Od kobiet wstąpi!” Stop.

Pamiętają może Państwo apolitycznego Jurka Owsia, tego od Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy? Stop. Ja nie pamiętam. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Malowani Indianie

Ciekawe przeprosiny wygłosił w ubiegłym tygodniu premier Kanady, Justin Trudeau. Dotyczyły one uhonorowania przez kanadyjski parlament 98-letniego Jarosława Hunki – weterana dywizji SS Galizien, który zdaniem kanadyjskich polityków „walczył o ukraińską niepodległość z Rosjanami”.

Justin Trudeau przyznał, że okłaskiwanie w parlamencie byłego esesmana było „bardzo bolesne dla społeczności żydowskiej”. Zdaniem kanadyjskiego premiera dotknęło ono również społeczność polską, Romów, a także osoby „2SLGBTQI+”. Ten ostatni zwrot jest zapewne niezrozumiały dla polskich obserwatorów. O ile do szeregów rozmaitych liter następujących po zwrocie LGBT zdążyliśmy się już ostatnio przyzwyczaić, o tyle nie wiadomo, co znaczący mają otwierające szereg symbole „2S”.

W ideologicznym arsenale kanadyjskiej lewicy ważną rolę odgrywają cierpienia kanadyjskich Indian. Ponieważ Kanadyjczycy nie uczestniczyli w handlu czarnymi niewolnikami ani w kolonizacji Afryki, to właśnie martyrologia Indian (First Nations) stanowi dla tamtejszej lewicy główny pretekst do młotkowania swoich wrogów. W roku 1990 odbyła się w Kanadzie „doroczna konferencja międzyplemiennych, rdzennie amerykańskich, First Nations amerykańskich gejów i lesbijek”. Uchwaliła ona, że

określenia nietypowych orientacji seksualnych powinny zostać zastąpione terminem „Two Spirits” (Dwa Duchy). Nawiązuje on rzekomo do tradycyjnej kultury plemiennej, tolerancyjnej jakoby w sprawach płci. „Rdzennie amerykańskich” gejów (i lesbijek) nazywać należałoby osobami „2S”.

Szybko pojawiły się komplikacje. Mitologia „Dwóch Duchów” zrobiła karierę wśród „przebudzonej” młodzieży, która odnalazła się chętnie w rozdwójonej, indiańskiej duchowości. Większość takich „2S-ów” miała z rdzennymi Amerykanami tyle wspólnego, co polscy miłośnicy przygód Winnetou i Old Shatterhanda. Prawdziwi Indianie poczuli się urażeni i „kulturalnie kolonizowani”. Odezwali się antropolodzy, przypominając, że plemiona indiańskie były niezwykle liczne i kulturowo zróżnicowane, więc mowy być nie może o ich jednolitym podejściu do spraw płci. Termin „Dwa Duchy” zdemaskowany został przez nich jako próba „dehumanizacji i dekontekstualizacji bogactwa kultur indiańskich, zatarcia różnic pomiędzy nimi i odebrania wyjątkowości”.

Przepraszając za fetowanie esesmana, premier Kanady dał więc świadectwo mentalności patriarchalnej i kolonizatorskiej. W jaki sposób żołnierze SS Galizien nadebrnęli na odciśnięcie społeczności odmiennych seksualnie Indian, wydaje się kwestią niejasną, a jednocześnie drugorzędną. ©©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Mapka

Mówią, że czarnym koniem zbliżających się wyborów będzie ten, kto w kampanii najsukuteczniej będzie walczył, gryząc trawę. Jeśli tak, to oznaczałoby to, że w kampanii trawa najważniejsza oraz że zwiększa to szanse koni. Trudno, nie takie rzeczy już w naszej polityce widzieliśmy. Można to rozumieć różnie. Już słyszeliśmy kandydatów, którzy zalecali „klapki na oczy”, a w tej końskiej metaforyce mieści się też skakanie przeciw adwersarzom. Skakanie jest dobre na przeszkody, ale przydać się może i bez przeszkód. Skakanie może się komuś spodobać, ale jednak chyba większość wyborców nie

Tusk. Finansami zajmie się chyba pani Izabela Leszczyna, którą już nawet niektórzy nazywają ekspertem, sprawami zagranicznymi – pełna niespodzianek Małgorzata Kidawa-Błońska, sprawami wewnętrznymi – prawdziwie decyzyjny Sławomir Nitras, rolnictwem – wymowny Michał Kołodziejczak, transportem – doświadczony Sławomir Nowak, środowiskiem – również doświadczony w tej branży Stanisław Gawłowski, kulturą – Klaudia Jachira lub Bogusław Wołoszański, sprawiedliwością – Roman Giertych, a sportem – Franciszek Sterczewski. Kompetencji tego ostatniego nie trzeba chyba tłumaczyć. Może to być rząd koalicyjny, więc na ministra

KO w kampanii prezydenckiej, mówiąc, że „chodzi o to, by nie było takich pytań”. Dziś skromnie stoi on z boku, zarządzając stolicą, ale program, jak to mówią, leży na stole. Jakich pytań nie należy zadawać? Chyba żadnych, a więc, żeby jakoś przetrwać do wyborów, zamiast pytań i odpowiedzi należy emitować hałas budzący emocje, a więc nie mówić o szczelności budżetu, ochronie granic, rozbudowie sił zbrojnych i w ogóle o bezpieczeństwie państwa, ale by, wzorem upartych dzieci, na każde pytanie odpowiadać „pomidor” lub „a właśnie że nie”.

Tymczasem dla nas, dorosłych wyborców, ważne jest, czy domknie się budżet, czego będą się uczyć nasze dzieci lub wnuki w szkole, czy będziemy mogli w jakiejś mierze jeść mięso i czy nasze panie będą mogły świętować bezpiecznie sylwestra przed katedrą lub w Zakopanem. A dalej: czy uda się ograniczyć inflację, czy utrzymamy granice na wschodzie oraz czy nasi żołnierze i strażnicy granic będą wspierani przez społeczeństwo, które chronią, oraz czy w ogóle nie zostaną zredukowani wraz z jednostkami na wschód od Wisły.

W wyborach często decydują proste hasła lub znaki plastyczne. Mieliśmy tych znaków już co niemiara. Ostatnio popularne jest biało-czerwone serduszek, puste w środku. Ze swej strony proponuję zapamiętać białą-czerwoną mapkę Polski podzielonej wzdłuż Wisły. Kolorem czerwonym zaznaczono tu tereny, na których likwidowano jednostki wojskowe i które miały być oddane Rosji w planach obronnych poprzedniej ekipy z 2011 r. praktycznie bez walki. ©

W wyborach często decydują proste hasła lub znaki plastyczne. Ostatnio popularne jest biało-czerwone serduszek, puste w środku. Ja proponuję zapamiętać białą-czerwoną mapkę Polski podzielonej wzdłuż Wisły

da rady. Trzeba ich oszczędzać, bo jak nabawią się jakiejś kontuzji, to do głosowania nie pójda.

A propos trawy, to w PRL popularne było powiedzonko „mowa-trawa”. W jakimś sensie pasuje ono do programów niektórych partii opozycyjnych, które oferują różne straszne wygłupy lub obiecują niestworzone rzeczy, nie wskazując, ile by to miało nas kosztować. Może to niesprawiedliwe, ale powstaje wrażenie, że za tą zasłoną kryją się poważniejsze plany i że w tym należy upatrywać chytrych liderów opozycji.

Oglądając programy publicystyczne w telewizji, powstaje wrażenie, że uformował się już wstępny skład przyszłego rządu opozycji. Wygląda na to, że z teki premiera nie zrezygnuje Donald

edukacji może być szykowana znana z erudycji pani Małgorzata Prokop-Paczkowska. Gdyby do tej koalicji dołączył były wicepremier Waldemar Pawlak, obeznany ze sprawami energetyki, to mielibyśmy prawdziwy komplet. Niczego by nam nie brakowało.

Zastanawia jednak, jaki może być wspólny program takiej koalicji. Najbardziej wyrazisty projekt zaproponowała przodująca na opozycji Koalicja Obywatelska. Słyszemy, że jest on na razie poufny i dowiemy się więcej po wyborach. To bardzo interesująca propozycja. Tymczasem reprezentanci KO zagłuszają wszystkich w audycjach TVP nieprzerwanym potokiem słów na dowolny temat. Swego czasu program ten najcelniej podsumował przedstawiciel

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Czytam kolejny tom „Viriona” (seria A. Ziemiańskiego z gatunku fantastyki). Zagiąłem rogi trzech kartek. W literaturze politycznej, w podręcznikach i w Biblii, czyli w książkach „do pracy”, robię to często – zaznaczam strony na potem. Do cytowania, do rozwinięcia, do przemyślenia. Ale w literaturze rozrywkowej prawie nigdy; a tu nagle aż trzy strony z „Viriona”?

Oto co powiedziała jedna z postaci w alternatywnym świecie Ziemiańskiego: [...] ludzie nie głosują na tego, który najbardziej zasługuje, ma największe szanse lub przedstawi sensowny plan. Ludzie głosują zawsze przeciwko komuś! Mądre słowa. Nigdy nie głosowałem na Dudę. Głosowałem za to świadomie przeciwko Komorowskiemu; przeciwko Kwaśniewskiemu, przeciwko Mazowieckiemu, przeciwko Jaruzelskiemu. Byłem przeciw tak mocno, że nie zawsze pamiętam, kto był wtedy ich przeciwnikiem.

Duda, gdy kandydował po raz pierwszy, był kompletnie nieznanym i w zasadzie taki pozostał do dziś. Rozpoznajemy go dziś po twarzy i nazwisku, ale nadal nie wiemy, kim jest. To niekoniecznie jego osobista wina, bo prezydent RP ma uprawnienia bliskie zeru, czyli na tym stanowisku można posadzić dowolne zero, które ma do zrobienia zero, więc się nie zmarnuje, będąc zerem. Zero poglądów, zero osobowości, zero zdolności. Nie ma znaczenia, kto jest prezydentem RP, i ten brak znaczenia zapisano w konstytucji. Kogoś zdolnego i sensownego szkoda na ten stołek. Co pamiętamy z czasów prezydentury Kwaśniewskiego,



który był najbardziej aktywny z tych wymienionych? (Słowo „aktywny” nie zawsze jest pozytywne – pchły też są aktywne). Z dokonań Kwacha pamiętam, że chlał. Najlepszy z nich wszystkich był Lech Kaczyński (słowo „najlepszy” niekoniecznie oznacza „dobry”). W ramach zerowych uprawnień wykazywał staranie, aby to zero jakoś przyozdobić, aby przynajmniej było zerem biało-czerwonym i w koronie. Więcej zrobić nie mógł, bo konstytucję pisali komuniści w czasach Kwaśniewskiego i taką mamy do dziś – komunistyczną, czyli obecnie mówi się „unijną”.

Kolejna zagięta strona w książce „Virion” to wypowiedź innej postaci na temat konstruowania przemówień agitacyjnych i wyborczych. Cytuję: „To bardzo proste. Wystarczy pamiętać, że nie wolno używać żadnych argumentów. Nie wolno argumentować pod żadnym pozorem. Jeżeli wyrazisz jakkolwiek skomplikowaną myśl, od razu przegrasz. To jak przekonać ludzi? Wystarczy powtarzać swoje. Raz po razie [...]. Wystarczy powtarzać i powtarzać. Żadnej myśli, żadnego dowodu, żadnego przekonywania. Powtarzać i powtarzać swoje w kółko [...]. Odwołujesz się do uczuć. Najprostszych. I do przeciwstawień. Przykładowo: my uczciwi, oni złodzieje. Albo: my niewinni, oni mordercy. I powtarzać, powtarzać, powtarzać. Im głupiej, tym lepiej”.

Mnie się ten cytat kojarzy z konwencją PiS w katowickim

Spodku oraz z marszem PO w Warszawie. Obie imprezy siebie warte, jeżeli chodzi o meritum. Wszędzie masa obietnic, ale nigdzie słowa o tym, JAK te obietnice miałyby być zrealizowane. A przecież JAK jest kluczowe.

Kumpel chce od ciebie pożyczyć pieniądze, ale nigdzie nie pracuje. Ty go pytasz, JAK ci odda, skoro nie zarabia. On na to: „Jakoś oddam, obiecuję, przecież mnie znasz”. No i właśnie o to chodzi, że ja go doskonale znam i wiem, że nie będzie miał JAK oddać. Więc gdy mi Konfederacja obiecuje niższe podatki, pytam: Pano wie, ale JAK chcecie je obniżyć, mając 10 proc. głosów lub 5 proc., lub 20 proc.? W żadnym z tych przypadków nie będziecie w stanie zrealizować swojej obietnicy, która mi się bardzo podoba, ale jest pusta jak Leonardo da Vinci bez pędzli, farb i płótna, a do tego ślepy. Co z tego, że ma zdolności i wizję, gdy nie ma narzędzi do ich realizacji?

Trzeci cytat pochodzi z listu: „Rządzą nami durnie. No ale nic w tym dziwnego, podobno największą siłą przebicia ma baran”.

Czy rzeczywiście rządzą nami durnie i barany? A proszę mi pokazać jednego inteligentnego. Ale NAPRAWDĘ inteligentnego lub jeszcze lepiej – mądrego, który jednocześnie rządzi, a nie tylko figuruje. Możemy jechać po kolei. Czy minister Błaszczak jest facetem, którego wynająłbyś jako eksperta do zorganizowania ochrony osiedlowego parkin-

gu? Niedawno dogadał się na kredyty rządowe z Ameryką... Czy wzięłbyś Błaszczaka jako pełnomocnika do negocjacji twojego osobistego kredytu w banku? Inny: Czy minister cyfryzacji jest facetem, którego radziłbyś się, jaki komputer kupić za swoje pieniądze? Albo: Czy poszedłbyś po poradę w dowolnej sprawie do pani Witek, która jest marszałkiem Sejmu? Możesz wybrać sprawę naprawdę dowolną. Czy nasz marszałek w JAKIEJKOLWIEK DOWOLNEJ sprawie nadaje się na twojego doradcę, pełnomocnika, zastępcę, reprezentanta? Powierzyłbyś jej do wykonania cokolwiek?

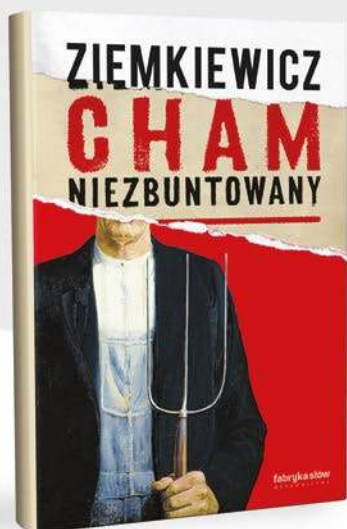
A teraz weźmy wszystkie trzy cytaty naraz: ludzie głosują zawsze przeciw komuś + gdy agitujesz, nie używaj argumentów, lecz powtarzaj w kółko swoje + rządzą nami durnie.

W zeszłym tygodniu na okładce „Do Rzeczy” był postulat wyjścia PL z UE, czyli polexitu. Wewnątrz numeru artykuł z argumentami merytorycznymi, dlaczego Polsce się nie opłaca przebywanie w Unii. Moim zdaniem szkoda oddechu na przekonywanie drugiej strony. Ta druga strona to wyznawcy Unii i żaden argument merytoryczny do nich nie przemówi. Ja, w rozmowach o wychodzeniu z Unii, stale powtarzam tym durniom to samo, w kółko, nie stosuję wywodów merytorycznych, a jedynie emocjonalne. Nie chcę być w Unii, bo nie chcę. I wolno mi nie chcieć, i wolno mi nie mieć ochoty na przekonywanie kogokolwiek. Po prostu nie chcę, nie muszę się tłumaczyć z moich powodów, a w głosowaniu przy urnie tylko to się liczy i tylko o to pytają: Czy chcesz?. Nie chcę być w Unii i ta moja niechęć jest tak samo ważna jak czyjaś chęć. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„CHAM NIEZBUNTOWANY”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~919~~ ZŁ

343,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 576 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 2b480d9493

Gramy z mistrzem Polski!

zondacrypto 
Trade tomorrow, today

Weź udział w naszym konkursie!

Do wygrania
do 2 500 USD
w bitcoinie!

Dowiedz się więcej



Niniejsza treść nie stanowi porady inwestycyjnej, porady finansowej, porady handlowej ani żadnego innego rodzaju porady i nie należy jej traktować jako takiej; zondacrypto nie zaleca kupna, sprzedaży ani posiadania żadnej konkretnej kryptowaluty. Inwestowanie w kryptowaluty wiąże się z wysokim ryzykiem. Istnieje ryzyko utraty zainwestowanych środków w wyniku zmian kursów wymiany kryptowalut.

eprasa.pl 2b480d9493